

István Nemere

Sprawa Kilyosa

(*Időtörés*)

przełożył Wojciech Maziarski

István Nemere jest jednym z najpopularniejszych na Węgrzech autorów SF. W swym dorobku ma kilkanaście książek fantastycznych, w tym także dla młodzieży. Pisze również powieści współczesne, nie mieszczące się w konwencji fantastyki naukowej. Najchętniej sięga po tematykę niedalekiej przyszłości tworząc utwory z pogranicza SF, literatury sensacyjnej i political fiction. Na tle żywej sensacyjnej akcji porusza problemy władzy, przemocy, zakulisowych rozgrywek politycznych itp. W najnowszej powieści „Przed obudzeniem” (1985) opisuje zuchwałą kradzież światowego arsenału nuklearnego dokonaną przez państwo o nazwie Marwinia. Nemere jest także tłumaczem polskiej literatury SF na język węgierski. W tej chwili przekłada książki Adama Hollanka i Konrada Fiałkowskiego.

(W. M.)

Rozdział 1

Tej nocy gwiazdy świeciły jak nigdy przedtem. Przynajmniej tak mi się wydawało. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek takie je widział w ciągu czterdziestu lat, które minęły od chwili mego urodzenia.

Prowadziłem maszynę; Barax w milczeniu siedział obok. Ja też nie miałem ochoty na rozmowę. Szybko i bezgłośnie przelatywaaliśmy nad jakimś miastem. Widać było także rzekę, dokładnie pod nami skrecała na południe. Zanim jednak dobrze się jej przyjrzałem, już pomkneliśmy dalej. W miejscu dawnej ogromnej puszczy stały jedynie grupy drzew. Noc powlekała je jednolitą czernią.

Przyspieszyłem lot. Radar sygnalizował, że nie ma przed nami przeszkód, dyspozycyjne centrum ruchu opróżniło nasz korytarz. Nie patrzyłem na zegarek. Nie było powodu do niepokoju. Tam, gdzie jedziemy, nie można się spóźnić.

Gwizdałem najnowszy przebój, Barax milczał. Odzywał się jedynie wtedy, gdy miał coś do powiedzenia. Ceniłem to u niego, choć tej nocy denerwowało mnie to milczenie. I jego bezruch. W odretwieniu patrzył przed siebie, być może obserwował światła pedzącego w naszą stronę pejzażu. Ale możliwe też, że wyłączył się i nic nie widział. Czasami na dole pod nami pojawiał się rzeczny statek, osiedle górnicze lub samotna grupa domów. Wydawało się, że zamknięci w malutkiej łodzi podwodnej, płyniemy obaj – ja i Barax – w olbrzymim akwarium.

Niezależnie od tego, jak fascynujący był to widok, nie potrafiłem w pełni skupić na nim uwagi. Myślałem o zadaniu. I o szefie.

★

...Szef nigdy dotąd nikogo do siebie nie wzywał. Rozkazy wydawał, a raczej przysyłał, za pośrednictwem swoich zastępców. Żaden z chłopaków nie znał przypadku, by stary wezwał kogokolwiek do swojego pokoju. Zaś to, aby z jakimś podwładnym przeprowadził długą rozmowę w cztery oczy, było nie do pomyślenia.

Zdarzyło się to ósmego dnia jedenastego miesiąca po południu. Siedziałem w świetlicy i oglądałem telewizję: do moich powinności należało śledzenie podawanych przez środki masowego przekazu informacji na temat czasu. Do tego zadania przydzielono więcej osób, ale tego dnia ja pełniłem poranno-przedpołudniowy dyżur. Na zewnątrz i w środku budynku unosiła się szara nuda, od wielu tygodni nic się nie działo. Chłopcy snuli się jak muchy jesienią na północnej półkuli, gdzie podobno owady te nawet giną o tej porze roku. Tak przynajmniej słyszałem.

Tu natomiast było ciepło. W klimatyzowanych korytarzach nie odczuwało się tego, lecz na zewnątrz słońce rozżarzone było do białości. Niebo niemal iskrzyło się. Nie docierał tu też hałas miasta, izolacja dźwiękoszczelna była bardzo dobra, eliminowała każdy zbędny szmer. Pamiętam, że myślałem właśnie o minionym wieczorze, który spędziłem z wysoką szatynką w psychobarze, gdzie przed północą wprowadzano szanownych gości w stan głębokiego oszołomienia za pomocą specjalnych efektów świetlnych i muzyki. Jeszcze następnego dnia do południa byłem śpiący. W trakcie oglądania telewizji ziewałem, aż mi trzeszczała szczęka.

Wtedy odezwał się głos płynący z wewnętrznego głośnika: – Inspektor Roy Medina ma natychmiast udać się do pokoju numer sto.

W pierwszej chwili nie wierzyłem własnym uszom. Ja do pokonu numer sto?... Do szefa?

– Inspektor Roy Medina ma się natychmiast udać do pokoju numer sto – powtórzył głos.

Nie miałem już wątpliwości, wzywano mnie. Wstałem, a w moją stronę zwróciła się jedna z wiszących na ścianie kamer obserwacyjnych sieci wewnętrznej. Oficer dyżurny zobaczył, że wstałem, wezwanie nie powtórzyło się już więcej.

Po drodze nie spotkałem żadnego z kolegów, większość z nich na pewno siedziała w swoich pokojach. Winda bezgłośnie wywozła mnie na górę. W „korytarzu szefa” byłem dotychczas tylko dwa razy. Teraz ponownie podziwiałem staromodny, miękki, czerwony chodnik (wcześniej widziałem takie starocie jedynie w muzeum) i gustowne kryształły z Kallisto. W dyskretnym świetle obserwowały mnie kamery – czułem, że ktoś na mnie patrzy. Ale możliwe też, że było to tylko przywidzenie. W każdym razie musze

przyznać, byłem nieco przejęty. Kiedy dotarłem pod drzwi, serce biło mi w gardle. Byłem jednak przekonany, że nie mam powodu do obaw – po pierwsze od dawna nie wyznaczano mnie do akcji, a po drugie poza służbą nie popełniłem nic, za co by mnie można wezwać prosto do pokoju numer sto.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Naprzeciwko, pod ścianą stał jedynie robot SR, stosowany w instytucjach państwowych jako sekretarka.

– Proszę położyć prawą dłoń na czerwonej płytce – powiedział. Wykonałem polecenie. W mgnieniu oka maszyna porównała mój odcisk dłoni i linie papilarne z danymi zakodowanymi w centralnym komputerze ewidencyjnym.

– Wynik identyfikacji pozytywny – powiedziało urządzenie, lecz wiedziałem, że te słowa nie są już skierowane do mnie. Zdjąłem dłoń z czerwonej, podświetlonej od spodu płytki. Czerwone światelko zgasło. Po lewej stronie rozsunęły się ukryte w ścianie drzwi.

– Proszę wejść – powiedziała maszyna beznamiętnym tonem. Znowu miękki chodnik, znowu kosmiczne minerały. Stary jest podobno namiętnym kolekcjonerem kamieni, słyszałem, że obleciał cały System Słoneczny i podróżował nawet poza jego granicami przywożąc zewsząd ciekawe okazy. Przechowywał jedynie takie kamienie, które zebrał własnoręcznie.

Niemal zapomniałem, jak wygląda. Nie widziałem go co najmniej od dwóch lat. Teraz znowu zobaczyłem jego surową twarz. Powiadają, że ma prawie osiemdziesiątkę.

– Przyszedł inspektor trzeciej klasy Roy Medina – odezwała się maszyna za moimi plecami.

– Niech pan wejdzie, inspektorze – powiedział szef i wyciągnął do mnie rękę.

★

Do świtu było jeszcze daleko, kiedy na automatycznym lokatorze zaczęła migotać zielona lampka.

– Do celu sto kilometrów – stwierdził Barax.

– Widzę – mruknąłem. Zmniejszyłem prędkość i sprowadziłem maszynę na wysokość pięciuset metrów. Gdy pojawił się brzeg jeziora, inny wskaźnik pokazał, że znajdujemy się w odległości dziesięciu kilometrów od celu podróży.

Ciągły sygnał radiowy doprowadził naszą maszynę do lądowiska. Trzy czerwone punkty migwały rytmicznie. Nieco się zdziwiłem, że nigdzie nie było widać żadnych budynków. Później – bezpośrednio przed zetknięciem z ziemią – dostrzegłem jeden. Był to biały domek o płaskim dachu, stwarzał wrażenie wiejskiej rezydencji. Nad wejściem jarzyło się blade światelko.

Trzy czerwone lampy natychmiast zgasyły, gdy tylko dotknęliśmy ziemi. Moje oczy przyzwyczyły się już do ciemności. Barax wyszedł z maszyny. Grały świerszcze, trawnik pachniał spalonymi słońcem roślinami. Ciepły wiatr rozgarniał mi włosy.

– Piękna noc – wyrwało mi się. – Zobacz jak błyszczą gwiazdy. To dziwne, że o świcie będziemy już daleko stąd.

– Chociaż właściwie będziemy w tym samym miejscu – odpowiedział Barax.

Nie mogliśmy jednak kontynuować rozmowy, bo ktoś do nas krzyknął:

– Hej wy!... Chodźcie tu.

– To miłe zaproszenie jest na pewno skierowane do nas – powiedział Barax. Doceniłem jego poczucie humoru. Tacy jak on nie przejawiają go zbyt często.

Podeszliśmy do domu o białych ścianach. Przed wejściem stał mężczyzna.

– Jestem major Gurow – przedstawił się i dyskretnie spojrzął na trzymaną w dłoni trójwymiarową fotografię.

– Inspektor Medina? – zapytał.

– Tak jest.

Wtedy Gurow spojrzął na Baraxa i zamilkł. Barczystą sylwetkę mojego towarzysza opinał mundur GALPOLU – galaktycznej policji. Taki sam, jaki nosił major. I ja.

– A pan to... hm... Barax, prawda?

– Tak – chłodno odpowiedział mój towarzysz. Gurow natychmiast odwrócił się na pięcie i wprowadził nas do domu. Stanieliśmy w staromodnym pokoju o kamiennych ścianach i suficie zrobionym z prawdziwego drewna. Na szerokim stole leżały różne przedmioty i paczki. Z kąta rozlegała się cicha muzyka, radio też wyglądało na stare.

- Kiedy ruszamy? - zapytałem.
- W ciągu godziny - odpowiedział Gurow.

★

Twarz szefa była spokojna i chłodna. Wskazał mi jeden z foteli:

- Niech pan usiądzie, inspektorze.

Usiadłem.

Jak już wspomniałem, szef mógł mieć około osiemdziesięciu lat. Jego dokładnego wieku nikt nie znał. W każdym razie nie miał młodzieńczych rysów. Obok nosa widniały głębokie bruzdy, a i czoło nie było gładkie. Włosy miał siwe - zarazem białe i srebrne, dziwna kompozycja kolorów. Widać w nim było wpływy przodków ze wszystkich pięciu kontynentów, na tle śniadej cery błyszcząły zielonkawe oczy. Czasami widzieliśmy go w budynku. No i niekiedy - raz do roku - pojawiał się na przyjęciu u prezydenta, które zawsze transmitowała światowa telewizja. Rzecz jasna, operatorzy z chęcią pokazaliby szefa galaktycznej policji, ale on zawsze zrecznie tego unikał. Kilka razy widać go było przez parę sekund, po czym znikał. Mówi się, że nie lubi rozgłosu.

Teraz siedział naprzeciwko i obserwował mnie. Dobrze byłoby wiedzieć, co o mnie sądzi. Z pewnością przejrzał moje dane zanim mnie wezwał.

- Co pan wie o złamaniu czasu, inspektorze? - zapytał szef i rozsiadł się w fotelu, który natychmiast dostosowując się do nowego położenia jego ciała, miękko wyciągnął się pod jego plecami.

Pytanie zdziwiło mnie. Ale w końcu nie byłem w tej instytucji nowicjuszem i pracowałem właśnie w wydziale czasu, więc odpowiedź nie sprawiła mi kłopotu.

- W terminologii naukowej i kryminologicznej złamaniem czasu nazywa się przypadek, gdy osoba lub grupa osób przy użyciu metody odkrytej w 2811 roku i odpowiednich środków technicznych wybiera się w przeszłość i tam ingeruje w procesy historyczne powodując w ten sposób poważne i nieodwracalne zmiany w dziejach ludzkości...

Nie wiedziałem, czy mam mówić dalej. Szef w zamyśleniu patrzył przed siebie. Wydawało się, że nie zwraca na mnie uwagi. Jednakże myliłem się; gdy tylko zamilkłem, od razu skierował na mnie spojrzenie swoich zielonych oczu:

- Ile razy zdarzyło się to dotychczas?

- Złamanie czasu? Nauka zna dwa przypadki, na szczęście oba spowodowały niegroźne następstwa. Jeden z nich można właściwie nazwać „Rozbiciem statku”. W roku 2814 młody badacz czasu, Czang Lengren wyprawił się w koniec XV w. a ponieważ wtedy jeszcze technika powrotu nie była opracowana w sposób doskonały, utknął w przeszłości w wyniku technicznej usterki. Musiał spędzić w ówczesnej Europie dziewiętnaście lat. Był malarzem amatorem, zaczął więc malować genetyczne mutanty odkryte w XXVI w. na planecie Calypso, ludzi genetycznie okaleczonych w wyniku promieniowania radioaktywnego oraz krzyżówki ludzi i zwierząt, czyli mixtanty. Ich postacie umieszczał w fantastycznej scenerii. Obrazy sprzedawał ówczesnemu malarzowi o nazwisku Hieronymus Bosch. W ten sposób zarabiał na życie, dopóki nie udało mu się w wyjątkowo prymitywnych warunkach zdobyć materiałów potrzebnych do naprawy maszyny i wrócić.

- A co pan wie o drugim przypadku?

- Miał miejsce w roku 2997. W pewnym instytucie badawczym dwaj niepełnoletni chłopcy, wykorzystując nieuwagę dorosłych, wyprawili się przy użyciu urządzenia w XV w. Starszy, znany pod nazwiskiem Leonardo da Vinci, został słynnym artystą i odkrywcą, zaś młodszy, pod nazwiskiem Melzi, występował najpierw jako jego uczeń, a później - po śmierci Leonarda - próbował popularyzować „wynalazki” swego przyjaciela...

- A więc ten przypadek, w odróżnieniu od poprzedniego, miał charakter techniczny? - spytał szef tonem egzaminatora.

- Zdecydowanie. Obaj mężczyźni projektowali środki techniczne, których na poziomie technicznym tamtej epoki nie dało się wykonać. „Leonardo” - z pewnością na podstawie wspomnień wyniesionych z przyszłości - wykonał projekty ruchomego mostu, czołgu, pancernego statku, samolotu, spadochronu, działa samopowtarzalnego, łodzi podwodnej. Rysował perspektywiczne, plastyczne mapy, a także opisał przyszłe wojny, kolonizacje, zniszczenie środowiska... Należy jeszcze zwrócić uwagę na dwa aspek-

ty sprawy. „Leonardo” i „Melzi” nie zamierali wrócić w przyszłość, do swojej epoki. Ich naturalnego czasu... A druga rzecz to, że o ile „malarstwo Boscha” nie spowodowało w swej epoce zmian świadomościowych – wyjątkowa dziwaczność obrazów została dostrzeżona przez ludzi dużo później – o tyle sprawa „Leonarda” miała olbrzymi rezonans jeszcze w wiele wieków później. Jeszcze w XX, a nawet XXIII wieku ludzie nie mogli pojąć, w jaki sposób potrafił on przewidzieć przyszłe wynalazki techniczne i zasady ich działania, nie mówiąc już o jego pozostałych „proroctwach”.

- Wspomniał pan o XX wieku – przerwał mi szef. – W tym okresie się pan specjalizuje, prawda?
- Tak. W drugiej połowie XX wieku i w początku XXI wieku, do lat dwudziestych – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.
- A geograficznie, językowo?
- Ameryka Łacińska i język hiszpański.
- Wspaniale. – Szef wyjął plastikową teczkę. Położył ją na stole i otworzył.
- Teraz proszę uważać, inspektorze. Długo się wahałiśmy, komu powierzyć to zadanie. W końcu wybór padł na pana.

*

Personel techniczny składał się tylko z dwóch milczących mężczyzn. Barax stał pod jedną ze ścian i obserwował przygotowania. Ludzie Gurowa za pomocą dźwigu ustawiali urządzenie na szynach po czym wypchnęli je z ucharakteryzowanego na wiejski dom hangaru. Szyny urwały się gwałtownie na środku rozległego pola. Za ledwie trzydzieści minut minęło od chwili naszego przybycia, gdy major zakomunikował, że maszyna jest gotowa.

- Niech pan pozwoli, uzgodnimy dane – powiedział. Wróciliśmy do domu. Gdzieś zakrzyczał ptak. Myśl, że zaraz opuścimy tę spokojną okolice, wydawała się dziwna.

W pokoju Gurow wyciągnął dużą, kolorową mapę i odezwał się posepnym tonem:

- Oto podwójny termin obecnego wkroczenia: dziesiąty dzień jedenastego miesiąca 3044 r. i 23 maja... Dobrze mówię, m-a-j-a? – przeliterował nieznane mu słowo. – 1992 r.

- Dobrze, dawniej tak nazywano piąty miesiąc.
- A więc jedźmy dalej. – Gurow spojrział w swoje notatki. – Po długich wahaniach prezydium zdecydowało, że na razie nie wyznaczy terminu powrotu. Możemy sobie pozwolić tylko na jedno lub dwa wkroczenia, niech pan o tym nie zapomni, inspektorze. Dobrze będzie, jeżeli zawiadomi nas pan na jeden dzień wcześniej.

Zagryzłem wargi. Od szefa dowiedziałem się, że na przeprowadzenie operacji mamy najwyżej dziesięć-piętnaście dni. Czy to wystarczy?

- A co z koordynatami geograficznymi? Czy ten punkt da się łatwo zidentyfikować? – zapytałem. Major stuknął palcem w mapę.

- To tu. Dziwna piramida o płaskim szczycie wybudowana w XIV wieku. Budowla sakralna. Znajduje się o 25 kilometrów na wschód od centrum administracyjnego z roku 1992, stolicy o nazwie Boliwar. Miejsce nazywa się San Fernando. Czy te dane wystarczą, inspektorze?

- Sądze, że tak – powiedziałem z namysłem.
- Niech pan weźmie ubranie. – Wepchnął mi do ręki dwie paczki. – Jedno dla pana, jedno dla Baraxa. Uszyto je na miarę. Są wiarygodne, zrobione z ówczesnych materiałów, zgodnie z ówczesną modą i warunkami klimatycznymi. A tu jest jeszcze plik banknotów, też oryginalnych. Członkowie innych ekspedycji przywieźli je z lat 90-tych XX stulecia. Oczywiście wybraliśmy takie, których data emisji jest wcześniejsza niż maj 1992 r. No i dokumenty tożsamości, także wydrukowane na ówczesnym papierze, zrobili to dobrzy fachowcy. Ma pan jakieś pytania, inspektorze?

- Nie, możemy ruszać.

Barax czekał przed domem. Dałem mu jedną paczkę z ubraniami. Maszyna stojąca na polu wyglądała jak ciemny dysk. Gurow otworzył drzwi. Weszliśmy, pochylając głowy. Podobne pojazdy już widywałem, wszak nie po raz pierwszy ruszałem na tego typu „wycieczkę”.

- Mundury włożcie do tych skrzyń – powiedział Gurow i pochylił się nad pulpitem. – Za dziesięć sekund ruszamy.

Szef podszedł do okna. Za pancernym szkłem miasto kapalo się w słońcu. Ponad niebieskimi stawami Parku Śródmiejskiego unosiła się biała para.

- ...Nazywa się Lipp Kilyos. Historyk, 48 lat. Tu jest jego fotografia; ta jest trójwymiarowa, ale pan oczywiście dostanie dwuwymiarową, czarno-białą, którą weźmie pan ze sobą... Kilyos pracował przez 21 lat w instytucie historycznym w Dakarze. Specjalizował się w ustrojach autokratycznych, na ten temat pisał swoją pracę dyplomową. Później opublikował kilka opracowań o XIX- i XX-wiecznych systemach politycznych. Wie pan, inspektorze, co to jest „polityka”?

- Wiem, proszę pana. Tak nazywano w okresie od X do XXIII wieku teoretyczne i praktyczne interakcje różnych grup interesu - odpowiedziałem.

- Tak jest... No więc Kilyos przez całe życie interesował się polityką. Kilka razy dostał pozwolenie na bierne wkroczenie w celach badawczych, okres tych wizyt nigdy nie przekraczał paru godzin. Nikt niczego nie podejrzewał, nawet wtedy, gdy Kilyos... zniknął.

- Zniknął? To niemożliwe!

- Niestety tak - szef skinął głową. - Rzecz jasna w dzisiejszych czasach da się to zrobić na wiele sposobów. Osoba pragnąca zniknąć może, na przykład, polecieć na którąś z planet Układu Słonecznego, do jednej z wielu baz, może się ukryć w automatycznym przekaźniku kosmometeorologicznym na którejś z planetoid lub na jakiś czas zaszyć się w którymś z ludzkich osiedli poza Układem Słonecznym... No i może się też udać w przeszłość.

- Ale maszyny do podróżowania w czasie znajdują się pod ścisłą kontrolą - zaoponowałem.

- Dotychczas też tak sądziliśmy. Lecz właśnie sprawa Kilyosa wykazała, że z tym nie wszystko jest w porządku. Lipp Kilyos ze zdumiewającą cierpliwością czekał na okazję. Dostał legalne pozwolenie wkroczenia w ostatnie ćwierćwiecze XX wieku. Dokładne koordynaty czasowe i geograficzne ustalił sam. Udał się w przeszłość i przesał stamtąd... pustą maszynę.

- A więc to celowa ucieczka - powiedziałem. Szef skinął głową.

- My także w ten sposób do potrafiowaliśmy. Jednakże wtedy nie zaczęliśmy podejrzewać go o chęć złamania czasu. Jeszcze nie wtedy. W minionych wiekach wielokrotnie zdarzyło się, że kilku co bardziej romantycznych badaczy czasu lub historyków „cofało się” w interesujący ich okres i spędzało tam parę tygodni lub miesięcy, by lepiej poznać ówczesne stosunki. Byli wśród nich tacy, którzy zostawiali wiadomość, gdzie i kiedy należy po nich przysłać maszynę. Jednak, jak powszechnie wiadomo, ryzyko złamania czasu jest w takich wypadkach duże i dlatego prawo czasowe z roku 2812 surowo zabrania takich wycieczek. Ci, których udało się przywieźć z powrotem we współczesność zostali należycie ukarani.

- Przynajmniej dziesięć lat na Bezludnej Wyspie - mruknąłem.

- No i trafili się też tacy, którzy zapłacili za to głową - staroświecki zwrot zabrzmiał w ustach szefa bardzo naturalnie - Nie wytrzymali dawnych warunków, ówczesni lekarze nie byli w stanie im pomóc lub po prostu zgineli na skutek niedostatecznej znajomości stosunków. Przecież wie pan inspektorze, jak dzikie były to epoki, zabójstwa, wojny, wypadki były na porządku dziennym...

W przypadku Kilyosa sytuacja jest jeszcze gorsza. Początkowo osoby kompetentne nie były specjalnie zaniepokojone - sądzono, że to jeszcze jedna wycieczka historyka. Jednakże miesiąc później okazało się, że przed wyprawą skopiował on w technicznym archiwum ze starych mikrofilmów dokładne opisy wielu wynalazków i całych procesów technologicznych ich wytwarzania...

- Jakże to wynalazki?

- Miedzy innymi aparat telepatyczny Kaltena.

- Voltrans?... - jęknąłem. - Przecież wymyślono go dopiero na początku XXIII wieku!

- Ma pan rację, Roy - szef z z troskaniem patrzył przed siebie. - Kilyos zabrał ze sobą w przeszłość opis najprostszej odmiany. Ponieważ jednak wyprzedził w ten sposób o niemal trzysta lat stulecie, w którym się znalazł, urządzenie to może się stać w jego rękę potężną bronią.

- Jeżeli udało mu się już je skonstruować - wtrąciłem z nadzieją w głosie. Szef machnął ręką:

- Nasi fachowcy, uwzględniając możliwości, jakimi Kilyos dysponował w XX wieku sądzą, że mógł

zbudować pierwszy egzemplarz aparatu. I jeżeli przyjdzie mu ochota, może ich skonstruować więcej.

- Kiedy uciekł?

- Przed dwoma miesiącami.

- Nie szukaliście go? Przecież złamanie czasu, jakiego dokonał, może mieć poważniejsze konsekwencje niż jakikolwiek inny przypadek!

- Właśnie, inspektorze. Oczywiście, że go szukaliśmy, lecz okazał się sprytnym przeciwnikiem. W ciągu dziesięcioleci spędzonych na badaniu czasu znakomicie poznał stosunki panujące w epoce, którą wybrał. Zna także nasze zwyczaje. Tak więc dobrze wiedział, gdzie i kiedy wydział czasu policji galaktycznej zacznie go tropić po zniknięciu. Wybrał odpowiednią taktykę... Wiemy, że doskonale opanował XX-wieczną odmianę języka hiszpańskiego. W przeszłość wszedł w Manili. Zestawiliśmy te fakty. W latach 90-tych XX wieku obszar ten nosił miano Filipin i jednym z używanych tam języków był hiszpański. Byliśmy przekonani, że Kilyos ukrywa się na jednej z wysp. Tam więc posłaliśmy agentów. Szukaliśmy go przez dwa tygodnie, bez skutku. Wówczas już domyślaliśmy się, że wkroczenie w Manili było jedynie krokiem mającym zmylić pościg i że Kilyosa trzeba szukać na tym samym obszarze językowym, lecz w innych koordynatach geograficznych. Ponieważ uciekinier spośród trzech tysięcy języków używanych na Ziemi w XX wieku znał jedynie hiszpański, dalsze poszukiwania prowadziliśmy jedynie na tym obszarze językowym.

- To znaczy w co najmniej dwudziestu ówczesnych krajach. A tymczasem upływały cenne dni - mruknąłem.

- Upływały, bo Kilyos okazał się bardzo chytrym przeciwnikiem i starał się zatrzeć za sobą ślady. Tak więc kolejne dziesięć dni straciliśmy w dawnej Hiszpanii. Natrafiono, co prawda, na ślady Kilyosa, lecz prowadziły one do Ameryki Łacińskiej. Przerzuciliśmy w dwudziesty wiek dwukrotnie więcej ludzi i wreszcie w zeszłym tygodniu udało się nam jako tako zlokalizować tego przestępcę.

- I oczywiście moje zadanie polega na tym aby go przywieźć z powrotem - przerwałem nieuprzejmie. - Ale dlaczego właśnie ja?

- Ponieważ tym razem będzie to zadanie specjalne, którego nie możemy powierzyć nie przygotowanemu zwiadowcom znającym się jedynie na tropieniu śladów. W przypadku Kilyosa nie mamy do czynienia z roztargnionym profesorem, z ciekawskim, naiwnym uczonym, który zapomina o bożym świecie, lecz - jak już sugerowałem uprzednio - z przestępcą. Można się domyślać, że Lipp Kilyos chce zrobić w przeszłości karierę. Zna pan to słowo, inspektorze?

- Znam.

- No więc Kilyos tu, w roku 3044, był nikim. Jednym z dziesięciu tysięcy badaczy czasu. Koledzy, którzy go dobrze znali, uważali go za człowieka zżeranego przez ambicje, lecz niezbyt zdolnego i w gruncie rzeczy nieciekawego i przeciętnego. Psychologowie policji galaktycznej zestawili później wszystkie dane psychologiczne i inne informacje o Kilyosie, na jakie tylko udało im się trafić. Zgodnie twierdzą, że Kilyos próbuje się w przeszłości wybić. Znaleźć w czotówce. Niestety, posiadając swą wiedzę, aparat Voltrans, a także znając najbliższą przyszłość, ma olbrzymią przewagę nad przedstawicielami ówczesnego społeczeństwa.

- To złamanie czasu może stać się niebezpieczne. Gdzie on teraz jest?

- Dostanie pan koordynaty, inspektorze. Naszym zwiadowcom udało się ustalić jedynie miasto. Operacja będzie niebezpieczna, Roy. Zarząd uznał, że mamy do czynienia ze złamaniem czasu pierwszego stopnia, a więc z najpoważniejszym przypadkiem tego typu od momentu rozpoczęcia podróży w czasie i stworzenia policji czasu.

- Jak daleko mogę się posunąć w swoich działaniach? - zapytałem i poczułem, że mam suche wargi. Złamanie czasu pierwszego stopnia?... Wreszcie jakieś zadanie dla mnie. Lepsze niż śledzenie całymi miesiącami w centrali i oglądanie telewizji.

- Oficerowie GALPOLu mogą zabijać jedynie w ostateczności - powiedział powoli szef. - Na wczorajszej naradzie zarząd zdecydował, że upoważni pana do tego. Odnosi się to, rzecz jasna, jedynie do osoby Lippa Kilyosa i tylko wtedy, jeżeli w żaden - rozumie pan, inspektorze - w żaden inny sposób nie potrafi pan przenieść go w teraźniejszość. Wtedy... może go pan zabić.

Zamknąłem oczy. Zabić? To słowo było mi wstretne. Atawistyczne, pierwotne, bezlitosne. Czy byłbym do tego zdolny?... Swego czasu uczono nas różnych technik zabijania, lecz jeszcze nie słyszałem, by ktokolwiek z nas...

- Oczywiście, bardziej bym się ucieszył, gdyby przywiózł pan Kilyosa całego i zdrowego, żeby tu mógł otrzymać należną karę - dodał szef. Później znowu na chwilę zapanowała cisza.

- Moja interwencja może przybrać takie rozmiary, że sama stanie się złamaniem czasu drugiego lub trzeciego stopnia - zauważyłem ostrożnie.

- Jesteśmy tego świadomi. Jednakże musimy podjąć takie ryzyko, jako że dalsza działalność Kilyosa może postawić nas w jeszcze cięższej sytuacji, inspektorze - szef nagle wstał. Ja także się poderwałem. Zarząd postanowił, że zostawi panu wolną rękę. Na miejscu może pan zrobić wszystko, co uzna pan za konieczne dla dobra sprawy. Jednakże niezależnie od tego cieszyłbym się, gdyby informował mnie pan o przebiegu operacji.

- Telefon czasowy? - zapytałem. Zgode na jego używanie wydawano dotychczas jedynie w wyjątkowych wypadkach.

- To nietypowa sytuacja, Roy. Będzie pan utrzymywał kontakt jedynie ze mną.

Rozmawiałem powagę chwili. Do omówienia pozostała już tylko jedna rzecz.

- Kogo pan zabierze ze sobą, Roy? Cały stan osobowy GALPOLu stoi do pańskiej dyspozycji. Niech pan wybierze najlepszych ludzi.

- Sądze, proszę pana, że gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść - po błysku w jego zielonych oczach poznałem, że spodobało mu się to powiedzenie. Zresztą wszyscy wiedzieli, że szef poza kosmicznymi kamykami najchętniej „zbiera” stare zwroty językowe, powiedzonka i przysłowia. Pomyślał chyba o tym samym, bo powiedział:

- Jeżeli usłyszy pan coś takiego, niech pan to zapamięta i przekaże mi. Kolekcjonuje takie rzeczy.

- Postaram się, proszę pana. Co się zaś tyczy tej sprawy, to znam dwudziesty wiek i wiem, że jedna lub dwie osoby są w stanie zdziałać więcej niż cały oddział agentów... Musimy zniknąć w tłumie. Nie możemy zwrócić na siebie uwagi.

- Możliwe, że ma pan rację. Przeprowadzenie operacji to pańska sprawa, więc niech pan sam opracuje strategię. Kogo więc zabiera pan ze sobą?

- Myślę, że tylko Baraxa.

- Baraxa? - brwi szefa uniosły się, po czym równie szybko wróciły na poprzednie miejsce. Możliwe, że spodziewał się tej odpowiedzi, bo kontynuował jakby odprężony. - Wiem jak dziwne więzi łączą was ze sobą, inspektorze. W porządku, niech go pan zabierze.

- Dziękuję.

- Życze szczęścia, Roy.

- Sądze, proszę pana, że bardzo będziemy go potrzebować.

Rozdział 2

Zeskoczyliśmy na ziemię. Gurow utrzymywał maszynę w powietrzu. Światło gwiazd wydawało się bledsze. Jednakże nie miałem czasu na oglądanie nieba, bo po kolana zapadliśmy się w trawie i musiałem patrzeć pod nogi. Gurow odezwał się:

- Najbliższe miasteczko leży jedenaście kilometrów na zachód. Niedaleko stąd znajdziecie drogę... I nie zapomnij zawiadomić nas o terminie wkroczenia.

- Nie zapomnę - skinąłem ręką. Gurow zamknął właz. Ledwo się odsunąłem, gdy pojazd uniosł się w powietrze. Przez chwilę widzieliśmy jego podobny do dysku, zacierający się kadłub. Wreszcie jego kontury rozplynęły się w powietrzu. Gurow przekroczył limes temporis - granicę czasu, a wraz z nią, granicę przestrzeni.

Wciągnąłem powietrze w płuca. Trawa miała zupełnie inny zapach niż tysiąc pięćdziesiąt dwa lata później.

- Co powiesz o zapachu trawy? - zapytałem.

Barax rozglądał się po okolicy. Wiedziałem, że użył noktowizora. Nie odkrył chyba nic niepokojącego, bo odpowiedział:

- Nie wyczuwam żadnego gazu szkodliwego dla człowieka.
- Do diabła, nie chodzi mi o gaz - zezłościłem się, lecz pomyślałem, że byłaby to bezpłodna dyskusja. Z Baraxem nie da się rozmawiać o tak poetyckich sprawach jak zapach trawy czy kwiatów.
- W jaki sposób zbliżymy się do celu? - zapytał mój towarzysz.
- Nastrój wywołany wonią traw nie przeszedł mi całkowicie.
- Noc jest ładna, a ta godzinka, którą moglibyśmy zaoszczędzić i tak nie ma większego znaczenia. Chodźmy raczej pieszo.

Ruszyliśmy na północ, później skręciliśmy na zachód. Było dość ciemno, posuwaliśmy się powoli. Wkrótce dotarliśmy do drogi, o której wspominał Gurow i tam zaczęliśmy widzieć lepiej. Szara wstęga szosy była nieco jaśniejsza od otoczenia. Nasze kroki odbijały się echem w pustej okolicy. Teraz nie śpiewały tu ptaki. Nie widziałem też lasu, choć możliwe, że dalej, na wzgórzach rosty drzewa.

W milczeniu szliśmy przez dwadzieścia minut, po czym Barax odezwał się:

- Jakie są twoim zdaniem szanse Kilyosa?
- Zapytaj raczej, jaką my mamy szanse, by go odnaleźć, schwycić i zabrać z powrotem - powiedziałem pełen obaw. Sam nie wiem dlaczego opanował mnie dziwny niepokój. Noc - ta noc w przeszłości - mogła kryć nieznanne niebezpieczeństwa. Na szczęście był to ulotny, chwilowy nastrój.

Pół godziny później dostrzegliśmy światła. Mogła być godzina czwarta miejscowego czasu. Przy drodze pojawiły się białe domy. Była to wieś, zbliżaliśmy się do niej bardzo ostrożnie. Pomiędzy domami nie widać było ludzi. Jednakże na centralnym placu, gdzie wznosił się budynek z wieżą, pod ścianą siedziało kilku mężczyzn. Wiedziałem, że ten budynek to kościół.

- Podejdźmy do nich - poradziłem. Barax - czułem to - nie był zachwycony pomysłem, lecz posłusznie szedł za mną. Nie mógł postąpić inaczej, byłem dowódcą naszej małej ekspedycji.

Na dźwięk naszych kroków mężczyźni wstali, z niepokojem patrząc w naszą stronę. Gdy doszliśmy do miejsca oświetlonego przez lampy zapaliłem marynarkę i starałem się uprzejmie uśmiechnąć:

- Dzień dobry.

To były moje pierwsze słowa w roku 1992. Wykonując różne zadania wiele razy byłem już w przeszłości, ale w 1992 jeszcze nie gościłem. Co prawda, na pierwszy rzut oka nie różnił się on zbyt od lat 50-ych czy 70-ych, które już znałem.

- Dzień dobry - mrukneł tamci od niechcenia, nieufnie. Oceniali wzrokiem nasze twarze i ubrania. Starałem się zachowywać spokojnie i naturalnie.

- Zepsuł się nam samochód parę kilometrów stąd... Jesteśmy cudzoziemcami. - W ten sposób od razu wytłumaczyłem się z mojej niedoskonałej wymowy. - Chcieliśmy dotrzeć do Boliwar. Albo przynajmniej do jakiegoś miasteczka, jeżeli jest tu w okolicy.

Milczeli.

- Gdyby można było wypożyczyć jakiś samochód... - kontynuowałem, lecz wtedy właśnie przypomniał mi się plik pieniędzy, które dał mi Gurow, więc szybko dodałem. - Oczywiście dobrze zapłacimy. Mężczyźni spojrzeli po sobie, jeden z nich odezwał się.

- Coś się da zrobić. Zaczekajcie tu, señores.

Odeszli, wszyscy razem, w tym samym kierunku. Po wschodniej stronie nieba rósł niemal jeszcze nie dostrzegalny, niewyraźny, szary blask. Świtało.

Z ciemności pomiędzy domami padło kilka głośnych słów, po czym nagle wyłonili się czterej wężsi mężczyźni w jednakowych ubraniach. Zanim zdążyliśmy się poruszyć, otoczyli nas. Od razu zauważyliśmy, że to nie ci sami chłopcy. Na paskach u prawego boku nosili trójkątne, czarne pudełka. Broń - uświadomiłem sobie i zrozumiałem, że ich jednakowe stroje to mundury. To znaczyło, że należą do jakiejś zbrojnej organizacji.

- Pod ścianę i nie ruszać się! - krzyknął jeden z nich.

Do głowy nam nie przyszło, żeby się poruszyć. Lecz nie stanęliśmy też pod ścianą. Mężczyzna, który krzyknął, podszedł do mnie.

- Nie słyszał pan rozkazu?

- Pan mi rozkazuje? - zdziwiłem się. Trudno, człowiek nie jest w stanie przestawić się w ciągu paru minut. Nawet jeżeli ma taki zawód jak ja i zna różne epoki. Byłem zbyt długo w moim prawdziwym

czasie i teraz nie potrafiłem się natychmiast przystosować do stosunków panujących w dawnym stuleciu.

Wtedy coś się wydarzyło.

Później, gdy przypominałem sobie tę chwilę zawsze powracało to lodowate zdziwienie pełzące w górę od moich kolan. Kurcz chwytający moje wnętrzości i klatkę piersiową. Nie byłem wprost w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się wydarzyć. Że właśnie mnie się to przytrafiło...

Mezyczna uderzył mnie.

Uderzył mnie dłonią w twarz. Zachwiałem się – ale nie od ciosu. Otumaniony stałem przez ułamek sekundy – wciąż jeszcze nie rozumiałem, co się stało. Epoka, w której żyłem, od dawna już nie znała takich zachowań. Minęły stulecia, w ciągu których człowiek nie podniósł ręki na drugiego człowieka.

Lecz wydarzenia z zawrotną prędkością rozwijały się dalej. Barax, widząc co się dzieje, niezwłocznie przystąpił do działania. Dwa ciała runęły na ziemię, a Barax już skoczył w stronę trzeciego. Wreszcie przyszedłem do siebie, chwyciłem mezczyzne, który mnie uderzył i chwytem, który tysiące razy ćwiczyłem w domu rzuciłem jego ciało na ziemię. Nie uważałem należycie, jego głowa uderzyła o bruk wcześniej niż pozostałe części ciała... Zemdlał.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że mogłem go obezwładnić w wygodniejszy i bezpieczniejszy dla mnie sposób. Lecz jak widać, uderzenie wyzwoliło we mnie pierwotne instynkty, z których istnienia chyba nawet nie zdawałem sobie sprawy. Własnymi rękami, siłą własnego ciała chciałem oddać cios...

W międzyczasie Barax obezwładnił trzeciego mezczyzne, zanim tamten zdolał wyszarpnąć broń. Odetchnąłem, lecz nadal stałem nic nie rozumiejąc.

– Do diabła! – Barax wykrzyknął swoje ulubione powiedzonko, którego zresztą nauczył się ode mnie.

– Co to było?...

– Cholera wie – odpowiedziałem głupekowo. – To przechodzi ludzkie pojęcie!

– Co to jest „cholera”? – zainteresował się Barax.

– Zwrot językowy – wyjaśniłem i nagle uświadomiłem sobie niedorzeczność sytuacji. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, stoimy między czterema nieprzytomnymi facetami w mundurach i rozmawiamy o dawnych wyrażeniach.

– Możliwe, że jest ich tu więcej – powiedział Barax. Bardzo często zdarzało się, że jednocześnie myśleliśmy o tym samym, co zresztą nie było przypadkowe.

– Chodźmy stąd – poradziłem. Barax ruszył w milczeniu. Obejrzałem się do tyłu. Na białej wieży kościoła zabłysnął krzyż. Nadchodził dzień, nad nami pojawiały się już pierwsze promienie poranka. Nigdzie nie dostrzegłem wieśniaków.

★

– To są policjanci – wyjaśniłem Baraxowi, gdy znowu szliśmy bezludną drogą. – Pilnują porządku publicznego.

– Dlaczego on cię uderzył? – zapytał. Nie potrafiłem na to odpowiedzieć, więc raczej w kilku metnych zdaniach zasugerowałem, że dawniej brutalność często szła w parze z utrzymywaniem porządku.

Zapaliłem się i z ożywieniem zacząłem wyjaśniać różne rzeczy memu towarzyszowi, który nigdy jeszcze nie był w tej epoce. On także znał tutejszy język, lecz i tym razem – jak zwykle – przybył tu w jednym określonym celu: by osłaniać mnie, gdybym znalazł się w większych tarapatach.

Zapomniałem jednak o kryształowo czystej logice Baraxa, który nie przeszedł do porządku dziennego nad tym wydarzeniem. Z uporem powracał do sprawy policjantów.

– Nic o nas nie wiedzieli. Chłopi zapewne powiedzieli im, że przyszło dwóch cudzoziemców. A jednak od razu nas otoczyli i potraktowali jak przeciwników. W dodatku to uderzenie...

– No tak – pomacałem się po twarzy. – To było trochę zaskakujące.

Barax nie odezwał się więcej, lecz czułem, że moje odpowiedzi nie zadowolily go. Robiło się coraz jaśniej. Z półmroku wyłoniły się odległe wzgórza, na niebie pojawiły się białe baranki. Lekki wietrzyk rozgarniał mi włosy. Znowu poczułem zapach spalonej słońcem trawy. Później z prawej strony ujrzałem samotny dom. Ryczały krowy. Jakiś człowiek ładował na małą ciężarówkę aluminiowe pojemniki o dziwnym kształcie. Barax został z tyłu, zaś ja podszedłem bliżej i zagadnąłem mezczyzne.

- Loria jest niedaleko, to małe miasteczko - odpowiedział. - Właśnie się tam wybieram, zawożę mleko. Siadźcie na platformie.

- Odwdzięczmy się. - Ten bardzo użyteczny zwrot językowy stosowałem już w czasie poprzednich podróży i zawsze z dobrym skutkiem. Tak było i tym razem - mężczyzna schował banknot z zadowoloną miną. Dałem znak Baraxowi i minutę później jechaliśmy samochodem w stronę Lorii.

Pomimo wczesnej godziny na ulicach Lorii było już wielu ludzi. Wjeżdżając do miasta wyprzedzaliśmy ciągnięte przez osły dwukółki, na których wieziono warzywa i owoce. Na rynku panował duży ruch. Na wieży kościelnej zadzwonił zegar, świt niepostrzeżenie zamieniał się w poranek. Wzeszło słońce.

Zeskoczyliśmy z samochodu. Rozejrzałem się wokół sprawdzając, czy nie wzbudzamy podejrzeń... Lecz ludzie nie zwracali na nas uwagi. Oferowali swe towary bystrookim kobietom z koszami, przeganiaли muchy, zawijali w papier ryby, krzyczeli. Skrzypiały kółka taczek, ryczały osły. Kilku wyrostków jeździło tam i z powrotem na motorach. Jakiś sprzedawca z hałasem uniósł żaluzję w drzwiach swojego sklepu, z pobliskiej kawiarni wynoszono na tarasik małe stoliczki. Nie było jeszcze ani jednego gościa. Weszliśmy tam i usiedliśmy.

Właściciel - rosty, łysiejący mężczyzna z owłosionymi rękami - grzecznie zapytał nas, co podać. Poprosiłem o gorącą kawę i jakieś ciastko. Gospodarz zwrócił się do Baraxa:

- A panu czym mogę służyć?

Przez chwilę próbowałem spojrzeć na mojego towarzysza oczami tych ludzi. Jak go widzą? Wydaje się być wysokim, barczystym mężczyzną o czerwonej twarzy i mięśniach sterczących spod marynarki. Szare oczy, niemal nieruchoma twarz, wyważony chód... Skromnie ubrany mężczyzna o potężnej budowie ciała. Może się nawet zdarzyć, że spodoba się jakiejś kobiecie. Może z dwudziestowiecznego punktu widzenia nie odróżnia się wcale od tubylców. Nikt nie ma podstaw by podejrzewać, jak bardzo jest obcy.

- Poproszę kawę - powiedział Barax do właściciela kawiarni.

Wypiłem gorący, gorki napój i dowiedziałem się, że samochody wypożycza niejaki Juarez mieszkający za kościołem. Pomiedzy Lorią i stolicą jest też stała linia autobusowa. Pierwszy autobus odchodzi o jedenastej, drugi o trzeciej po południu. Pociągu w tej okolicy nie ma.

Musiałem jakoś uzasadnić naszą obecność w tej okolicy, więc ponownie opowiedziałem bajeczkę o zepsutym samochodzie. Mężczyzna ze zrozumieniem pokiwał głową chowając banknot. Wówczas coś jeszcze przyszło mi do głowy: ludzie GALPOL-u tropiący Lipa Kilyosa byli w tej okolicy przed kilkoma dniami. Być może od tamtej pory znowu widziano tu uciekiniera. Wyjąłem dwuwymiarową, czarno-białą fotografię i pokazałem ją gospodarzowi:

- Nie zna pan przypadkiem tego faceta?

Zareagował bardzo dziwnie. Spojrzał na fotografię, po czym błyskawicznie odwrócił się na pięcie i szybko wszedł do budynku. Spojrzeliśmy na siebie z Baraxem nic nie rozumiejąc. Czekaliśmy jeszcze przez chwilę, ale mężczyzna nie pojawił się więcej. Wzruszyłem ramionami i dałem mojemu towarzyszowi znak: idziemy.

- Jeżeli uda się nam wypożyczyć auto, to w porządku. Jeżeli nie, pojedziemy autobusem - powiedziałem. Barax zgodnie ze swoim zwyczajem milczał. Planowanie, wydawanie poleceń, obmyślanie kolejnych posunięć było moim zadaniem. Podobnie jak w czasie wielu dotychczasowych wspólnych misji, on jedynie pomagał mi realizować moje plany. Oczywiście, w wielu wypadkach mogłem liczyć na jego niezwykle zdolności analityczne.

Okrzyknęliśmy kościół. Weszliśmy w boczną uliczkę. Podeszedłem do opartego o ścianę niewiarygodnie chudego starca:

- Gdzie mieszka señor Juarez?

Skinął jedynie głową wskazując kierunek. Znowu wyjąłem zdjęcie.

- Zna go pan?...

Starzec spojrzał najpierw na zdjęcie, potem na mnie. Później pochylił głowę, splunął i szybko odszedł. To mnie naprawdę zdziwiło. Baraxa natomiast zainteresowało coś innego:

- Do diabła! Co mu wyleciało z ust?

- Ślina. Te czynność nazywa się płuciem – wyjaśniłem.
- Nigdy czegoś takiego nie widziałem – pokręcił głową.
- Ja też tylko tu. No, chodź.

Nad jedną z bram wisiała tablica. Wymalowana na niej opona i klucz wskazywały, że znajduje się tu warsztat. Przypomniałem sobie swoje studia. Przed siedemnastu laty, na wydziale historycznym uniwersytetu, przez całe pół roku zajmowałem się dwudziestowiecznym systemem oznakowań. Nie był to prosty przedmiot, lecz przynajmniej pożyteczny. W przeciwieństwie do późniejszych studiów poświęconych supernowoczesnym laboratoryjnym technikom kryminalistycznym, które w moim zawodzie okazały się zupełnie bezużyteczne.

Tak oto medytowałem w chwili, gdy wchodziliśmy na spore, ze wszystkich stron otoczone ścianami podwórko. Na platformie i podnośnikach stało kilka samochodów z wymontowanymi częściami i odkreconymi kołami. Wokół nich krzżeli się dwaj młodzi ludzie w wytuszczonych olejem ubraniach. W odpowiedzi na moje pytania, wskazali drzwi.

- Szef jest tam.

Wszedłem, Barax przezornie pozostał na zewnątrz. Ku swojemu zdziwieniu w biurze zastałem młodą kobietę. Przez okno wdzierały się ciepłe, żółte promienie. Skąpane w nich brązowe meble i białe ściany tworzyły domowy, swojski nastrój. Świetlana pościwała unosiła się także wokół głowy dziewczyny. Długie, czarne włosy opadały jej na ramiona. Na brązowej twarzy zabłysnął uśmiech.

- Dzień dobry panu, czym mogę służyć?

Powiedziałem w jakiej sprawie przyszedliśmy. Dziewczyna słuchała z powagą, choć w kąciach jej ust widniał nikły uśmieszek. Później powiedziała:

- Jestem córką Juareza. Ojciec zaraz wróci. A jeśli chodzi o samochody do wynajęcia, to ojciec pożyczycie tylko miejscowym, których zna i wie, że mu je oddadzą... Panowie zaś są zupełnie obcy.

- Jesteśmy cudzoziemcami - przyznałem. Było oczywiste, że mój akcent i sposób mówienia pozostawiają wiele do życzenia. - Skłonni byłibyśmy zapłacić za wypożyczenie sumę większą niż zwykle...

- Raczej przyholujemy tu wasz zepsuty samochód. Zanim ojciec i jego pracownicy go nie zreperują, będą panowie mogli wziąć nasz. Gdzie on został?

Ze zrozumiałych powodów to rozwiązanie nie zyskało mojego uznania. Na szczęście w tym momencie przez inne drzwi wszedł Juarez. Był to niski mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, o twarzy wyrażającej nieustanne zdziwienie.

- Co się stało, Estrella?

Dziewczyna przedstawiła sytuację. Mówiła bardzo szybko. Ja zaś tymczasem głowiłem się jak wybrnąć z tarapatów. Byłem już skłonny poczekać na autobus, gdy wszedł Barax.

- Ludzie w mundurach. Obstawili bramę - powiedział w naszym języku bez najmniejszego zdenerwowania. Wtedy przypadkowo spojrzałem na Estrellę. Przez drzwi spostrzegła zbliżających się policjantów i w tej samej sekundzie na jej twarzy pojawiło się przerażenie wskazujące, że rodzina Juareza ma powody, by obawiać się władz. Jednakże w tej chwili nie miałem czasu, by się nad tym zastanawiać. W drzwiach stanęli trzej uzbrojeni mężczyźni. Barax przysunął się do mnie.

- Dzień dobry, panie poruczniku - skłonił się Juarez. Nieco drżącym głosem zapytał. - W jakiej sprawie panowie przychodzą?

- Szukamy tych dwóch panów - wskazał na nas oficer, którego Juarez tytułował porucznikiem.

W mózgu poczułem ostrzeżenie Baraxa:

- Czuje ich złą wolę.

W tym momencie ja także niewyraźnie poczułem promieniowanie płynące z mózgow policjantów, które już wcześniej mój towarzysz odebrał za pomocą swoich bioczułników. Barax przekazał mi tę wiadomość zwykłym i tysiącrotnie wypróbowanym sposobem telepatycznym.

Podporucznik był młody i antypatyczny. Natychmiast wyczuł, że Barax jest jedynie milczącym wspólnikiem, a szefem, więc potencjalnym przeciwnikiem jestem ja.

- Proszę o dokumenty - powiedział.

Zauważyłem, że tymczasem jeden z jego ludzi stanął między oknem a drzwiami prowadzącymi do mieszkania, drugi zaś nie ruszył się i nadal stał w miejscu.

Podaliśmy nasze paszporty. Podporucznik otworzył je i obejrzał, lecz od razu zauważyłem, że wcale go one nie interesują. Nagłym ruchem schował je do kieszeni.

- Otrzymałem meldunek, że panowie pokazują ludziom jakieś zdjęcie. Czy i my moglibyśmy je zobaczyć? - niemal rozpytywał się w szyderczej ironii.

Wyjąłem fotografie.

- Szukamy tego człowieka - powiedziałem.

Przez chwilę w spojrzeniu podporucznika widać było dezorientację, głupkowato patrzył przed siebie, po czym wrzasnął:

- Aresztować ich!

Jego ludzie wyszarpnęli broń i doskoczyli do nas. Zanim zdążyłem przyjść do siebie, skuli mnie kajdankami.

- Atakujemy? - zapytał Barax w naszym języku.

- Nie! - odpowiedziałem. Nie bałem się tych ludzi. Później też będzie na to czas.

Policjanci wypchneli nas na podwórko. Wsiedliśmy do zielonego jeepa, a w minutę później samochód zahamował na rynku przed piętrowym, żółtym budynkiem.

Była to miejscowa komenda policji.

Przez chwilę czekaliśmy w korytarzu. W tym czasie policjanci stali z wymierzoną bronią w sporej odległości od nas. Później podporucznik wyrzwał przez drzwi.

- Ty - pokazał na Baraxa. - Wejź!

Barax spojrział na mnie. Jego grube ręce wyglądały dziwnie z cienkimi, metalowymi kajdankami na przegubach. Wiedziałem, że bez większego wysiłku mógłby je zerwać.

- Mam iść? - zapytał.

- Idź.

- Gdyby były jakieś kłopoty, daj sygnał - odpowiedział flegmatycznie i ruszył za podporucznikiem. Nadal stałem oparty o ścianę.

Oczywiście porucznik niczego się od Baraxa nie dowiedział. Wkrótce oficer zawołał i mnie.

- Wejść!

W pokoju byli jeszcze dwaj policjanci, zaś nad maszyną do pisania pochylał się starszy, chudy człowiek pełniący funkcję protokolanta. W oknie widniała gruba, metalowa krata.

Barax stał na środku pokoju. „Wszystko w porządku” - nadał w moim kierunku, znowu drogą telepatyczną. Spokojnie stanąłem przy nim.

- A więc to wy jesteście tymi ptaszkami - podporucznik wyszczerzył zęby. Jego twarz była naprawdę antypatyczna.

- Ptaszkami? - zapytałem nie rozumiejąc.

- Którzy w nocy napadli na policjantów w sąsiedniej wsi...

Wiadomość o tym zdarzeniu szybko tu dotarła, przebiegło mi przez myśl. Barax rozejrzał się. Wiedziałem, że w ciągu paru sekund mógłbym rozprawić się z tymi czterema policjantami, podobnie jak z tamtymi w nocy - ale dość już miałem konfliktów.

- Tamten policjant uderzył mnie bez powodu - powiedziałem.

Gdybym sądził, że to wyjaśnienie zadowoli porucznika, bardzo bym się mylił. W jego świńskich oczach błyszczała wrogość:

- Podniósł pan rękę na przedstawiciela prawa?

- Było na odwrót. To on podniósł rękę na mnie.

Machnął jedynie dłonią i wziął ze stołu fotografie:

- Wie pan kim jest ten człowiek?

- Wiem - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Dlaczego o niego pytacie?

- To nasza sprawa.

Spojrzał na mnie spod oka, przeciągle, z pogroźką. Przez chwilę szeptał z jednym ze swoich ludzi, po czym... Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech i skinął ręką w stronę wartowników:

- Oddział specjalny wycisnie z nich co trzeba. Zabierzcie ich do aresztu.

Barax spojrział na mnie. „Teraz?” – pytał niemo. Myślał o ucieczce. Pokręciłem tylko głową i ruszyłem w asyście strażników.

Areszt był dużym pomieszczeniem; po jednej stronie zamiast ściany umieszczono sięgającą sufitu kratę. Stali tu mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi. Barax z właściwą sobie flegmą wszedł między więźniów i zachowywał się tak, jakby go nic nie interesowało. Wiedziałem jednak, że ukradkiem obserwuje ludzi i otoczenie przy pomocy swych specjalnych aparatów.

Natomiast ja niezbyt się interesowałem towarzyszami niedoli. Oparty plecami o kratę zatopiłem się w rozmyślaniach. Rozmasowałem przeguby – zdjęto z nich kajdanki – i przyszło mi do głowy, że misja zaczęła się nie najlepiej. Już w pierwszej godzinie starliśmy się z politycznymi władzami tego obszaru geograficznego, zaś w pięć godzin po wkroczeniu te same władze zamknęły nas w więzieniu.

Po drugiej stronie kraty siedział na krześle tylko jeden policjant, a po tej było nas około dwudziestu, dwie kobiety w pstrokatych ubraniach klóciły się półszepem. Pomiedzy nami stanął brodaty młody człowiek i odezwał się cicho:

– Dlaczego się tu znaleźliście, przyjaciele?

Pytanie to wzbudziło moją czujność, jednakże spojrzenie mężczyzny było szczere.

– Promieniuje od niego życzliwość – powiedział Barax w naszym języku, zapewne po to by mnie uspokoić.

– Chcieliśmy pożyczyć samochód od pana Juareza. Przyszli policjanci. Na dobrą sprawę nie wiemy, czego od nas chcą.

– Mam nadzieję, że to nie Juarez was wsypał – powiedział brodacz markotniejąc.

– Nie sądze. Znasz Juarezów? – zapytałem równie swobodnie, choć byłem od niego starszy o kilka naście lat.

– Ich córka, Estrella jest moją narzeczoną – powiedział i twarz mu posmutniała.

– A ty dlaczego tu jesteś? – zapytałem z ciekawością. Brodacz rozejrzał się. Nikt na nas nie zwracał uwagi. Pomimo to mężczyzna przysunął się bliżej, tak abym tylko ja słyszał:

– Podejrzewają mnie, że jestem członkiem Frontu...

– Fro... czego?

Spojrział na mnie ze zdumieniem:

– Nie wiesz, co to jest Front?

– Jesteśmy tu obcy. Przyjechaliśmy z zagranicy – wyjaśniłem. W jego spojrzeniu pojawił się niepokój, więc dodałem:

– Nie mów, jeśli nie chcesz.

Milczał. Przedzierający się przez okno promień wolno wedrował po ścianie ponad czarnymi głowami.

Oczywiście dobrze wiedziałem, co to jest Front. Jednakże na razie musiałem udawać, że naprawdę jesteśmy cudzoziemcami, którzy niemal w niczym się nie orientują. Miałem nadzieję, że później przyniesie nam to korzyści.

– No dobrze – powiedział nieznajomy, nagle podejmując decyzję. – Nazywam się Lorenzo i mieszkam tu, w Lorii. Estrellę znam od dziecka. Do Frontu trafiłem w zeszłym roku. Jestem kierowcą, jeżdżę ciężarówką do Boliwar, wożę towary... Wczoraj wieczorem tutejsi członkowie Frontu zebraли się na nielegalnym spotkaniu. Ja też tam byłem. Ale ktoś nas wsypał i policja nas zgarnęła...

– Twoi przyjaciele też siedzą tutaj? – wskazałem na hałaśliwy tłum po tej stronie kraty.

– Nie, policji udało się aresztować tylko czterech z nas. Pozostała trójka zawieźli rano do Boliwar, do głównej kwatery tajnej policji. – W jego głosie wyczułem teraz przerażenie.

– A z tobą co będzie?

– Mnie też zabiorą następnym transportem.

– Transportem?...

– Jasne. Co ty myślisz? Że oni tutaj będą was przesłuchiwać? Coś ty! Polityczni i cudzoziemcy zawsze są przewożeni do Boliwar. Mogą stąd zabrać jedynie trzech na raz, bo tylu mieści się w samochodzie.

Tutejszy komisariat nie ma zbyt wielu ludzi. Teraz czekają, żeby wrócił samochód. Wtedy mnie zabiorą, i was też.

W czasie naszej rozmowy Barax stał nieruchomo, lecz wiedziałem, że słucha. Dzięki niezwykle czułym narządom zmysłu stale był zorientowany, w jakim nastroju są otaczający nas ludzie, czy stanowią dla nas zagrożenie, czy przygotowują coś. A ponieważ Barax był spokojny, ja także mogłem swobodnie rozmawiać z brodaczem.

- Wy cudzoziemcy nie macie nawet pojęcia, pod jak bezlitosną dyktaturą żyjemy tutaj. Cały kraj to jedno wielkie więzienie.

Te zdania były frazesami. Miałem tę myśl chyba wypisaną na twarzy, bo nawet Lorenzo to spostrzegł:

- To tylko słowa, wiem... Ale pomyśl, gdyby to był demokratyczny, normalny kraj, policja nie postępowałaby z nami tak jak postępuje...

Potrącił tym we mnie czułą strunę, przypomniał mi się nocny incydent. Jednocześnie zwróciłem też uwagę na to, że młody człowiek mówi w sposób dość wyszukany. A przecież powiedział, że jest kierowcą.

- Lorenzo, rzeczywiście jesteś kierowcą?

Zrozumiał, co było powodem mojego pytania i lekko się uśmiechnął:

- Swego czasu rodzice zebrali trochę pieniędzy i udali mi się dostać na uniwersytet. Przez dwa lata studiowałem prawo, później zorganizowałem polityczną manifestację w obronie niewinnie skazanych... Wywalili mnie. Wróciłem do Lorii i zostałem kierowcą u Juareza, ale policja bez przerwy mnie obserwowała. Możliwe, że to ja mimowolnie wkopałem kolegów na wczorajszym zebraniu. Tajniacy zapewne przyszli za mną...

Jedynie domyślałem się, co znaczy słowo tajniak. Lorenzo opowiadał dalej. O wielkich więzieniach i obozach pracy przymusowej. O wyspach-więzieniach na oceanie, o specjalnych oddziałach policji stworzonych jedynie po to, by rozpedzać demonstracje. Opowiadał o sieci donosicieli obejmującej pomalą wszystkie sfery życia, wszystkie warstwy społeczne. O skorumpowanych przywódcach. O niepodzielnej i nienaruszalnej władzy miejscowych kacyków...

Nie byłem specjalnie zdziwiony. Na uniwersytecie długo zajmowałem się dawnymi epokami, a szczególnie tym okresem. Znałem też przyszłość, lecz nie mogłem pocieszyć Lorenza mówiąc mu, że los jego narodu wkrótce ulegnie poprawie. A przecież wiedziałem, że tak będzie...

Spojrzałem na Baraxa. Stał przy kracie. Tylko on potrafi zachować taki bezruch. Zapomniał nawet o mruganiu oczami. Zadałem sobie pytanie, czy ktoś w tej sali może zdawać sobie sprawę z tego, że przybyliśmy z innego świata? Możliwe, że nikt. Jeżeli chodzi o telepatię i nawiązywanie kontaktu pozazmysłowego ludzie w XX wieku byli jeszcze niesłychanie prymitywni. Dlatego zapewne nie zauważają, że my... Krótko mówiąc nie widzą i nie czują nic szczególnego. My obaj stanowiliśmy w tym miejscu element bardziej obcy, niż istoty przybyłe z kosmosu, bowiem - w przeciwieństwie do całkiem obcych przybyszów doskonale znaleźliśmy tych ludzi, ich dusze, ciała, obyczaje, reakcje, a nawet... ich przyszłość. Znajomość przyszłości jest potężną bronią. Nawet gdybyśmy nie mieli nad nimi przewagi fizycznej, to i tak w każdej chwili okazalibyśmy się silniejsi. Świadomość tego dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

- ... Ale to niedługo się skończy - mówił dalej Lorenzo ze stłumionym podnieceniem. - Front się już przygotowuje, naród też. Nie ma rodziny, w której przynajmniej jeden człowiek nie siedziałby w więzieniu... W górach jest coraz więcej partyzantów, są nieźle uzbrojeni. W zeszłym tygodniu zaatakowali nawet konwój wojskowy w pobliżu Boliwar. Sytuacji nie zmieni fakt, że wojskowi też od czasu do czasu udają, że wycofują się z rządu i stawiają na czele władz państwowych cywila. Tak jak teraz. Nowy prezydent jest takim samym łajdakiem jak poprzedni.

Policjanci wprowadzili nowych aresztantów. Kobieta w średnim wieku z umalowaną twarzą głośno zapłakała, po czym zaczęła szarpać kartę. Barax wreszcie się poruszył:

- Kiedy uciekamy? - zapytał krótko.

- Mamy czas - uspokoiłem go. - Jeżeli to prawda, co mówi brodac, to zabiorą nas do stolicy. I tak się tam wybieramy, czyż nie? Zaczekajmy, aż nas tam zawiozą. Nie będziemy musieli przynajmniej szukać samochodu.

Barax milczał. Mój projekt był logicznie poprawny.

Wczesnym popołudniem w przedsionku aresztu znowu zaczęło coś się dziać. Dwaj policjanci wnieśli spory aluminiowy pojemnik i zaczęli nalewać jakąś ciemną ciecz do brudnych talerzy. Więźniowie pojedynczo podchodzili do kraty. Przez mały otwór brali talerze i po jednym prostokątnym brązowym przedmiocie. Barax i ja też dostaliśmy swoje porcje.

- Co to jest? - zapytałem patrząc w talerz.

- Zupa i chleb. - Lorenzo z apetytem zaczął jeść. Z ciasta, które nazwał chlebem odrywał spore kawałki. Spojrzałem na Baraxa - stał i trzymał w reku talerz. Spróbowałem zupy, była okropna. Chleb natomiast okazał się możliwy, więc go zjadłem. Później bez wahania zjadłem chleb Baraxa.

W międzyczasie Lorenzo skończył zupę i niespokojnie się rozejrzał. Widziałem, że jest jeszcze głodny.

- Zjedz zupę mojego przyjaciela.

- Nie jesteś głodny? - zapytał Lorenzo.

- Odchudzam się - odpowiedział Barax. Nie wiedziałem nawet, że stać go na takie poczucie humoru... Lorenzo nieco się zdziwił, lecz szybko zjadł drugą porcję i natychmiast się rozpogodził.

Trapił mnie upływ czasu. Od porannego aresztowania minęło wiele godzin i nic się nie działo. Zaczęłem się obawiać, że o nas zapomniano, gdy...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i weszło kilku policjantów. Dowódcą był nie tamten facet o świńskich oczkach, tylko chudy, wąsaty mężczyzna z pociągłą twarzą, którego dotychczas nie widzieliśmy. Wskazał w naszą stronę przez kratę:

- Ty... i ty! I ty!

Trzecim był Lorenzo.

- Wychodzić!

Drzwi w kracie otworzyły się skrzypiąc. Barax swobodnie ze mną rozmawiał, ponieważ nikt nas nie mógł zrozumieć:

- Roy, daj rozkaz, a ja ich załatwie...

- Cisz! Nie gadać! - wrzasnął oficer. Stał przed Baraxem, machał rękami i z bliska groźnie patrzył mojemu koledze w twarz.

Sądze, że Barax zrobił to przy pomocy gazu. Puścił chyba niewielką ilość w twarz oficera. Gaz był bezbarwny i bezwonny; wąsacz nawet nie zauważył, kiedy go wciągnął do płuc. Nie minęło dziesięć sekund i oczy mu się zamknęły, musiał się oprzeć o ścianę...

Barax odsunął się i stanął w szeregu. Zdezorientowani więźniowie i policjanci obserwowali oficera, który już spał głośno chrapiąc. Nim ktokolwiek zdążył go podtrzymać, osunął się wzdłuż ściany. Policjanci szybko do niego podbiegli, podnieśli go i przyskali mu w twarz wodą próbując go ocucić. Wreszcie stanął o własnych siłach, lecz trzeba go było prowadzić. Oczy miał ciągle zamknięte. Zabrali go do jednego z pokojów, przez szybę widziałem jak rozpieli mu na piersi koszulę i wachlowali twarz.

Podszedł inny oficer. Jeden z policjantów szturchnął mnie kolbą:

- Ruszaj się, naprzód!

Przeszliśmy przez wąski korytarz. Pomiedzy ścianami dudniły echem kroki policjantów. Przez otwarte drzwi dostrzegłem, że na podwórku czeka zamknięta ciężarówka. Na pewno zabiorą w niej nas do stolicy. Policjanci znowu skuli nas kajdankami.

Gdy tak czekaliśmy, Barax szturchnął mnie w pewnym momencie w bok:

- Roy, popatrz tylko na tę ścianę!

Spojrzałem i oddech mi zaparło. Z dużej, prostokątnej fotografii otoczonej kolorowymi, papierowymi wieńcami patrzyła na mnie męska twarz.

- Lorenzo, kim jest ten człowiek? - zapytałem i poczułem, że głos mi drży. W tej chwili policjanci nie patrzyli na nas.

Lorenzo spojrział na ścianę i od razu odwrócił głowę.

- A niech go szlag trafi... Gallego Ramirez, nowy dyktator.

Odetchnąłem głęboko, żeby przyjść do siebie. No tak, to był silny cios. Bowiem fotografia - co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości - przedstawiała Lippa Kilyosa.

Rozdział 3

Szef powiedział wyraźnie: wiele zależy od wykonania tego zadania. Lecz w tym momencie zrozumiałem coś jeszcze: GALPOL nie udostępnił mi wszystkich informacji. A może w momencie mojego wyjazdu nie wiedzieli, że łamiący czas uciekinier – pod nazwiskiem Gallego Ramirez – został w tym państwie dyktatorem? W GALPOL-u są historycy, fachowcy, którzy w swych analizach i raportach na temat sprawy Kilyosa na pewno napisali, że jak świadczą ocalałe fotografie i filmy, przybyły z przyszłości hochsztapler trafił w tym kraju zwanym Boliwarią na stołek prezydencki... Jednocześnie podejrzewałem, że nie mogło to być celowe przemilczenie. Musiało się zdarzyć coś innego. Na przykład to, że specjaliści w pośpiechu przejrzeni nieliczne ocalałe materiały i nie przyszło im do głowy, by porównać zdjęcie Kilyosa z podobiznami ówczesnych znanych polityków i wyższych urzędników państwowych. Albo też – nie mogłem tego wykluczyć – w XXXI wieku nigdzie już nie było zdjęcia XX-wiecznego dyktatora tego małego kraju.

Jeżeli się dobrze nad tym zastanowić, to chyba jednak nie chodziło o to, żeby mi przysporzyć kłopotu. Nie leżałoby to przecież w interesie GALPOL-u. Jak powiedział Lorenzo, Kilyos zaledwie przed tygodniem objął urząd prezydencki. Jeżeli Barax i ja wypełnimy swoją misję i w ciągu kilku dni zabierzemy z powrotem w przyszłość tego człowieka, który bezprawnie przedostał się w XX wiek – ile dowodów zostanie na to, że Kilyos w ogóle tu był? Z pewnością niewiele. Możliwe nawet, że gdy w roku 3044 historycy spojrzą w historię tego małego latynoamerykańskiego kraju, nie znajdą żadnych śladów krótkiego, trwającego tydzień czy dwa intermezza.

Jeżeli Kilyos – pod nazwiskiem Gallego Ramirez – został prezydentem, lecz jego „panowanie” nie pozostawił niemal żadnych śladów w dziejach – to znaczy, że nasza misja się powiodła. Jeżeli jednak nie potrafilibyśmy go szybko zabrać z tej epoki, spowodowałoby to na pewno wiele szkód, które miałyby poważne konsekwencje dla historii. Możliwe nawet, że nie tylko na tym kontynencie, lecz także na całym świecie, przecież Kilyos dysponuje ważnymi wynalazkami, które znacznie wyprzedzają epokę.

★

Barax stał jak zwykle spokojnie, nie patrzył nawet na zdjęcie dyktatora. Lorenzo obserwował policjantów. Wreszcie pojawił się jakiś oficer i dał nam znak: – Wsiadać do samochodu.

Pierwszy wsiadł Barax. Za nim Lorenzo. Wraz ze mną do środka weszło także dwóch strażników. Mroczna przestrzeń między rozgrzanymi, metalowymi ścianami była przecięta kratą, nam kazano usiąść na drewnianych ławkach znajdujących się z tyłu. Obaj strażnicy usiedli z przodu. Zanim zamknęto drzwi, zauważyłem że oficer siada koło kierowcy.

Zatrzaśnięto drzwi. Ogarnął nas półmrok, jedynie przez dwa wąskie, zasłonięte drucianą siatką okna wpaadało trochę światła.

– W Boliwar dostaniecie za swoje – powiedział jeden ze strażników spoglądając na nas i złośliwie się uśmiechnął. – W centralnym więzieniu nie będą się z wami cackać. Jeszcze będziecie żałować, żeście przyszli na ten świat.

Niespecjalnie się przejmowałem ich pogroźkami, lecz przypadkiem spojrzałem na Lorenza. W jego wzroku czaiło się przerażenie. Co tam robią z więźniami, skoro to miejsce cieszy się tak złą sławą, przebiegło mi przez myśl.

Silnik zawarczał i samochód ruszył w kierunku stolicy. Jednostajny warkot, wstrząsy i ciepło sprawiły, że strażnicy pogrążyli się w półśnie. Lorenzo siedział naprzeciw nas.

Barax z wyciągniętymi do przodu nogami łapał równowagę na zakretach. Oparłem się plecami o ciepłą, metalową ścianę.

W pewnym momencie Lorenzo odezwał się:

– Zaraz będziemy na miejscu.

Barax zrozumiał moje spojrzenie:

– Najpierw strażników?

– Oczywiście. Później kajdanki.

Barax rozpiął koszulę na piersi. Znoszonej marynarki i tak nie był w stanie zapiąć, był na to zbyt potężny. Pochylił się do przodu, zaś ja przycisnąłem się do ściany, żeby mu nie przeszkadzać.

Lorenzo nic nie zauważył. Co prawda ja też nie. Promień był niewidzialny, leżał w paśmie, którego oko ludzkie nie rejestrowało. Głowy strażników natychmiast opadły, wyglądało na to, że teraz już naprawdę śpią. Jednakże nie był to sen, tylko oszołomienie. Przyjdą do siebie dopiero po paru godzinach.

- Lorenzo, usiądź tutaj - szybko poleciłem brodaczowi. Coś musiało być w moim głosie, bo natychmiast posłuchał. - Podaj ręce mojemu koledze, ale patrz na mnie!...

Przez kilka sekund siedział w niewygodnej pozycji, z wykreconą szyją - nic z tego nie rozumiał. Nie czuł też co się dzieje wokół jego nadgarstków. Barax zniszczył kajdanki przez zburzenie krystalicznej struktury metalu - i był na tyle przezorny, że nie pokazał Lorenzowi rezultatu. Zdjęte stalowe obręcze schował do kieszeni. Lorenzo był tak zdumiony, że w pierwszej chwili nie mógł wydobyć głosu. Gdy wreszcie jęknął się zaczął mówić, Barax i mnie uwolnił od kajdanek.

- Ale... jak... jak... jak to zrobiliście? A jeżeli strażnicy się obudzą?

☞ - Patrz na nich, powiesz, jeżeli się poruszają.

W ten sposób znowu odwróciłem jego uwagę: ześlizgnął się z siedzenia i patrzył na nieprzytomnych policjantów, nie zauważając więc, że za jego plecami Barax przy pomocy kilku zrezygnowanych ruchów wyłamuje zamek tylnych drzwi i otwiera je. W tym czasie samochód bez przerwy mknął szosą. Okolica po obu stronach była równinna, lecz nie bezлюдna: pojawiły się niskie budynki i drogi dojazdowe. Wzdłuż szosy biegła linia wysokiego napięcia i błyszczące w popołudniowym słońcu tory kolejowe. Lorenzo słysząc hałas, odwrócił się.

- Coś takiego!... - znowu się zdziwił, lecz nie odzywał się już więcej, po prostu zaniemówił ze zdumienia.

- Zatrzymaj samochód - rozkazałem. Barax nie zawahał się ani na chwilę. Jego mózg w ciągu ułamka sekundy wybrał najlepszy a zarazem najbezpieczniejszy dla nas sposób zatrzymania pojazdu. Swego czasu, zanim po raz pierwszy wyruszył ze mną w przeszłość, zapoznano go z dawnymi środkami lokomocji, z zasadami ich działania, a nawet ze sposobem prowadzenia. Poza tym Barax potrafił prześwietlić metalowe części samochodu. Chyba i tym razem tak zrobił - po czym prawą ręką wykonał kilka dziwnych ruchów. Silnik samochodu od razu zaczął prychać. Sądzę, że zageścił paliwo do tego stopnia, że przestało ono dopływać do silnika. Pojazd zaczął zwalniać...

Zatrzymaliśmy się na skraju drogi. Z przodu dobiegły nas krzyki. Barax zapiął koszulę i pierwszy wyskoczył przez tylne drzwi. Lorenzo i ja natychmiast skoczyliśmy za nim. Moje buty stuknęły o czarny, twardy asfalt. Rozejrzałem się. Niedaleko szosy dostrzegłem rząd willi i wijącą się drogę otoczoną z obu stron gestymi drzewami.

- Tam!...

Pobiegliśmy. Miałem nadzieję, że Barax starannie wykonał swoją pracę i obezwładnił kierowcę oraz siedzącego obok niego oficera. Nie musieliśmy się obawiać policjantów, lecz ruch na drodze był spory i należało się spodziewać, że lokalne władze szybko zostaną zaalarmowane...

Biegliśmy więc ile sił w nogach.

Lorenzo tak był podniecony naszą ucieczką, że biegł niewiarygodnie szybko. Ja też bez kłopotu utrzymywałem tempo. O Baraxie nie warto mówić - biegł jak maszyna.

Pokonaliśmy już chyba kilometr, gdy wreszcie dałem im znak - zwolnijcie. Gdzieś tam w przydomowych ogródkach bawiły się dzieci, rozebrany mężczyzna strzygł trawnik. Wiele osób ze zdziwieniem obserwowało naszą małą grupkę.

☞ - Zwracamy na siebie uwagę - powiedział Lorenzo dysząc. - Tam jest przecznica, chodu!

Ostatniego słowa co prawda nie zrozumiałem, lecz sytuacja była jednoznaczna. Pobiegliśmy za brodaczem. Wpadliśmy między drzewa, to musiał być park. Pies bokser szczerząc zęby napreżył smycz, jego właściciel ze zdziwieniem patrzył na trzech biegnących mężczyzn. Minąwszy rząd straganów zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć.

- Musimy dotrzeć do śródmieścia - dyszał Lorenzo. - W tej okolicy szybko nas złapią.
- Nie znasz tej dzielnicy?
- Nie, nigdy tu nie byłem. Ale w śródmieściu mieszka prawie milion ludzi, tam możemy zniknąć bez śladu! Policja nigdy nas nie znajdzie.

Barax nagle wyszedł na jezdnię. Zbliżał się zielony samochód, prowadziła go kobieta, w wieku około trzydziestu lat. Zapiszczały hamulce. Mój towarzysz po prostu zastąpił jej drogę. Z miejsca pojąłem zamiar Baraxa, szturchnąłem Lorenza.

- Wsiadamy!

Usiadłem z przodu, na miejscu koło kobiety. Miała jasnobrażowe włosy, pomalowane na czerwono usta i gniewnie błyszczące spojrzenie.

- Co panowie sobie wyobrażają?!

Miałem już dość stosowania przemocy. Uśmiechnąłem się do niej. W międzyczasie Barax usadowił się na tylnym siedzeniu, koło Lorenza.

- Jesteśmy pani bardzo wdzięczni, że się pani nad nami zlitowała. Sądziliśmy już, że nie dotrzemy do śródmieścia. Jesteśmy cudzoziemcami i bezskutecznie czekaliśmy tu na taksówkę...

Miałem nadzieję, że Lorenzo w porę zorientuje się i nie odezwie się ani słowem. Moja wymowa sprawiła, że to co mówiłem było bardziej wiarygodne. Barax milczał - na razie. Lecz wiedziałem, że czujnie spogląda na wszystkie strony obserwując też kobiety.

- Ale ja... ja właściwie nie jechałam do śródmieścia. - Kobieta była trochę zmieszana. Uśmiech jakby przywarł do jej twarzy:

- Jestem pewny, że nie porzuci nas pani w biedzie, señora. Widzę po oczach, że jest pani uczynną osobą.

To poskutkowało. Dodała gazu i samochód zerwał się z miejsca.



Zbliżaliśmy się już do centrum szeroką, dwupasmową drogą, gdy na drugim pasie, wyjąć syrenami przemknęły w stronę przedmieścia policyjne samochody. Kobieta prowadziła szybko i sprawnie. A ja mówiłem. Rozpływałem się nad urokami Bolívar, miasta, które widziałem po raz pierwszy. Możliwe, że naprawdę było ładne - lecz my widzieliśmy dotychczas jedynie morze domów i ruchliwe ulice, nic innego. Od kobiety dowiedzieliśmy się tylko tyle, że ma na imię Florencja, lecz woli, by się do niej zwracać - Flora. Gdy na nią patrzyłem, czułem się coraz dziwniej. Nie, wtedy jeszcze nie wiedziałem, co czuje. Patrzyłem na jej usta, oczy, ręce, uda. Ruchy miała wyważone, wydawało się, że jej ręka w niezwykły sposób tańczy na galce biegów. Czasami spoglądała w bok, początkowo jedynie na krótką chwilę, jej uśmiech był nerwowy, obcy. Ja tymczasem odpreżyłem się.

Gdy zaczęła wypytywać się, czym się zajmujemy, jako pierwsze przyszło mi na myśl słowo - handlowiec. O ile wiem, był to wówczas dość często spotykany zawód, więc go wymieniłem.

- I co panów tu sprowadza? - zapytała. Wyrażenie to zdziwiło mnie, lecz szybko pojąłem, co znaczy. Spodoba się szefowi, pomyślałem. Zmuszony byłem improwizować dalej:

- Zajmujemy się kwiatami. Próbuje się w pani kraju znaleźć eksporterów, u których moglibyśmy zamówić większą partię - byłem niezmiernie dumny ze swojej pomysłowości. Chyba jej imię zasugerowało mojej podświadomości słowo „kwiat“.

Flora wzięła zakręt, jechaliśmy teraz między coraz wyższymi domami. Nie ulegało wątpliwości, że zbliżamy się już do centrum miasta.

- Stroje panów nie wzbudzają raczej zaufania... Proszę się nie gniewać, ale gdybym ja była wielkim handlowcem, nie pertraktowałabym z cudzoziemcami, którzy przychodzą do mojego biura w podarowanych marynarkach z wiszącymi guzikami, w dodatku, gdy ich koszule nie są pierwszej świeżości...

Pomyślałem, że to mogła zauważyć tylko kobieta. Nasze ubrania istotnie solidnie ucierpiały w wyniku nocnej bijatyki, aresztu, a potem ucieczki z samochodu i biegu.

Nigdy nie traktowałem poważnie tekstów przebojów. Cóż to znaczy „zakochać się w kimś od pierwszego wejrzenia”? Zawsze myślałem, że to bzdura. Lecz Flora mnie oszłomiła. Nie potrafiłem z niej spuścić wzroku. Równocześnie musiałem też myśleć o naszym bezpieczeństwie.

– Chciałbym jeszcze kiedyś panią gdzieś spotkać – powiedziałem. Jednakże Flora w odpowiedzi tylko się uśmiechnęła. Na pewno dobrze wiedziała, co się ze mną dzieje. Jeżeli sądziłem, że da mi adres lub numer telefonu – to się myliłem. Była piękna. Podobała mi się, bardzo.

Na rogu dostrzegłem kwaciarza. Byliśmy na bardzo ruchliwej ulicy. Szybko podjąłem decyzję:

– Droga Floro, niech pani będzie tak dobra i zatrzyma się.

Porwałem ze straganu jeden bukiet. Moi towarzysze wysiedli. Nie znałem nazwy jaskrawoczerwonych kwiatów, mógł to być jakiś rodzaj goździków. Wsunąłem bukiet do samochodu.

– Dziękujemy, że nas pani przywiozła. Możliwe, że jednak się spotkamy – powiedziałem z tajemniczym uśmiechem. Zatrzasnąłem drzwi, a ona pomachała ręką i odjechała.

– Zanotowałem numer rejestracyjny pojazdu – powiedział Barax. Przez sekundę oglupiały gapiłem się na niego, lecz on kontynuował z typową mu flegmą. – Słyszałem, że chciałbyś spotkać właścicielkę pojazdu.

– Do licha z tymi konstruktorami! – wybuchnąłem. – Wyposażyli cię w zbyt wiele urządzeń, Barax!

– Tylko w te, które będą nam potrzebne – odpowiedział spokojnie.

– Rozdzielmy się i to natychmiast – nerwowo powiedział Lorenzo. – Policja szuka trzech mężczyzn, zaraz wpadnie na nasz ślad.

– Zgól sobie brodę – poradziłem.

– Idę do swoich przyjaciół. Jutro w południe spotkamy się w kościele Nuestra Señora. – Zniknął w tłumie. Jego głowa pojawiła się jeszcze nad schodami prowadzącymi pod ziemię. Napis głosił, że jest to zejście do metra.

Barax logicznie usystematyzował czekające nas zadania:

– Zanim zapadnie noc musimy znaleźć jakiś nocleg, dla ciebie także kolację. Jutro rano kupimy nowe ubrania i przeprowadzimy rozpoznanie terenu.

Wiedziałem, że ma rację. Na chybił-trafił ruszyliśmy przed siebie. W kiosku kupiłem szczegółową mapę miasta, potem zjadłem kolację w samoobsługowej restauracji. Podczas gdy jadłem, Barax stał przy wejściu, tak żeby mieć mnie na oku. Jedzenie było chłodne i mdłe.

Znalezienie noclegu nie było prostą sprawą. Wiedziałem, że w hotelach nie mamy szans, bo nie posiadamy dokumentów, które zostały na komendzie w Lorii. Tak więc musieliśmy liczyć na prywatne domy. Przez jakiś czas przechadzaliśmy się, obserwowaliśmy obcy, hałaśliwy ruch na ulicach. Później przyszedł mi do głowy pomysł i kupiłem popołudniową gazetę. Wśród drobnych ogłoszeń wkrótce natrafiłem na ogłoszenia o mieszkaniach. Rozmieniłem pieniądze i poszukałem budki telefonicznej. Po chwili zmaganiem zrozumieliśmy zasadę działania prymitywnego automatu, udało mi się nawet zatelefonować. Mieszkanie nie było jeszcze wynajęte, właściciel zrozumiał, że chodzi o cudzoziemców i chętnie się zgodził. Wyjaśnił jak mamy dojść. Było to dość daleko od śródmieścia, wsiedliśmy w taksówkę, lecz dla zachowania ostrożności wysiedliśmy o dwie ulice wcześniej.

Gdy dojechalismy na miejsce już się ściemniało. Na mrocznym niebie rysowały się sylwetki czteropiętrowych bloków. Zapaliły się uliczne latarnie.

– Co za prymitywne lampy – mruknął Barax przy wejściu – do diabła, one dają tyle samo ciepła, co światła...

Wiedziałem, że ma rację; za pomocą swoich urządzeń nawet z daleka mógł wyczuć ilość wypromiowanego ciepła. Lecz mnie w tej chwili bardziej interesowało nasze przyszłe mieszkanie.

Na trzecim piętrze zadzwoniliśmy do masywnych drewnianych drzwi. Otworzył je niesłychanie gruby jegomość. Na jego śniadej spoczonej twarzy pojawił się uśmiech. Mówił sepleniąc. Wskazał drzwi, za którymi znajdował się obszerny pokój z małą wngką kuchenną i łazienką. Barax wnikliwie obejrzał mieszkanie, zaś ja w tym czasie pertraktowałem z właścicielem. By rozwiać jego ewentualne podejrze-

nia zapłaciłem z góry za dwa tygodnie i dopiero później oświadczyłem, że nasze bagaże, w których były paszporty zaginęły w samolocie (o ile wiem dość często się to zdarzało w dwudziestym wieku).

- W ambasadzie przygotowują w tej chwili duplikaty - mówiłem. - Jest nadzieja, że w ciągu paru dni będą gotowe i wtedy będziemy mogli załatwić formalności.

Pomimo naszego dość niechlujnego wyglądu moja przemowa, akcent, a przede wszystkim pieniądze, wywarły na właścicielu domu odpowiednie wrażenie. Zgodził się na wszystko i odszedł. Miałem więc nadzieje, że znaleźliśmy kryjówkę - przynajmniej na kilka pierwszych dni.

Gdy rano obudziłem się, Barax stał koło mojego łóżka.

- Obudziłeś się? - zażartowałem.

- Umyj się i weźmy się do roboty - rzekł ponuro.

- Nie zaszkodziłoby coś przelknąć - zaryzykowałem stwierdzenie. Wiedziałem, że aluzje do jedzenia często wyprowadzają go z równowagi.

- Musimy przygotować operację, Roy - powiedział z wyrzutem.

- W porządku, Barax. Już ide, wyjmij tymczasem mapę.

Przejrzeliśmy także gazetę z poprzedniego dnia. Znalazłem w niej przydatną informację: dziś o godzinie 14.30 prezydent odwiedzi parlament i wygłosi przed posłami przemówienie.

- Zobaczymy, gdzie jest ten parlament.

- Trzeba wypożyczyć samochód - odpowiedział Barax, na pozór bez związku. Lecz i tym razem, jak zwykle, rozumieliśmy się.

- Kupimy także ubranie - kontynuowałem.

- Mamy mało czasu - stwierdził.

- Później zwiększymy tempo działania - odpowiedziałem z pozorną bez troską. Jednakże myśli w mojej głowie pedziły jedna za drugą. Rzecz jasna, dzięki moim studiom historycznym wiedziałem, że głowy państw były na ogół pilnie strzeżone i osoby postronne miały do nich dostęp jedynie w bardzo rzadkich wypadkach. Lecz jednocześnie przypominałem sobie, że dokonywano też przeciwko nim zamachów i to dość często, a co więcej - z powodzeniem. Opis takiego wydarzenia znajdował się nawet w jednym z materiałów informacyjnych, które przeglądałem przed wyruszeniem. Źródło to podawało, że w latach 90-ych w Bolívar miał miejsce zamach, lecz nazwisko prezydenta, który padł ofiarą zostało pominięte. Tak więc cokolwiek byśmy planowali, sprawa nie była beznadziejna. Mamy szanse, by dostać w swe ręce pana Ramireza...

Po śniadaniu kupiliśmy nowe garnitury. Ze mną nie było problemu, mam typową sylwetkę. Jednakże Barax swymi niezwykle szerokimi barami wzbudził niemałą sensację, sprzedawcy obserwowali go z podejrzliwym zainteresowaniem. W zasłoniętej kotarą kabinie przebraliśmy się od stóp do głów i po zapłaceniu wyszliśmy na ulicę.

Kupiłem kilka gazet. Usiedliśmy w parku. Obok fontanny dzieci grały w piłkę. Słońce prażyło niemiłosiernie, powietrze zaczęło przypominać gorącą watę. Oblepiło moje płuca i skórę. Barax oczywiście był jak zwykle świeży i rześki. Gotowy do działania.

- Musimy porwać Kilyosa - oświadczył zdecydowanie. Mogliśmy spokojnie rozmawiać: w pobliżu naszej ocienionej ławki rzadko ktoś przechodził, a nawet jeżeli się trafiło kilku spacerowiczów, to i tak nie mogli zrozumieć naszego języka. Wszak w roku 1992 jeszcze nie istniał... Zdemaskować nas mógł tylko jeden człowiek - Lipp Kilyos. Niewielkie jednak było prawdopodobieństwo, że Ramirez-Kilyos będzie spacerował po parku niczym Harum al-Raszyd.

- No to wejdźmy i zabierzmy go - powiedziałem z przekąsem.

- Skąd? - zapytał natychmiast. Myślał bardzo logicznie.

- Prezydenci mieszkali na ogół w dobrze strzeżonych pałacach. Mnie z pewnością by zastrzelono, a w pojedynkę nawet ty chyba nie potrafiłbyś wykonać zadania.

- Może nie, a może tak - powiedział Barax. W swoich reakcjach niejednokrotnie upodabniał się do mnie. Przejął pewne moje cechy w ciągu ostatnich lat, gdy razem przemierzaliśmy Układ Słoneczny i ziemskie epoki.

- Tę wersję odrzucimy - powiedziałem zdecydowanie. - Musimy wkroczyć do akcji, gdy facet opuści

pałac. Wtedy mniej będzie wokół niego strażników i nasze szanse szybkiego, lecz skutecznego ataku zwiększą się.

- Dziś jedźcie do parlamentu - przypomniał Barax.

- Tak, ale jeszcze nie znamy terenu. Najpierw opracujemy dobry plan, wszystko sprawdzimy, a później wybierzymy najlepszy termin i miejsce.

- Przydałby się ktoś, kto zna lepiej miejscowe stosunki. Jakiś tubylec.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ja nie potrafię się właściwie orientować?... - zezłościłem się. Jednakże Barax nie odpowiedział. W takich momentach zawsze zachowywał dyplomatyczne milczenie, jak gdyby przeczuwał nadciągającą burzę. I rzeczywiście ją przeczuwał - cała ta cholerna aparatura, którą nosił, ostrzegała go przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Barax był moim towarzyszem i podpora, lecz jego ironiczne uwagi znosiłem z trudem. Nieco dziwne było, że to właśnie z jego ust padło...

- Nic nie mówię. Myśle.

- Myślisz?... Ty?... - teraz ja kpiłem.

- Ja też mam mózg - odciął się Barax - i to nie byle jaki.

Miał rację, jego możliwości rozpoznawania i analizowania sytuacji znacznie przekraczały przeciętny poziom. Jednakże w tej chwili dysponowaliśmy zbyt małą ilością danych, by opracować konkretny plan. Dlatego też odnalazłem na mapie kościół Nuestra Señora.

- Zbliża się południe, chodźmy - wstałem.

- Dokąd?

- Zapomniałeś o Lorenzo?

- Ja nigdy o niczym nie zapominam - mruknął Barax.

★

Szybko odnaleźliśmy kościół. Wznosił się na skraju dużego placu, był piękny. Oglądałem go przez minutę - nie pasował do tej epoki, każda jego cegła reprezentowała architekturę przeszłości. Kamienie, okna zwieńczone szpiczastymi łukami, rzeźbiony portal. Do wejścia prowadziły długie, szerokie schody. Domyślałem się, że w środku jest bogato zdobiony. Dym świec, kadzidło, zapach starych ram obrazów i drewnianych ławek... W trzydziestym pierwszym wieku po tych przedmiotach nie pozostał już nawet ślad, nie mówiąc o tego rodzaju sakralnych instytucjach i budowlach. Ostatnie kościoły wybudowano na ziemi w XXII wieku, kiedy to przez jakiś czas wydawało się, że rozpowszechni się kult Kosmosa. Jednakże później szybko zanikły także kosmiczni wierni...

- Zaczekam na ciebie na zewnątrz - powiedział Barax.

Wiedziałem, że nie mówi tego przez delikatność, a po prostu kieruje nim rozważa. Tak należało się zachowywać w przypadku spotkań o niewiadomym rezultacie w nieznanym miejscu. Spokojnie wszedłem przez drzwi - wiedziałem, że na Baraxa mogę liczyć w każdej sytuacji. Dla niego istniał tylko jeden problem, jeden program działania: chronić inspektora Medine, swego dowódcę.

Wewnątrz kościoła panował mrok i cisza. O tej porze niewielu było tu ludzi. Moje kroki rozbrzmiewały echem na kamiennych płytach. Przez kolorowe szybki wąskich, wysokich okien, na kamienną posadzkę padały różnobarwne plamy światła.

Zza jednej z kolumn wyłonił się cień. Moje oczy przywykły już do półmroku i rozpoznałem nieco rozczochraną brodę. Podeszedłem.

- Witaj, nieznajomy - powiedział Lorenzo. Zorientowałem się, że nie zna mojego imienia. Wyglądał na nieco zdenerwowanego, czułem promieniujący od niego niepokój. - Gdzie jest twój towarzysz?

- W pobliżu. Co robisz, gdzie się schowałeś?

- U przyjaciół. - Powiedział jedynie tyle, więc go nie naciskałem. Usiedliśmy na wąskiej, niewygodnej ławce i rozmawialiśmy szeptem.

- Wczoraj zawiadomiłem Estrelle i dziś rano przyjechała do mnie - oświadczył Lorenzo z uśmiechem. Nie wiem dlaczego, ale jego brodata twarz bardzo w tej chwili przypominała oblicze mężczyzny przedstawionego na jednym ze świętych malowideł. Tego, którego niezliczone dawne źródła nazywają Chrystusem. - Powiedziała mi, że pokazywaliście zdjęcie prezydenta Ramireza... Jesteście nienormalni!

- Skądże znowu - zapewniłem go pospiesznie. - Tylko przyjechaliśmy z zagranicy ze specjalnym zadaniem. Musimy aresztować prezydenta Ramireza.

Lorenzo szeroko otworzył oczy:

- Aresztować Ramireza?... Wy jednak jesteście stuknięci.

Nie rozumiałem słowa „stuknięty”, lecz ton głosu Lorenza nie pozostawiał wątpliwości, co młody człowiek o nas myśli.

- Szybko zapomniałeś, w jaki sposób wczoraj uwolniliśmy się z więźniarki - przypomniałem mu. Zaczął się przede mną zarysowywać śmiały, zakrojony na dużą skalę plan. - Barax, mój towarzysz, potrafi robić takie rzeczy, w obliczu których tutejsza policja będzie bezradna.

- To prawda. Sam widziałem. Nie wiem, jak on to zrobił, ale te triki były pierwszorzędne...

„I nigdy nie poznasz ich wyjaśnienia”, pomyślałem. Nie mogliśmy popełnić następnego złamania czasu, żyjący tu ludzie nie mogli się dowiedzieć, jak duże są nasze możliwości. Wystarczyło już to, co zrobił dotychczas Kilyos. I to, co zrobi w następnych dniach. Niejasno się domyślałem, że od chwili, gdy Kilyos stał się głową państwa, jego wpływ może okazać się niebezpieczny. Boliwaria jest, co prawda, małym krajem, ale...

Gdybym tylko mógł wiedzieć, co planuje ten stuknięty podróżnik w czasie. Z pewnością bowiem wykombinował (to też jeden z ówczesnych zwrotów językowych) coś chytrego. Albo odkryjemy jego plan, albo nie - lecz jeśli wszystko pójdzie gładko, zabierzemy go stąd, zanim zrealizuje swe tragiczne w skutkach projekty. W XXXI wieku będzie mógł opowiedzieć, co uknuł - relację tę wygłosi przed specjalnym sądem...

Na razie jednak wszystko to było odległe, niepewne, mgliste.

- Czego wy właściwie chcecie? - zapytałem.

- My?...

- Front.

Lorenzo niespokojnie rozejrzał się:

- Pst!... Nie tak głośno. Nawet ściany mają uszy...

Ucieszyłem się. Szeł będzie zadowolony, kiedy przekaże mu to nowe powiedzonko. Tak, nawet ściany... mają... uszy... Delektowałem się tym zdaniem i niemal widziałem ścianę naszpikowaną mikroskopijnymi urządzeniami podsłuchowymi...

- Niebawem wybuchnie rewolucja - szepnął Lorenzo z gorączkowym ożywieniem. - Ludzie nie są już w stanie dłużej tego wytrzymać. Partyzanci są nawet w Boliwar. Władza oczywiście się boi...

Obawiałem się, nie bez podstaw, że Lorenzo znowu wygłosi wykład polityczny. Szybko wtrąciłem.:

- Jak Ramirez doszedł do władzy? Kim jest właściwie ten człowiek?

- Mało o nim wiemy. Gallego Ramirez był cukiernikiem w podmiejskiej dzielnicy.

- To znaczy, że... od dawna go tu znano?

- Oczywiście, przecież mieszka w Boliwar od czterdziestu lat.

Śluchałem go jak skamieniały. Czyżbyśmy się jednak pomylili? Czyżby Kilyos i Ramirez nie byli tą samą osobą? Lorenzo mówił dalej:

- Jedni mówią, że nigdy nie zajmował się polityką, inni przysiegają, że już od lat po cichu przygotowywał dla siebie grunt. Powiadają też, że wszystkie pieniądze poświęcił na przekupienie urzędników państwowych. A ostatnio jakby oszalał. Wygłaszał improwizowane mowy do swoich klientów, wiesz, miał własny sklep. Zwrócił nawet na siebie uwagę tajnej policji. Kilka razy zagrozili mu, że jeżeli nie przestanie agitować, to go zamkną. Ale i to nie poskutkowało. Kiedy policjanci przyszli tam, by go aresztować, przeciągnął ich na swoją stronę. W krótkim czasie odniósł poważne sukcesy. Przyłączało się do niego coraz więcej urzędników, policjantów, oficerów wojska. Wtedy już i rząd zaczął się niepokoić, lecz zanim się zdążyli poruszyć, Ramirez wykonał ostateczne posunięcie: na czele trzystu żołnierzy oraz policjantów zajął parlament i wezwał obradujących posłów, by udzielili dymisji dotychczasowemu prezydentowi i mianowali na to miejsce jego. Przejął władzę bez przelania jednej kropli krwi.

- Kimże więc jest ten cukiernik? Prorokiem, złotoustym trybunem ludowym, czarodziejem? - zapytałem nieco bezradny.

- Moim zdaniem żadnym z nich - odpowiedział Lorenzo. - Słuchałem przez radio jego „mowy tronowej”. Nie powiedział nic ciekawego ani nowego ponad to, co zwykli mówić w takich wypadkach dyktatorzy. Że trzeba obalić dawny, zbrodniczy system, wypędzić skorumpowanych urzędników, zmniejszyć podatki i przywrócić demokrację...

- Chwileczkę, Lorenzo. Słyszałeś jego przemówienie... Czy Ramirez nie ma dziwnego akcentu? Nie mówi waszym językiem tak, jak cudzoziemcy?... Jak ja?

- Nie - zdecydowanie potrząsnął głową. - Mówi tak jak my. A zresztą jak miałby mówić. Wiele osób znało go od dziesiątków lat, głównie w dzielnicy Agrota. To on, nie ma żadnych wątpliwości. Niski cukiernik w wieku około pięćdziesięciu lat, u którego miejscowi kupowali dawniej torty i lody...

- Ale co mu się stało, dlaczego zmienił się w polityka?

- Przedwczoraj w oświadczeniu transmitowanym przez telewizję powiedział, że odkrył sposób uczy-nienia z Boliwarii najbogatszego i najpotężniejszego państwa świata...

Informacje nie pasowały do siebie; wyglądało to tak jakbym próbował kręcić dwoma różnymi kółkami zębami. Przerwałem rozmyślania, jako że ważniejsze było w tej chwili zdobycie kilku danych:

- Lorenzo, gdzie mogę cię znaleźć?

- Wiesz, nie chcę zdradzać adresu...

- Rozumiem cię, ale możliwe, że będziemy się wzajemnie potrzebować. Powiedz przynajmniej, gdzie mogę zostawić dla ciebie wiadomość.

Po chwili wahania zdecydował się:

- W porcie rzeczonym jest „Karczma pod marynarzem”. Bufetowym jest wysoki, łysy facet. On przekaże wiadomość. - Lorenzo ponownie rozejrzał się i wstał. Nie zatrzymywałem go. Spacerowałem jeszcze parę minut po koczynie i dopiero potem wyszedłem na skąpany osłepiającym blaskiem plac, gdzie oczekiwał mnie wierny Barax.

Po obiedzie chciałem wynająć w jednej z dużych wypożyczalni samochodów, lecz okazało się, że także i to jest niemożliwe bez dokumentów. W okolicy kręcił się niski mężczyzna o nieprzyjemnej twarzy; gdy - nie załatwiwszy swej sprawy - wyszedłem, zbliżył się do mnie i poinformował mnie, że jeżeli zwróce się do jego „szwagra”, to bez żadnych papierów będę mógł dostać prawie nieużywany samochód. W zamian za banknot o znacznej wartości zdradził mi adres tego szwagra. Zatrzymaliśmy taksówkę. Szwagier okazał się mrukliwym osobnikiem o jeszcze mniej sympatycznym wyglądzie. Za jego małym podmiejskim domem krył się znakomicie funkcjonujący punkt handlu samochodami. Mogłem wybrać wóz dowolnego typu i rozmiaru - w dodatku niektóre z nich wyglądały na całkiem nowe. Nie miałem wątpliwości, że wszystkie pochodziły z kradzieży, zwłaszcza że pomocnik na moich oczach przyczepił do wybranego przeze mnie samochodu tablice rejestracyjne. Pouczył mnie, że jeżeli zatrzyma mnie policja, mam powiedzieć, że samochód wypożyczyłem w którymś z sąsiednich krajów. Wcisnął do kieszeni pieniądze i skinął mi dłonią na pożegnanie.

★

Wcześniej już w książce telefonicznej znalazłem adres cukiernika. Mieszkał przy ulicy Królowej, w domu pod numerem 88 - zanim stał się prezydentem...

Po upływie pół godziny zatrzymałem samochód w dzielnicy Agrota.

- Pójdę przodem, ty powoli ruszaj za mną.

- I tak nie puściłbym cię samego - mruknął Barax i wygramolił się z samochodu.

Wszedłem w bramę. Jakiś spłoszony kot uciekł przede mną, z okna piwnicy biło stęchłe powietrze. Klatka schodowa robiła wrażenie zniszczonej, zaniedbanej, moje kroki rozbrzmiewały echem. Na starożyteckiej tablicy widniała lista lokatorów z naderwanym rogiem. Obok słów „Ramirez cukiernik” widniała cyfra 2.

Na drugim pietrze panowała głucha cisza. Na ciemnobrunatnych, podwójnych drewnianych drzwiach wisiała mosiężna tabliczka z nazwiskiem Gallego Ramirez. Zapukałem. Spoza drzwi nie doszedł mnie żaden szmer. Nacisnąłem klamkę, drzwi były otwarte. Po krótkim wahaniu wszedłem do środka. Poczulem promieniowanie złej woli, lecz nikogo nie widziałem, bo w przedpokoju czy korytarzu było ciemno.

Później wydarzenia potoczyły się błyskawicznie...

Ktoś za moimi plecami zatrzęsnał drzwi, przed moją twarzą błysnęło ostre, oślepiające, niebieskawe światło. Lampa błyskowa aparatu fotograficznego. Jednocześnie poczułem, że silne ręce chwytają mnie za ramiona. Próbowałem się uwolnić, lecz wtedy ktoś uderzył mnie z tyłu w potylicę, opadłem bezwładnie, ale nie straciłem przytomności.

„Barax, pomóż” – krzyknąłem nieomal.

Raptownie zapaliły się światła. To, co wziąłem za przedpokój, było obszernym pomieszczeniem. Zapewne to dawniej nazywano właśnie „holem”. Pod ścianami stało kilka szaf, niski stolik, rosnąca w drewnianej skrzyni palma.

Było tu sześciu mężczyzn. Dwóch mnie trzymało, jeden stał przy drzwiach, pozostali przyglądali mi się. Czarne oczy, śniade twarze. Okrutne uśmiechy. Miałem uczucie, że to policjanci, tyle że akurat w tej chwili mają na sobie cywilne ubrania.

– Wpadliśmy w pułapkę?... – zapytał ten, który trzymał aparat fotograficzny. – Gadaj, kim jesteś i kto cię tu przysłał!

Nie miałem powodu, by milczeć. Zwłaszcza że Barax jeszcze tu nie dotarł. Musiałem mówić...

– To mieszkanie pana Ramireza, prawda?... Stąd rozpoczął swą pełną chwały drogę wielki prezydent narodu, Gallego Ramirez...

– Skończ te teksty, staruszku. Powiedz lepiej jak...

Nie mogłem już dokończyć zdania, bo drzwi wylała się z potwornym trzaskiem, grzebiąc pod sobą stojącego na straży mężczyzna. Moi strażnicy w zaskoczeniu puścili mnie i odwrócili się. Obie ręce Baraxa uderzyły jednocześnie. Ofiary natychmiast opadły na podłogę. Zrozumiałem, że Barax zamiast użyć broni promienistej, gazowej czy laserowej znowu wybrał „rozgrzewkę” – jak sam to niejednokrotnie określał. Oczywiście, nikt nie jest doskonały, nawet Barax. Czasami jest już bardzo znudzony wszystkimi formami supernowoczesnej techniki, niemal nieograniczonymi możliwościami, jakie posiada i zamiast tego woli dawno sprawdzone, lecz prymitywne środki... Wszystko to jedynie błysnęło mi w głowie, nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo w tym momencie walczyłem już z ich dowódcą. Aparat fotograficzny upadł na podłogę. Mężczyzna próbował uderzyć mnie w szyję, lecz odparowałem cios i sam uderzyłem go w skroń. Kolejny przeciwnik wyciągnął pistolet. Udało mi się zasłonić ciałem fotografa – huknął strzał i moja ofiara dziwnie zwiotczała. Następnie Barax znalazł się w pobliżu strzelającego, chwycił go i po prostu rzucił nim o ścianę. Posypały się kawałki tynku i tanie obrazy; mężczyzna rozciągnął się na podłodze i już się nie poruszył.

Ostatni z nieznanym próbował uciekać. Wyskoczył przez zrujnowane drzwi i rzucił się biegiem. Dopiero teraz zauważyłem, że mój towarzysz wyrwał drzwi razem z framugą. Na podłodze leżały cegły.

– Mam go złapać? – zapytał Barax spokojnie. Nie spieszył się. Ufał swoim niezwykłym możliwościom. Na rozkaz potrafił rozwijać szybkość przewyższającą ludzkie możliwości.

– Tak, ale nie doprowadzaj go z powrotem. Ja też idę.

Barax zrozumiał o co mi chodzi. W chwili gdy rozpoczął pościg, uciekający mężczyzna dotarł już na sam dół klatki schodowej. Podniosłem aparat fotograficzny i pospiesznie opuściłem mieszkanie. Bolała mnie głowa, lecz cieszyłem się, że znowu udało mi się wyjść cało. Wyjąłem z aparatu film, schowałem go do kieszeni, a prymitywne urządzenie wrzuciłem do piwnicy przez cuchnące kotami okienko. Wyszedłem na ulicę.

Barax i nieznamy mężczyzna stali przyciśnięci do siebie pod ścianą sąsiedniego domu. Z daleka wyglądało to tak, jakby obaj pochłonięci byli ożywioną rozmową, lecz wiedziałem, że tamten rozpaczliwie próbuje się oswobodzić ze stalowego uścisku mojego towarzysza.

– Nie... nie róbć mi krzywdy... Ja nic nie zrobiłem... Puśćcie mnie, błagam.

– Zobaczymy – powiedziałem surowo. – Wsiadamy do samochodu.

Prowadziłem, Barax siedział z tyłu i mocno trzymał jeńca. Był to niski, chudy człowieczek. Szybko opuściliśmy tamtą okolice i wyjechaliśmy na brzeg rzeki. Gdy zobaczyłem puste wybrzeże, przyszedł mi do głowy dobry pomysł. Zahamowałem, nie było tu nikogo. Wokół wznosiły się milczące budynki maga-

zynów. Po brudnoszarzej wodzie rzeki płynęło kilka czarnych barek. Panował gorący zaduch. Czulem, jak po plecach spływają mi krople potu.

Barax przeszukał kieszenie faceta. Znalazł kajdanki, legitymację i trochę gotówki. W legitymacji nie było zdjęcia, zamiast tego na trójbarwnym, ukośnym pasku wydrukowano słowa: „Policja państwowa”. Schwytany miał na imię Alberto.

- Karta się odwróciła, Alberto – powiedziałem, dumnie recytując nowo poznany zwrot językowy.
- Nic nie zrobiłem – zaczął tamten w odpowiedzi.
- Opowiadaj, po co się czaiście w tamtym mieszkaniu!
- Po nic, po nic. My tylko czekaliśmy...

Nie musiałem dawać Baraxowi znaku. Jedną ręką chwycił mężczyznę za kolano.

- Nieee! – zawył tamten próbując się oswobodzić. Było to jednak niemożliwe.
- Nie denerwuj mojego przyjaciela. Nie zna się na żartach – upomniałem Alberta. – Powiedz na kogo czekaliście w mieszkaniu Ramireza.

Trupio błady tajniak zaczął mówić. Czasami przerywał, wtedy Barax podnosił jedynie rękę i Alberto szybko ciągnął dalej:

„Już od tygodnia mieszkaliśmy w byłym domu Ramireza i czekaliśmy. Wiedzieliśmy tylko, że ma się zjawić jakiś cudzoziemiec. A teraz przyszedł pan...

- Od kogo dostaliście rozkaz?
- Od szefa tajnej policji, pułkownika Negadesa.
- W porządku, Alberto. Zapamiętaj nazwisko – Medina.
- Zapamiętałem, Medina – powiedział przestraszony agent. – Ale kto to jest?
- To ja. Kiedy oprzytomniejesz, pójdz do pułkownika i przekaż mu moje pozdrowienia.

Dałem Baraxowi znak. Mój towarzysz delikatnie położył lewą rękę na głowie Alberta. Pod wpływem dawki promieniowania policjant bezwładnie rozciągnął się na siedzeniu.

- Wyrzuc go na jezdnię – włączyłem silnik.

Tego samego wieczora przy pomocy chronotelefonu nawiązałem łączność z szefem. Nie było to łatwe. Właśnie dlatego nie lubię używać tego aparatu i jeżeli tylko mogę, unikam tego. Wygląda jakby nie był wynalazkiem naszej nowoczesnej epoki: toporny, trudny w obsłudze i niepewny w działaniu. Upływa wiele czasu, zanim człowiek natrafi na odpowiednią długość fali elektromagnetycznej i pokona zakłócenia wynikające z różnicy czasu i zmienności ziemskiego pola magnetycznego. Kłopoty skończyły się w chwili, gdy udało mi się połączyć z centralną radiostacją GALPOL-u – tamci potrafili znaleźć szefa niezależnie od tego, gdzie w danej chwili przebywał.

- ...Roy?...

- Tak, proszę pana. Mamy kłopot. – Mogliśmy rozmawiać bardzo krótko, cieniutka linia, która łączyła nas biegnąc przez stulecia, mogła się w każdej chwili zerwać.

- Ramirez czy Kilyos? – zapytał. Ucieszyłem się – a więc i oni już wiedzą! Miałem nadzieję, że do tej pory wysłedzili wszystko, co mogli.

- Ramirez! – odpowiedziałem.

- Analizatory dopiero przed chwilą natrafiły na jego zdjęcie. Za krótko był prezydentem Boliwarii i dlatego zostało niewiele jego fotografii.

- A więc rzeczywiście istniał? Nie jest Kilyosem?

- Jeszcze nie wiemy. Jest bardzo prawdopodobne, że mają ze sobą wiele wspólnego, możliwe, że chodzi o jedną i tę samą osobę. Nie mamy dużo czasu inspektorze, spieszcie się, bo za parę dni nadciągnie Front!

- Wiem, Kilyos spodziewał się nas, zastawił pułapkę.

- Niech i pan się dostanie do aparatu państwowego, Roy. Majaczy mi w pamięci nazwisko. Pułkownik Negades... Dobrze pamiętam?

- Tak, proszę pana. Jest taki, dość wysoki ranga.

- Roy, podaje hasła: policja, Negades, pucz, władza tymczasowa.

- Niewątpliwie chodzi o niego.

- Mam nadzieję, Roy.

- Pójde tym tropem.
- Zostawiam panu decyzję. Czy coś jeszcze?
- W tej chwili nie. Zgłoszę się później...

Rozdział 4

W porcie rzeczonym szybko odnaleźliśmy „Karczmę pod marynarzem”. Małe uliczki wychodziły w jednym miejscu na obszerny plac, przy betonowym nabrzeżu stały w rzędzie śmierdzące barki rybackie. Był czas sjeisty, więc w okolicy było niewiele przechodniów.

- Jaki numer rejestracyjny miał samochód, którym jechaliśmy przedwczoraj? - zapytałem.
- BA 27441 - odpowiedział Barax bez żadnego zdziwienia.

Wyrwałem z notatnika kartkę i napisałem:

Lorenzo!

Proszę cię, zorientuj się, kto jest właścicielem samochodu z numerem rejestracyjnym BA 27441. Interesuje mnie też adres domowy. Jutro zgłoszę się po odpowiedź. Pozdrawiam.

Nieznajomy.

- Pani Flora ucieszy się - stwierdził Barax.
 - Zaczekaj tu - powiedziałem i wszedłem do karczmy. Gdy otworzyłem drzwi przywitał mnie zaduch, mdlący odór alkoholu i hałas. Od razu zauważyłem rosłego, lysego bufeciarza, o którym mówił Lorenzo. Nie można go było nie dostrzec, przerastał o głowę nawet mnie. Przy stołach nakrytych krzycastymi obrusami było pełno. Kilka osób stało też pod ścianami trzymając w rękach szklanki.

Przycisnąłem się kontuaru i przywołałem bufetowego. Nie można powiedzieć, by się specjalnie spieszył. Przyjrzał mi się nieufnie. Pomyślałem, że w tych stronach nie bardzo lubią obcych.

- Szukam Lorenza - oświadczyłem.
- Nie znam żadnego Lorenza - odpowiedział krótko.
- W porządku. Zostawiam tu dla niego wiadomość. - Wyjąłem banknot i położyłem go na blacie razem z karteczką. - Jutro przyjdę po odpowiedź.

Patrzył na mnie wrogo. Oczywiście, jeżeli on także jest członkiem Frontu, to właśnie tak się musi zachowywać w stosunku do nieznajomych - uspokoiłem się i wróciłem do samochodu. Barax siedział nieruchomo i obserwował okolice.

Pojechaliśmy do śródmieścia. W kilku słowach powiedziałem Baraxowi, jakie będzie nasze następne posunięcie. Na ulicach było wiele osób, jak zwykle w tej okolicy. Domy kąpały się w powodzi promieni słonecznych. Barax pokręcił głową.

- Roy, gra jest niebezpieczna.
- Duża stawka, więc i ryzyko duże. Zapomniałeś, że chodzi o ciężkie złamanie czasu?... Konsekwencje...
- Konsekwencje mogą być nieprzewidywalne - naśladował głos szefa. W tym także był niedościgniony.

Pomimo upału na głównym dworcu kolejowym w Boliwar było pełno ludzi. Barax został w samochodzie, na parkingu, lecz usadowił się tak, by mieć na oku wejście. W hali odszukałem aparat telefoniczny.

W książce telefonicznej znalazłem numer komendy głównej policji. Zgłosił się jakiś mężczyzna, któremu oświadczyłem kategorycznym tonem, że chcę rozmawiać z pułkownikiem Negadesem. Niewłocznie przełączył mnie dalej.

- Słucham - powiedział inny mężczyzna.
- Proszę Negadesa.
- Kto prosi?
- Medina.
- Medina? Jakie jest pańskie imię, funkcja?
- Tyle wystarczy. Niech pan powie pułkownikowi, że szuka go Medina i niech mnie pan szybko połączy.

Zapadła pełna zdumienia cisza – prawdopodobnie nie tak zwykło się mówić na temat pułkownika. W końcu usłyszałem inny głos.

– Tu Negades. Kto mówi?

– Ten Medina, który wczoraj w mieszkaniu Ramireza załatwił wraz z kolegą pańskich nieudolnych ludzi, pułkownika.

Sądząc po krótkiej ciszy, jaka zapadła, zdanie to trafiło chyba w dziesiątkę. Mężczyzna kontynuował już innym tonem:

– Czego pan sobie życzy?

– Spotkać się z panem.

– Chwileczkę! – na moment zapadła głucha cisza, po czym pułkownik ciągnął dalej. – Po co mielibyśmy się spotykać?

– O tym nie będziemy rozmawiali przez telefon.

– Chyba nie myśli pan poważnie, że będę pertraktował z nieznanym. Przy mojej pozycji...

– Chodzi właśnie o pańską pozycję i karierę, pułkownika. Nie chce pan błyskawicznie znaleźć się wyżej w hierarchii? Proszę się chwilę zastanowić. Za dziesięć minut znowu do pana zadzwonię – odłożyłem słuchawkę. Spokojnym krokiem opuściłem hale. Przed głównym wejściem z czarnego samochodu wyskoczyło dwóch umundurowanych policjantów. Gdy dotarłem do parkingu, Barax uruchomił już samochód. Z daleka, z włączonymi syrenami, zbliżało się jeszcze kilka wozów, w jednym z nich siedzieli cywile. Zanim policjanci otoczyli dworzec, mkneliśmy szeroką magistralą. Prowadził Barax.

Poprzedniej nocy utrwalił sobie w pamięci plan miasta, nie potrzebowaliśmy już więc papierowego egzemplarza. Pomimo dużego ruchu bez trudu dotarliśmy na plac Świętej Trójcy. Przystanęliśmy przy innej budce telefonicznej. Natychmiast nakreśliłem numer Negadesa:

– Ej, ej pułkowniku – upomniałem go. – Stosuje pan takie wyświechtane chwyt?

– Dyszał tylko. Spieszyłem się – nadal istniało ryzyko, że dowiedzą się skąd dzwonię.

– Tak więc sądzę, że mielibyśmy o czym rozmawiać. Dla własnego dobra niech pan przyjdzie za godzinę do kawiarni „Calvados” na placu Świętej Trójcy. W ręku będę miał „El Dia”, po tym mnie pan pozna – szybko odłożyłem słuchawkę. Z budki telefonicznej widziałem szyld kawiarni „Calvados”. Ponad wystawionymi na chodnik białymi stołami lekki wietrzyk poruszał baldachimem w niebiesko-czerwone pasy. Miejsce wyglądało bardzo spokojnie. Jednakże wiedziałem, że być może niedługo tę senną ciszę przerwie huk wystrzałów. Przy kontaktach z tajną policją człowiek może spodziewać się wszystkiego.

Samochód zaparkowaliśmy po drugiej stronie placu. Z tylnego siedzenia wzięłem numer „El Dia” z poprzedniego dnia. Przy wejściu do kawiarni nie dostrzeżliśmy niczego podejrzanego. Barax usiadł wewnątrz, z gazetą w rękach, po czym nieudolnie, jak przystało na zagranicznego turystę, zamówił kawę. Ja tymczasem wszedłem na pięterko, gdzie byłem w tej chwili jedynym gościem. Usiadłem przy barierce, skąd mogłem widzieć siedzącego na dole Baraxa. Także zamówiłem kawę i – ponieważ od dzieciństwa lubię siodycze – kilka ciastek. Kelnerka była młoda i ładna. Przypomniała mi Flore. Dziwne – przebiegło mi przez myśl – że kobiety we wszystkich czasach są jednakowo pociągające.

Weszli nowi goście. Najpierw dwóch młodych mężczyzn zajęło miejsca koło Baraxa – później jeszcze dwóch i jeszcze trzech. Potem starszy gość, ubrany co prawda po cywilnemu, ale o zdecydowanie wojskowej postawie, zajął miejsce między Baraxem a tylnym wejściem. Mój przyjaciel siedział przed pełną filiżanką kawy. Ktoś mógłby się zdziwić, dlaczego jej nie pije... w dodatku było oczywiste, że niespecjalnie go interesuje trzymany przez niego numer „El Dia”.

O umówionej godzinie przed wejściem stanął czarny samochód. Słońce na zewnątrz żarzyło się oślepiającym blaskiem, stojące przy wejściu palmy w drewnianych skrzyniach smetnie opuszczały liście.

W drzwiach stanął mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat. Na jego brodzie widniała stara blizna. Miał żywe i inteligentne spojrzenie. Zauważyłem, że jeden z młodych ludzi odruchowo chce się zerwać z miejsca, by na widok dowódcy stanąć na baczność. Starszy pan o wojskowej postawie zagryzł wargi.

Szef ponurym spojrzeniem skarcił niezręcznego podwładnego, po czym zdecydowanym krokiem podszedł do Baraxa. Powietrze w kawiarni „Calvados” niemal zamarzło...

W sali na parterze siedzieli już tylko tajni policjanci i Barax.

Nie dosłyszałem co powiedział pułkownik. Barax wskazał na pietro. Mężczyzna wzruszył ramionami i skierował się ku schodom. Jego ludzie, którzy siedzieli gotowi do skoku na krawędziach krzesel, odprezyli się. Oni też nie pili swoich kaw. Pułkownik wszedł na pietro.

- Niech pan usiądzie, pułkowniku - uśmiechnąłem się serdecznie i wskazałem mu krzesło.

- Pan... Medina?

- Po dwóch rozmowach telefonicznych mógłby pan rozpoznać mój głos, pułkowniku. W naszym zawodzie to rzecz elementarna.

- W naszym zawodzie? Pan też jest... policjantem?

- Tak, panie Negades. A nawet, żeby być dokładnym, pracuję w tajnej policji. Tylko, że nie w Boliwarii.

- Skąd pan przybył?

- To nie jest teraz ważne. Obiecałem, że zatroszcze się o pańską karierę. Oczywiście nie za darmo...

Negades rozparł się na krześle. Kelnerka nie pojawiała się, zapewne zatrzymali ją ludzie pułkownika, żeby nie przeszkadzała w rozmowie.

- Poznaliśmy się w nieco dziwnych okolicznościach - zaczął pułkownik. - Nie wiem czy mogę panu ufać.

- Nie chce pan być prezydentem tego kraju? To jest pański prawdziwy cel, Negades.

Zdziwił się:

- Prezydentem?... - wyszeptał. W jego oczach pojawił się jakiś błysk. Najpierw... strach. Ugodziłem go w najczulsze miejsce: to było jego największe pragnienie. Łatwo mogłem tak twierdzić - znałem przecież przyszłość. Nawet jeżeli nie dokładnie, a tylko w ogólnym zarysie - to jednak znałem rolę, jaką odegrał w niej Negades. Szybko ciągnąłem dalej.

- Wiem, że wiele osób ubiega się o to stanowisko: generałowie, politycy i inni... No i z pewnością pan Ramirez także nie chce stracić prezydenckiego stołka, na którym właśnie usiadł... Ale nim niech się pan nie przejmuje, Negades. Ramirezem ja się zajmę.

- Jak to pan rozumie? - zapytał.

- Powtarzam, jeżeli dojde z panem do porozumienia, nie będzie pan mieć kłopotów z Ramirezem. Co więcej, być może wspólnymi siłami uda się nam odsunąć także innych konkurentów.

Negades wziął głęboki oddech.

- Jaki jest pański plan, Medina? Proszę mówić. Chce pan udziału we władzy?

- Nie. Nie zostanę w tym kraju. Aby mówić o szczegółach jest jeszcze za wcześnie. Ale niech mi pan wierzy: nie mam wiele czasu, tę sprawę muszę załatwić szybko. Mogę na to poświęcić najwyżej trzy-cztery dni.

Widziałem po wyrazie jego twarzy, że wcale mi nie wierzy. Zrobił rzecz zaskakującą. Wprawnym, błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni marynarki rewolwer i wycelował we mnie.

- Dostyc, Medina. Wybiję panu z głowy głupie pomysły. Jeden nieostrożny ruch i rozwałę panu głowę...

Na twarzy zamarł mi zuchwały uśmiech. W pierwszej - ciągnącej się w nieskończoność - sekundzie nie mogłem wprost uwierzyć, że przegrałem.

- Niech pan idzie przodem i powie swojemu towarzyszkowi, żeby nie robił głupstw, bo zastrzelił pana jak wściekłego psa.

To także był rzadki zwrot językowy, lecz w tym momencie nie potrafiłem go należycie docenić. Wsta-

lem. Negades wycofał się na bezpieczną odległość i jak jastrząb obserwował każdy mój ruch. Błyskawicznie ocenilem sytuację: kontratak nie wróżył powodzenia. Byłem bezbronny, wszak moją bronią był Barax...

Tak więc doszliśmy do podnóża schodów. Baraxowi powiedziałem:

- Na razie ustępujemy. Sądzę, że pułkownik chce przedyskutować moją propozycję w spokojniejszym otoczeniu.

Mój towarzysz powoli wstał. Siedzący przy sąsiednich stolikach policjanci podbiegli do nas i skuli nas kajdankami. Barax z nieruchomą twarzą przyłączył się do dziwnego pochodu. Gdy wyszedłem na ulicę, na chwilę oślepił mnie blask słońca. Wepchnięto mnie do pierwszego czarnego samochodu, Barax znalazł się w drugim.

Byłem spokojny. W końcu sprawy przybrały taki obrót, jak planowaliśmy. Nawiązałem kontakt z człowiekiem, który w nadchodzących dniach stanie się ważny z punktu widzenia zbliżających się wydarzeń. Powiedziałem mu, co należało. Jedno jest pewne: dopóki nie dowiemy się jakie są rzeczywiste zamysły pułkownika Negadesa, nie warto przerywać rozgrywki. Błędem byłoby piętrzyć kolejne złamania czasu. Na razie musimy wystrzegać się czynów, z powodu których dwudziestowieczne władze mogły przypisać nam „pozaziemską”, „nadprzyrodzoną” siłę.

Tu nie będziemy mieć łatwego zadania – pomyślałem w chwili gdy samochody zwalniały przed ponurym, szarym budynkiem. Wejścia strzegli umundurowani policjanci. Uniósł się masywny, metalowy szlaban i samochody zatrzymały się na mrocznym, pustym, betonowym podwórku. W gnieniu oka zaczęły się koło nas mrowić przynajmniej dwa tuziny cywilnych i umundurowanych policjantów. Pomiedzy żebrami poczułem dwie lufy pistoletów. Było to bardzo dziwne uczucie... Przez chwilę niemal już żalowałem, że swego czasu – w mojej dalekiej przyszłości-przeszłości – wstąpiłem do GALPOL-u. Zaciśnąłem zęby i wzrokiem poszukałem Baraxa. Serce biło mi szybko.

Barax był niczym pomnik, który odrobine ożył. Poruszał się miarowo, powoli. Tajniacy szarpali go za skute kajdankami ręce, ale nie mogli zniszczyć jego spokoju, który i mnie zaczął się udzielać. W tym świecie nikt poza mną nie mógł wiedzieć, że Barax nie boi się śmierci. Jest idealnym towarzyszem, przyjacielem, strażnikiem – potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Miałem nadzieję, że i tym razem tak będzie.

Negades wydawał polecenia. Rozkazy odbijały się echem od nagich ścian. Dostrzegłem wiele zakratowanych okien i przypomniawszy sobie swe historyczne studia nie miałem już wątpliwości, gdzie trafiliśmy.

Po pięciu minutach wepchnięto mnie do biurowego pokoju o spartańskim wyposażeniu i posadzono na krześle. Nie zdjęto mi kajdanek. Dookoła stało pięciu mężczyzn i Negades. Baraxa zaprowadzono do innego pomieszczenia.

- No – pułkownik wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Teraz możemy porozmawiać bez przeszkód, Medina!...

- Wątpię, pułkowniku. Jest nas za dużo.

Jeden z nich przysunął się, podnosząc na mnie rękę:

- Co ty sobie wyobrażasz, ty!...

- Stój – zatrzymał go pułkownik. – Później... Jeżeli nasz przyjaciel nie zechce rozmawiać po dobru...

Powiedział „przyjaciel”, lecz w jego głosie próżno było szukać przyjacielskiego zabarwienia. Negades groził mi i zaczynałem rozumieć, że sprawa przybiera poważny obrót. Znowu musiałem postawić wszystko na jedną kartę.

- Pułkowniku, także w pańskim interesie... – zacząłem.

- Milcz! – wrzasnął i przez jego twarz przeleciał grymas gniewu. – Niech pan odpowie, Medina, kto pana tutaj przysłał? Przyjechał pan z zachodu czy ze wschodu? A może wynajął pana Ramirez? Czym chciał mnie pan przekupić?

Wyglądało na to, że na próżno mówiłem mu o przejęciu władzy. Czyżby nie wierzył, że mogę mu w tym pomóc? A może bał się wierzyć? Tylko jednego byłem pewien: nie porzucił swych zamiarów. Czytałem w pracach historycznych, że później znalazł się jednak u władzy... Wiedziałem już, że będę potrzebował Baraxa.

„Działaj” – skoncentrowałem się na tym rozkazie. Barax nie mógł być daleko. Jeszcze nie. Mój rozkaz dotrze do niego.

– No, milczymy? A może pan zaprzecza, że w kawiarni próbował mnie pan wciągnąć do antypanstwowego spisku?

Musiałem zyskać na czasie. „Działaj, Barax! Barax!...” wziąłem głęboki oddech:

– Nie zaprzeczam, pułkowniku.

Negades rzucił swym towarzyszom pełne ulgi spojrzenie. Czuł się już w siodle, jak wtedy mawiano w takich okolicznościach. Znowu odwrócił się do mnie, chciał o coś zapytać...

Gdzieś z bliska dobiegł nas straszliwy wrzask. Początkowo nie mogłem uwierzyć, że człowiek może tak wrzeszczeć. Krew we mnie zastygła. Głos wydobywał się z głębi krtani, pełen bólu, zrezygowany, beznadziejny. Obserwowałem twarz Negadesa. Pojawiła się na niej złośliwa radość:

– Słyszysz pan, Medina. Pański przyjaciel niedługo powie wszystko! Mamy środki, żeby zmusić do mówienia nawet niemych.

Ale ja wiedziałem, że to nie Barax krzyczał. On nie jest do tego zdolny i nie można mu sprawić bólu!

Na korytarzu rozległy się kroki biegnącego człowieka. Jednocześnie stojąca na biurku pułkownika lampa dwukrotnie mrugnęła, po czym zaczęła świecić coraz słabiej. Zauważyłem, że stojący w pokoju mężczyźni spojrzeli na siebie. W tej chwili poczułem, jak bardzo jestem bezradny z kajdankami na rękach.

Przez drzwi wpadł rozczochrany mężczyzna w mundurze: – Panie pułkowniku... ten drugi...ten, drugi – jękał się przerażony i dygotał na całym ciele.

– Co się stało? Umarł? Mów! – huknął nań Negades.

– Chcieliśmy go potraktować prądem, tak jak pan pułkownik rozkazał. Ale... nie uwierzyłbym, gdybym nie widział na własne oczy. Położyliśmy go na żelaznym łóżku, Gonzales podszedł do kontaktu i tam pozostał.

– To on krzyczał?

– Tak, panie pułkowniku. Później stracił przytomność.

W tym momencie lampa zgasa ostatecznie. „Jestem tu” – zawibrowała w mym mózgu wiadomość przesłana przez Baraxa. Błyskawicznie skoczyłem do kąta, w pobliże zasłoniętego żaluzją okna.

Rozległ się potężny huk, drzwi wpadły do środka. W napływającym z korytarza mrocznym świetle sylwetka Baraxa wydawała się olbrzymia. Już dawno zerwał z siebie kajdanki.

– Barax, drugi stopień! – krzyknąłem.

Na mój rozkaz jego ruchy natychmiast uległy przyspieszeniu. Głucho zadudniły ciosy. Ludzie Negadesa nie zdążyli nawet krzyknąć – z jękiem padali na podłogę. Pułkownik próbował uciekać, lecz podstawiłem mu nogę. Padając wyciągnął pistolet. W ostatniej chwili Barax skoczył przede mnie. Pocisk utkwił w nim.

– Dzięki – powiedziałem i ciosem karate obezwładniłem Negadesa.

– Twoja broń – Barax wcisnął mi do ręki miotacz promieni, rozrywając jednocześnie obczepie moich kajdanek. Jeden z policjantów właśnie się podnosił – chciał zaatakować Baraxa od tyłu. Uderzyłem go w czoło kolbą pistoletu. Wybiegliśmy na korytarz.

W budynku brzęczały alarmowe dzwonki. Na parterze ktoś wydawał przez megafon rozkazy.

– Wszyscy polują na nas – powiedział Barax zupełnie niepotrzebnie. Sam widziałem, co się dzieje.

– Wyłącz dzwonki.

Wyrwał ze ściany lampę i chwycił wystające nagie druty. Z ręki trysnęły mu niebieskawe iskry. Przez okno dostrzegłem, że na okolicznych ulicach gasną światła.

- Puściłem w sieć przynajmniej 10 tysięcy woltów - zakomunikował Barax flegmatycznie. - Przepaliły się przewody.

Zamilkły dzwonki alarmowe i megafony. Słyszeliśmy jednak zbliżających się ludzi - od strony schodów pojawiły się uzbrojone sylwetki. Przeciwno takiemu tłumowi musieliśmy działać szybko i skutecznie. Strzeliłem z pistoletu - dawka niewidzialnych promieni natychmiast ich obezwładniła. Padli, straciwszy przytomność.

- Na dach - rozkazałem. Ledwie skończyłem zdanie, Barax pomknął korytarzem niczym wyścigowy samochód. - Hej chłopie, włącz z powrotem trzeci stopień, bo nigdy cię nie dogonie. Zawsze zapominasz, że ja jestem tylko zwykłym człowiekiem - zbeształem go, gdy wbiegliśmy na następne piętro. Później dostaliśmy się na płaski dach. Musiało tam być lądowisko helikopterów, bo dostrzegłem wymalowane znaki. Nie było jednak ani śladu powietrznych pojazdów.

- Idą - spokojnie powiedział Barax. Policjanci wyskoczyli z dwóch drzwi naraz. Jednocześnie strzeliliśmy z miotaczy - umundurowani mężczyźni runeli na siebie.

- Biegiem! - odezwał się Barax. Wyglądało na to, że przejął kierowanie akcją, lecz wówczas nie myślałem o tym. Wiedziałem natomiast, że dzięki swym możliwościom tylko on może nas uratować. Przebiegliśmy dach. Przy jednym z narożników zza rynny wystawała barierka drabiny przeciwpożarowej.

- Idź, będę cię osłaniał! - krzyknął mój towarzysz. Drabinka przeciwpożarowa prowadziła na dach sąsiedniego, znacznie niższego domu. „Spiesz się” - zadudniło mi w mózgu.

Z dachu drugiego budynku przedostałem się na strych. „Chodź” - zasygnalizowałem Baraxowi. Gdy spojrziałem za siebie, już leciał... Skoczył po prostu z dachu wiezienia, z wysokości około trzydziestu pięciu metrów. Na sekundę wstrzymałem oddech. No cóż, Barax taki już jest. Nie przypadkiem wziąłem ze sobą właśnie jego...

Niemal zablądziliśmy na olbrzymim strychu obcego domu. Wreszcie znaleźliśmy zejście. Zbiegliśmy po wąskich schodach... Z dołu słyszeliśmy sfitumione okrzyki.

- Na pewno obstawili wyjście - zauważył Barax ze zwykłym spokojem.

- Chodźmy - powiedziałem zdecydowanie. Na wysokości pierwszego piętra znalazłem korytarz, który prowadził na podwórko. Nikogo tam nie zauważyliśmy. Barax na wszelki wypadek omiótł okolice wiązką promieni. Przez ciemną bramę wymknęliśmy się na ulicę. Zapadał zmierzch. Z daleka dostrzegliśmy umundurowanych mężczyzn czekających przy drugim wyjściu. Zza rogu wyjechał samochód. Zbliżał się powoli w naszą stronę - siedząc w nim mężczyźni sprawdzali bramy.

- W samą porę. Potrzebujemy jakiegoś pojazdu - powiedziałem. Gdy jadące wolno auto zbliżyło się, wysunąłem zza załomu ściany rękę, w której trzymałem miotacz promieni i nacisnąłem guzik. Samochód powoli toczył się dalej, po czym stanął.

Barax otworzył drzwi i wyrzucił na jezdnię cztery bezwładne ciała w mundurach. Wsiadliśmy. Nacisnąłem pedał gazu.

- Niemal zabiłeś człowieka - powiedziałem chwilę później. Pedziliśmy przez rzesiście oświetlone ulice. Zrobił się już wieczór. Nad jednym z placów pod niebo wzbijała się kopała fontanny, przez okna kolorowych autobusów wychylały się ładne dziewczęta. Na małym podium przed domem towarowym grała orkiestra. Żółto błyszczał saksofon.

- Ale tylko niemal - powiedział Barax bez najmniejszego zakłopotania. - Chcieli mnie torturować za pomocą prądu elektrycznego, żebym zdradził, skąd jesteśmy i kto nas tu przysłał... No to dałem im parę tysiący woltów. Ten człowiek najwyraźniej miał pecha...

Milczałem. Cóż mogłem powiedzieć? Chyba nie popełniliśmy złamania czasu - policjanci będą podejrzewać spieczętowanie w sieci elektrycznej. Nie przyjdzie im nawet do głowy, że to co się przydarzyło temu nieszczęsnemu policjantowi, było dziełem jednego z aresztowanych.

- Do jasnej cholery, co za epoka! - wściekał się dalej Barax. - Najpierw mnie uderzyli, ale ja ich tylko wyśmiałem. Zobaczyli, że w ten sposób niczego nie osiągnęli, więc chcieli zastosować prąd... Roy, dlaczego to zrobili?

- To trudne pytanie, Barax. W tej epoce był to powszechny zwyczaj.

- Po to są tajni policjanci, żeby tak traktować ludzi?

- Tak. Po to istnieje ta instytucja, po to opłaca się jej członków. Rzecz jasna, dostają wyższe płace, niż najlepsi specjaliści.

Barax z powątpiewaniem kreślił głową:

- Mówisz, że rząd po to płaci się tym ludziom, żeby występowali jako przeciwnicy znacznej części społeczeństwa?

- Właśnie tak.

- Czy oni jeszcze nie wiedzą, że człowiek nie może panować nad innymi? Że nad świadomością nie da się panować przez dłuższy czas?

- Nie chcą przyjąć do wiadomości tej prostej i podstawowej prawdy - wyjaśniłem.

- No to są beznadziejnie głupi! - kiwnął głową Barax. Sądziłem, że na tym zakończył swe rozważania, lecz nie, zaczął od nowa:

- Tak więc doprowadzili do tego, że wszyscy żyją w strachu.

- Słusznie mówisz.

- W takim razie byłoby szkoda tego policjanta, gdyby zabił go prąd - nieoczekiwanie stwierdził Barax. Wcale nie zaskoczyła mnie jego logika, choć nie oczekiwałem tego po nim.

- Szkoda każdego życia, Barax.

- Roy, ty patrzysz na to społeczeństwo przez pryzmat logiki XXXI wieku - zganił mnie.

Zaskoczył mnie jego głos. Mówił jakoś inaczej niż zwykle... Na próżno go obserwowałem, twarz miał nieruchomą jak zawsze.

Zostawiliśmy samochód na obszernym parkingu jakiejś restauracji i pieszo poszliśmy do domu. Zjadłem coś i położyłem się. Barax obszedł mieszkanie, sprawdził drzwi i okna, i wszedł do mojego pokoju.

- Wiesz, Roy, pomyślałem sobie, że gdyby wszyscy naraz zbuntowali się przeciwko rządowi i policji, to można by ich wygnać.

- Wymyśliłeś rewolucję, Barax - mruknąłem sennie. - Chłopie, daj mi spać.

Zasnąłem, zaś on nieruchomo stał na straży przez całą noc.

Rozdział 5

- ... A gdyby we wszystkich miastach i wsiach ludzie w tej samej minucie zaatakowali na posterunki policji, - kontynuował Barax tym samym tonem o wpół do ósmej rano, gdy się obudziłem. Uświadomiłem sobie, że dla niego noc nie istnieje, tak że rozpoczął rozmowę dokładnie w tym samym miejscu, gdzie ją przerwał poprzedniego dnia.

- W ten sposób wymyśliłeś spisek - mruknąłem niechętnie i poszedłem się umyć. Nie lubiłem rozmawiać rano o polityce. Ale Barax wszedł oczywiście za mną do łazienki i natrętnie, choć z zapalem ciągnął dalej:

- Gdyby tak zrobili, to byłby koniec, nie, Roy?

- Nie byłby koniec, kochany przyjacielu, drogi Baraxie! - wycharczałem myjąc zęby i plując pianą. - Nie byłby koniec, bo zrealizowanie takiego spisku jest niemożliwe!

- Czy w takim razie nie ma z tej sytuacji wyjścia, Roy? - spytał Barax.

- Wreć przeciwnie, Barax. Przecież to co teraz widzisz to zamierzchła przeszłość. Ludzkość wydobyła się z tego, podobnie jak z innych opresji. Przeczytaj książki historyczne.

Wreszcie zostawił mnie samego i mogłem dokończyć skomplikowaną czynność mycia.



Marek Zaleski

★

Przed południem w wąskich uliczkach portowej dzielnicy było niewielu przechodniów. Samochód znaleźliśmy pod kawiarnią „Calvados”, w tym samym miejscu, w którym go zostawiliśmy. W okolicy nie kreślił się nikt podejrzany. Nikt też nas nie śledził – tak więc bez żadnych przygód dotarliśmy na portowy plac. Gdy się zatrzymaliśmy, samochód otoczyło kilkoro odzianych w łachmany dzieci:

– Señor, niech pan da trochę pieniędzy! – krzyczały.

Barax zdziwił się.

– Roy, czego one chcą?

– Żebrzą, stary.

– Żebrzą? Co to znaczy?

Z rozpaczą spojrzałem w niebo.

– Powiem ci przy okazji. Zaczekaj. – Rozpedzając dzieci wszedłem do karczmy. Tym razem sala była stosunkowo pusta. Gdy tylko rosły bufeciarz spostrzegł mnie, ścierka w jego reku znieruchomiała. Utkwił we mnie spojrzenie swoich dużych, wilgotnych, cieplecych oczu:

– Czekają na pana na górze – powiedział cicho i wskazał w stronę wąskich schodków prowadzących na piętro, które znajdowały się obok drzwi zaplecza. Przez sekundę wahałem się: a jeżeli to pułapka?... Jednakże Barax był dość blisko. W razie kłopotów mogłem go zaalarmować w mgnieniu oka.

Na górze czekał znacznie starszy ode mnie, siwowłosy człowiek.

– Przysłała mnie Lorenzo – powiedział. – Przyjmijmy, że nazywam się Lopez.

– Jestem Roy Medina i przyjmijmy, że jest to moje prawdziwe nazwisko – odpowiedziałem, bacznie obserwując jego twarz. Mógł mieć 55–60 lat, lecz jego twarz pokrywała sieć niezliczonych zmarszczek. – A więc i pan jest w konspiracji.

– Dyktatura zmusza mnie do tego – odpowiedział wymijająco, lecz nie wrogo.

– Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan donosicielem? – zadałem mu pytanie i zaraz przyszedł mi do głowy pomysł rozwiązania tego problemu:

– Jeżeli zna pan Lorenza, to w takim razie musi pan też wiedzieć jak się nazywa jego narzeczona.

– Estrella Juarez i mieszka w Lorii – odrzekł natychmiast, a później się poprawił. – To znaczy mieszkała. Teraz jest tutaj razem z Lorenzem.

– A więc i ona się ukrywa – wyjrzałem przez okno. Dostrzegłem plac i nasz samochód. Żebrzące dzieci już odeszły. Barax czekał w samochodzie.

– W pewnym sensie wszyscy się ukrywamy. Niektórzy ukrywają swoje ciała, inni – swoje myśli – ciągnął Lopez. – Nawiasem mówiąc tu jest odpowiedź na pański wczorajszy list.

Wcisnął mi do ręki kartkę. Rzuciłem na nią jedynie okiem i wsunąłem do kieszeni. Teraz bardziej interesował mnie ten mężczyzna.

– Nie wygląda pan na chłopca czy robotnika, panie Lopez.

– Wykładałem na uniwersytecie w Boliwar. Jestem profesorem literatury latynoamerykańskiej. To znaczy, byłem... i być może znowu będę.

– Jeżeli Front zwycięży.

– Tak, jeżeli zwyciężymy – odpowiedział z troską w głosie. – Ale do tego jeszcze daleko.

– Możliwe, że bliżej, niż się pan spodziewa... – niemal ugryzłem się w język: tego nie wolno mi powiedzieć! Żadnych aluzji do zwycięstwa Frontu! To, co już wiem, dla tych ludzi musi pozostać mglistą przyszłością. Jednocześnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

– Panie profesorze, czy dużo ludzi macie w mieście?

– Rozumie pan chyba, że na to pytanie nie mogę odpowiedzieć?

– Oczywiście, jestem przecież obcy... Mimo to sądzę, że dużą pomocą byłoby dla was, gdyby ktoś... hm... odsunął prezydenta Ramireza?

– Sugeruje pan zamach?

– Nie całkiem, ale i tak możemy to nazwać.

– Oczywiście, moglibyśmy wykorzystać powstałe zamieszanie, ale tylko wtedy, gdybyśmy z góry znali termin akcji...

- Tego nie mogę obiecać.
- Trudno jest pertraktować na taki temat, sēnor Medina. Dla kogo właściwie pan pracuje?
- „Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć”, jak się pan przed chwilą wyraził, panie profesorze – odpowiedziałem. – Pozostaliśmy więc przy tym, że przybyłem z daleka. Powiedzmy z zagranicy. Ze względu na pewną dawną sprawę, naszych mocodawców interesuje wyłącznie osoba prezydenta Ramireza. Nie mamy nic wspólnego z wewnętrznymi sprawami Boliwarii i nie chcemy się mieszać w problemy waszego kraju. Sądze natomiast, że zarówno wy, Front, jak i my, którzy polujemy na Ramireza, możemy z powodzeniem współpracować. Z naszej akcji i wy możecie wyciągnąć korzyści, panie profesorze.
- Brzmi to jak fragment scenariusza filmu przygodowego – uśmiechnął się mężczyzna z pewnym niedowierzaniem. Później odezwał się:
 - Omówię to z naszymi przywódcami. Jeżeli i oni się zgodzą, pomożemy panu.
 - Kiedy poznam odpowiedź?
 - Za dwa lub trzy dni.
 - Gdzie pana znajde? – zapytałem głupio. No cóż, nie idzie mi ta konspiracja. Lopez miło się uśmiechnął. Jego pomarszczona twarz przybrała sympatyczny wygląd.
 - Nigdzie... Dziś jest dwudziesty szósty. Dwudziestego ósmego pod wieczór niech pan przyjdzie tutaj i odszuka Lorenza.

Nieoczekiwanie wyciągnął do mnie rękę. Podejrzewałem, że nie ma o mnie najlepszego zdania: uważa mnie za tajnego agenta, najemnego mordercę, w najlepszym przypadku za nieco bardziej kulturalnego snajpera. Dlatego też doceniłem ten gest. Pod koniec dwudziestego wieku niektórzy ludzie przywiązywali do niego dużą wagę.

★

Odjechaliśmy w stronę śródmieścia. Znowu prowadził Barax. Samochód gładko mknął po ruchliwej arterii. Na kartce, którą otrzymałem od Lorenza widniało jedynie tyle: *Florencja Baderos – dzielnica Algeciras 186*.

- Ta dzielnica leży na północnym skraju miasta, dość daleko od centrum – oświadczył Barax spoglądając na kartkę i zapytał: - Co robimy teraz?

- Właśnie przejeżdżaliśmy przed kościołem Nuestra Señora. Zacząłem się już orientować bez planu.
- Musimy jeszcze raz porozmawiać z pewnym naszym znajomym – mój towarzysz zrozumiał i pokręcił głową.
 - To niebezpieczna sprawa, Roy.
 - Wiem, ale potrzebne nam są informacje. Pułkownik Negades jest jednym z tych, którzy wszystko wie, a co więcej podejmują decyzje w sprawach Boliwarii.
 - Sam widziałeś wczoraj, że nie można się z nim dogadać.
 - Być może od tamtego czasu przemyślał kilka spraw i będzie bardziej skłonny do rozmów – stwierdziłem. Barax bez słowa wyjął pistolet i podał mi go. Potem zatrzymał samochód przed budką telefoniczną. Nakreśliłem numer.

- Poproszę pułkownika Negadesa.
- Kto prosi?
- Medina.

Znowu ta sama pełna zdumienia cisza, po niej znajomy głos:

- Negades, słucham.
- Mówi Medina. Jak się pan miewa, pułkowniku?

Negades milczał, być może nie spodziewał się, że znowu do niego zadzwonie.

- No, pułkowniku?... Sądze, że odsapnął pan już po wczorajszym spotkaniu. W naszym fachu czasami spotyka człowieka niepowodzenie. Jednakże nie dokończyliśmy ważnych pertraktacji, nie sądzi pan? Nie cofnąłem swojej propozycji, pułkowniku.

- Ale... ale...

- Niech się pan nie jąka, kolego. Chodzi o pańską karierę. Jeżeli rzeczywiście chce pan zrealizować swoje śmiałe plany, to spotkanie leży także w pańskim interesie. Proszę natychmiast przyjść do kościoła Nuestra Señora. Ale tym razem niech pan będzie sam, pułkowniku! - odłożyłem słuchawkę.

★

Pułkownik kazał na siebie czekać dwadzieścia minut. Wszedł do kościoła niezbyt pewnie. Zauważył mnie od razu - nie chowałem się. Poprzez lukowate witraże wpadały niebieskie, czerwone, żółte i zielone promienie. Z tyłu, w ławkach kłębało jedynie kilka starych kobiet ze splecionymi rękami i pochylonymi głowami. Nagle poczułem się w tym otoczeniu jak świętokradca.

- Niech pan podejdzie, pułkowniku. Nieco wstrząsnęły panem wczorajsze wydarzenia?...
- Niech pan powie, Medina, jak to zrobiliście?
- Mamy nie znaną wam broń i jeżeli zachodzi potrzeba nie wahamy się jej użyć - odpowiedziałem tak uprzejmie jak tylko potrafiłem. Zaczęłem nienawidzić tego człowieka, ale wiedziałem, że jest nam potrzebny. Przynajmniej na razie.
- A teraz czego pan ode mnie chce?
- Kilku informacji. I oczywiście, pełnej dyskrecji - obserwowałem jego twarz. Warażała wahanie i strach, ale i chytrą. Sądziłem, że pułkownik szybko chwyci przynętę. Chciał władzy i już rozważał, jaką korzyść może mu przynieść nasza rozmowa.
- Słusznie pan rozumuje, pułkowniku. Niech pan nigdy nie zapomina o własnych korzyściach, byłoby to duże niedopatrzenie...

To go zupełnie zaskoczyło.

- Skąd pan wie o czym myślałem?
- Mam nadprzyrodzone zdolności - odpowiedziałem. Właściwie nie kłamałem. W porównaniu z ludźmi z końca dwudziestego wieku, my w trzydziestym pierwszym dysponowaliśmy dzięki psychologii takimi środkami, które tu mogły wydawać się nadprzyrodzone - nawet jeżeli były zupełnie naturalne i tak stare jak na przykład telepatia.
- Czego chcesz? - zapytał pułkownik z napięciem i przełknął ślinę.
- Wszelkich informacji o obecnym życiu prezydenta Ramireza. Szczególnie interesuje nas, co będzie robił w najbliższych dniach. Kiedy, gdzie i z kim się spotka? Kiedy, w jakim kierunku i w jaki sposób wyjedzie ze swego dobrze strzeżonego pałacu?
- A wiec... zamach? - szepnął Negades. Dobrze wiedziałem, że ogarnie go podniecenie.
- No, no, kolego!... Tylko bez paniki. Co prawda bardzo pobieżnie znam wydarzenia ostatnich lat w Boliwarii, lecz wydaje mi się, że przeżył już pan kilka zamachów stanu i puczów...
- To prawda... Lecz nigdy dotąd nie byłem na takim stanowisku jak teraz.
- Tym lepiej. Stąd łatwiej skoczyć jeszcze wyżej.

Zastanowił się nad tym przez chwilę. Gdy podjął rozmowę, jego twarz przybrała znowu chytry wyraz.

- Co otrzymam... w zamian za informacje?
- Inną informację. Taką, którą będą znać tylko trzy osoby w tym kraju. Ja, mój kolega i pan.
- To znaczy?
- Dowie się pan, kiedy zostanie wyłączony z gry Gallego Ramirez. Pułkowniku, jest pan szefem tajnych służb Boliwarii. Nie muszę panu tłumaczyć, jak ogromną wartość może mieć w pańskim ręku taka informacja.

Skinął głową, przez jego twarz przebiegł nerwowy uśmiech, który zaraz zniknął bez śladu.

- A czy pan mi ufa?
- Niespecjalnie - szczerze odpowiedziałem. - Ale potrzebuję pana... Jeżeli dobrze się pan zastanowi, to dojdzie pan do wniosku, że i pan mnie potrzebuje, pułkowniku. Gdyby mnie nie było i nie dokonałbym w krótkim czasie tego, co planuje, zmarnowałby pan swoje siły w zakulisowych walkach. A tak może się pan za jednym zamachem dostać na samą górę i tylko od pana będzie zależeć, jak silnie uchyci pan władzę...

...918...918

- Jaką mam gwarancję, że mnie pan nie oszuka?
- Nie ma pan gwarancji, Negades. Może tylko te, że nas nie interesują wasze rozgrywki wewnętrzne. Mnie i mojego kolegę przysłano tutaj wyłącznie w celu wykonania tylko jednego zadania, które przeprowadzimy z pana pomocą, pułkownika, lub bez niej. Jeżeli dostarczy nam pan informacje, zapłacimy za to właśnie panu. Jeżeli się pan nie zgodzi, na pewno znajdziemy w rządzie człowieka, który będzie do tego skłonny... Przekonał się pan już o naszych możliwościach, a raczej skromnej ich części...
- W porządku, na kiedy mam dostarczyć informacje?
- Na wczoraj - odparłem prezentując moje dwudziestowieczne poczucie humoru.
- Jutro, późnym wieczorem - powiedział. Teraz naprawdę się zastanawiał. Zmarszczył czoło jak młody jamnik. - I niech pan więcej nie telefonuje do biura, Medina.
- Tylko w nadzwyczajnym wypadku... Jutro wieczorem o dziesiątej czekam na pana tu, przed kościołem - skinąłem głową. On też uklonił się z wahaniem. Później odwrócił się na piecie i odszedł. Gdy wyszedł od razu doszło do mnie pytanie zaniepokojonego Baraxa: „Roy, wszystko w porządku?”
- „Tak” - odpowiedziałem i przez chwilę patrzyłem na jeden ze świętych obrazów. Obserwowałem twarz starego mężczyzny z białą brodą. Parę oczu, z których bił cudowny spokój. W ustach czułem gorzki smak. Powierzono mi przez szefa zadanie coraz mniej mi się podobało. Czułem się jak hiena cmentarna. Okradam groby i grzebiąc wokół zwłok dawno zmarłych ludzi, szukam poczerniałej biżuterii... Bo przecież ci ludzie wokół mnie są już od tysiąca lat martwi.

Spośród nich żyje tylko jeden: Lipp Kilyos.



Było już popołudnie, gdy wjechaliśmy do dzielnicy Juventud. Koło parku zatankowaliśmy benzynę - przenikliwy zapach źle oczyszczonej cieczy podrażnił czujniki Baraxa. Dzielnica willowa położona była na dwóch wzgórzach. Większość budynków stanowiły duże i ładne wille, działki były otoczone wysokimi drzewami i żywopłotami.

- Na pewno żyją tu bogaci ludzie - pouczyłem Baraxa. Nie powinienem był tego robić.
 - Bogaci? - odpowiedział nieco niepewnie.
 - Ci, którzy mają dużo pieniędzy...
 - A jak je zdobyli? - zapytał beznamietnie, lecz czułem już, że znowu skończy się to dyskusją.
 - Pracą, pomysłowością, handlem, sprytem, nielegalnie... - wyliczałem możliwości.
 - A inni? - spytał Barax.
 - Nie ma tylu miejsc pracy, ilu jest sprawnych ludzi.
 - W takim razie nie jest to dobrze urządzone.
 - Wspaniale pracuje ten twój mózg - odpowiedziałem. - Oczywiście, że nie. Wiele rzeczy w tym świecie jest jeszcze złych.
 - Mogliby je poprawić...
 - Poprawią. Dlaczego się buntujesz? Po uszy tkwimy w przeszłości, a ty byś chciał, żeby wszystko funkcjonowało doskonale, jak u nas w XXXI. Opamiętaj się Barax, to jest dopiero XX wiek.
- Zamysłili się. W międzyczasie trafiliśmy pod wskazany adres. Wąska asfaltowa droga włą się pomiędzy zielonymi ogrodami. Na żelaznej kracie bramy zabłysła biała tabliczka: Algeciras 186.
- Stań trochę dalej.

Słychać było śpiew ptaków, lecz poza tym panowała cisza. Nie dochodził tu szum miasta. Wysiedliśmy.

- A właściwie do czego jest nam potrzebna ta kobieta? - zapytał Barax, zupełnie niepotrzebnie używając liczby mnogiej i zerknął na mnie.

Poczułem pokusę, by mu podać prawdziwy powód, ale sądziłem, że nigdy by tego naprawdę nie zrozumiał. Palilo mnie pożądanie. Chciałem zobaczyć Flore. Słyszeć jej głos, widzieć jak się porusza, uśmiecha. Dla Baraxa musiałem znaleźć jakiś pretekst. Co prawda było w tym także ziarno prawdy:

- Nasze mieszkanie w śródmieściu może być w każdej chwili „spalone”, a ten dom wygląda na odpo-

wiednią kryjówkę – ruszyłem przodem. Brama była otwarta. Dalej, na zadbanym trawniku, rosły ozdobne krzewy i drzewa. Pod jednym z większych drzew ustawiono białe ogrodowe krzesła.

Podczas gdy ja zachwyciałem się ogrodem, Barax – to dla niego typowe! – odkrył pod trawą cienki kabel ukryty w plastikowej rurce. Biegł od bramy w stronę domu.

– Urządzenie sygnalizuje, że prześlizgniemy przez bramę – powiedział. Z pewnością miał rację, bo kiedy dotarliśmy do pietrowego, białego domu, brązowe drewniane drzwi otworzyły się i pokazał się w nich mężczyzna w średnim wieku. Nie wyglądał jednak na właściciela domu.

– Panowie?...

– Buenos dias. Chcieliśmy się zobaczyć z panią Florencją Baderos.

Barax w milczeniu stał za mną i oglądał dom. Wiedziałem, że korzystając ze swych niezwykłych możliwości obserwuje, co się dzieje za ścianami. Mógł posługiwać się różnymi rodzajami promieniowania. Niezbyt grube, nowoczesne ściany nie stanowiły dla jego wzroku bariery. Trudności mogłyby mu sprawiać jedynie dawne, masywne ściany z kamienia lub mury z betonu o grubości przekraczającej jeden metr.

– Pani nie ma chwilowo w domu. Gdyby panowie zechcieli przyjść innym razem.

– Ona jest na piętrze, w rogu, w małym pomieszczeniu – powiedział Barax. Rzecz jasna w naszym języku, tak więc tylko ja mogłem go zrozumieć. Z najuprzejmiejszym uśmiechem, na jaki mnie było stać zwróciłem się do człowieka o pokrytej zmarszczkami twarzy.

– No, niech pan pobiegnie do narożnego pokoju i zakomunikuje pani Florze, że przyszedł Roy Medina. I niech pan doda, że tym razem przyszedłem bez kwiatów.

Meżczyzna szybko wycofał się, zaś my stojąc na niewielkim tarasie podziwialiśmy nadal ogród. Obok basenu czerwieniły się róże, wyłożone płaskimi kamieniami alejki wiły się pośród zielonego trawnika.

Otworzyły się drzwi i na progu zjawiała się Flora... Serce dziwnie mi zabiło. Nigdy jeszcze nie czułem czegoś takiego. Cieszyło mnie to nowe, nieznanne uczucie – lecz jednocześnie trochę się go bałem.

– Witam panów – powiedziała miło.

Skloniłem się w sposób podpatrzony na dawnych wideofilmach; kątem oka dostrzegłem, że Barax starannie powtórzył ten gest. Wspominałem już, że bardzo łatwo się uczy...

– Kiedy przed kilkoma dniami rozstaliśmy się, powiedziałam pani, że się jeszcze spotkamy. I oto jesteśmy.

– A więc wytropiliście kim jestem i gdzie mieszkam! – roześmiała się Flora. – Przejdźmy się po ogrodzie. Panowie przecież zawodowo interesujecie się kwiatami.

Z jej tonu wyczułem, że nie bardzo wierzy w to, iż rzeczywiście jesteśmy sprzedawcami kwiatów.

– Jakie wiatry was tu przyniosły? – zapytała Flora.

– Wiatry?... – z opóźnieniem zrozumiałem pytanie. Ci ludzie z dwudziestego wieku stale używają takiego kwiecistego języka! – To oczywiście pani była tym wonnym, ciepłym, południowym wiatrem.

Roześmiała się jakby ją polaskotano.

– Miły komplement, drogi panie...

– Medina.

– ... drogi panie Medina. A może to żart?

– Niech Bóg broni – popisywałem się językiem przodków. Barax bez słowa szedł za mną po wąskiej ścieżce. Przeszliśmy obok basenu i ozdobnych trzcin. Potem weszliśmy pomiędzy nieznanne mi kwiaty. Flora mówiła dalej.

– Właściwie domyślałam się, że panowie przyjdą.

– No proszę! Telepatia? – zapytałem zelektryzowany.

– O nie, to tylko kobieca intuicja – chytrze się uśmiechnęła. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, później szybko odwróciła głowę. Wówczas nie przyszło mi jakoś do głowy, że i ona jest częścią tego ogromnego morza przeszłości, które nas otacza. Że i ona jest... martwa. Już od około tysiąca lat.

– Jak idą transakcje handlowe? – zapytała. Staliśmy pod bardzo grubym, starym drzewem. Barax oparł się jedną ręką o pień. „Ma sto dziewięćdziesiąt lat” – szepnęła. Oczywiście nie mówił o Florze, nawet o niej nie myślał, wołał za pomocą dostępnych mu środków „wejrzeć” w głąb drzewa i policzyć stojące

Nie zważał na naszą rozmowę, choć czuł, że pomiędzy Florą a mną coś się dzieje. Ze rodzi się między nami jakies niewypowiedziane napięcie...

- Transakcje handlowe? Dość dobrze. Dziś przeprowadziłem dwie dobrze zapowiadające się rozmowy - odrzekłem i sądzę, że nie skłamałem.

- A jak długo zostaniecie panowie w Boliwarii?

- Jeszcze nie wiemy - potem i ja okazałem zainteresowanie:

- Przepraszam panią za niedyskrecje... A pani mąż?

Flora uśmiechnęła się. Był to uśmiech dojrzałej kobiety, która szybko przejrzała moją grę. Wiedziała, że mi się podoba - nie kryłem tego. To była podstawa naszej znajomości, wszystko inne opierało się na tym. Falszywa konwencja grzeczności, zwyczajów, umowności, pajęczyna słów i gestów. Stara, podniecająca, piękna gra.

- Mój mąż jest dyplomata. Teraz pracuje jako ambasador, w którymś z tych małych, afrykańskich krajów... Ale niech pan mnie nie pyta, gdzie. Nigdy tego nie potrafię zapamiętać, Rwana, Malawi czy coś takiego...

Była wspaniała. Jak niegdyś mawiano: urocza. Podobała mi się coraz bardziej. Spojrzeliśmy na siebie, tym razem już nie przypadkowo. Z moich oczu mogła wyczytać, czego pragne. Ja zaś ujrzałem w jej spojrzeniu, że... i ona nie ma nic przeciwko temu.

- Podobno szukamy kryjówki, do diabła! - wściekał się za mną Barax, rzecz jasna w naszym języku. - A ty się zachowujesz jak jakiś Casanova!

Słyszac to zapomniałem nawet o Florze.

- Coś powiedział? Casanova? Skąd znasz to imię?

- Ja też mam trochę ogólnego wykształcenia - odpowiedział obrażonym tonem. - Sądzisz, że swego czasu tylko w ciebie zaprogramowano tyle informacji?

- Można by dyskutować, w kogo zaprogramowano, a kto się nauczył z własnej woli - zdenerwowałem się. Flora uśmiechając się czekała. Twarz jej oświetlało słońce, jej skóra miała barwę mlecznej czekolady, którą kiedyś jadłem na początku dwudziestego wieku w Europie. Nie zwracała uwagi na Baraxa, choć domyślałem się, że wyczuwała jego niechęć do siebie. Z lekkim uśmiechem na ustach ruszyła dalej. W tym czasie kamerdyner nakrył na tarasie do podwieczorku. Wy tłumaczyłem Baraxa bólem żołądka, więc poprosiliśmy tylko o dwa nakrycia. Flora jednak nalała mojemu towarzyszkowi filiżankę kawy.

Rozmawialiśmy o przeróżnych rzeczach. Również i o tym, jak niedobre wynajeliśmy mieszkanie. Flora nieoczekiwanie powiedziała:

- Gdybyście mieli zamiar spotkać się z jakimś poważnym kontrahentem, nie zabierajcie go do restauracji. Mój dom jest do waszej dyspozycji, drogi panie Medina. Proszę tylko wcześniej zadzwonić. Oto numer telefonu: 516-82-84.

Spojrzałem na Baraxa, który zrozumiał ten znak. Numer wrył się w jego pamięć. Z tego punktu widzenia Barax był lepszy od notesu. Do danych, które w nim zakodowałem, miałem dostęp tylko ja sam, nikt inny. Nawet szef. Szczególna wieź, która nas łączyła... no, dajmy teraz temu spokój.

- Skorzystam z pani wspaniałomyślnej propozycji - powiedziałem z wdzięcznością. - Możliwe, że już niebawem. Droga Floro, czy nie wybiera się pani przypadkiem jutro do śródmieścia?

Uśmiechnęła się przebiegle.

- Dlaczego pan pyta?... A gdybym przypadkiem się tam znalazła?

- Znam kogoś, kto by się ogromnie ucieszył, gdyby koło ósmej wieczorem przypadkiem zauważył panią, powiedziałby przed kawiarnią „Calvados”.

- Ach, tak? - roześmiała się Flora. Była cudowna. Ale nie obiecała niczego.

★

Tego wieczoru Barax znowu chciał mi wygłosić umoralniający wykład, ale już po pierwszym zdaniu uciszyłem go. Fakt, że to właśnie on ma mi wygłaszać kazanie, wydawał mi się nie do zniesienia.

- Barax, co ci się stało? Czyżby ci szef kazał mnie pilnować? Nie przecze, że podoba mi się ta kobieta, ale nie tylko o to chodzi.

- Teraz wymyślisz jakiś pretekst - zawyrokował posepnie.
- Ten dom jest położony we wspólnym miejscu. Bedziemy go potrzebować. Ale w tym celu musimy się najpierw wkraść w łaski gospodyni.
- Tobie się to niewątpliwie uda. Jesteś na najlepszej drodze do celu - zauważył zgryźliwie. Musiałem przyznać, że w trakcie naszych wypraw w przeszłość Barax bardzo ładnie się rozwinął. Przynajmniej w niektórych dziedzinach. Jednakże nie poprzestałem na tym:
- Pomyśl tylko, ty wyjątkowy egzemplarzu! Jeżeli uda się nam porwać Kilyosa, to gdzie bedziemy go trzymać? Może tu, w tym nieszczęsnym domu w śródmieściu? Do tego celu potrzebna jest podmiejska willa z ogrodem.
- Wiedziałem, że wymyślisz jakiś dobry pretekst - mruknął z niezadowolaniem.

★

Tego dnia wieczorem znowu połączyłem się z szefem. Gdy wspomniałem o Florze i jej idealnym domu, musiał wyczuć co się za tym kryje. Poprosił o dokładne dane Flory. Interesowało go też, kto jest jej mężem. W sprawie z Negadesem dał swe błogosławieństwo, lecz nakazał ostrożność.

★

Następnego dnia wyszliśmy na miasto dopiero w południe. Właściwie nie mieliśmy nic specjalnie do roboty, ale staraliśmy się zebrać jak najwięcej informacji. Przed biurem podróży zauważyłem plakat: pod dużym zdjęciem prezydenckiego pałacu ogłaszano, że codziennie są organizowane wycieczki do tego słynnego budynku, jak również do parlamentu i dawnego pałacu wicekróla, gdzie teraz mieści się muzeum. Natychmiast skreśliśmy i weszliśmy do chłodnego, klimatyzowanego pomieszczenia, w którym znajdowała się garstka chętnych. Za pulpitem stał śniadowłosy mężczyzna o przebiegłym spojrzeniu.

- Señores?...
 - Chcieliśmy obejrzeć pałac prezydencki.
 - Żałuję, señores. Możemy wysłać tylko jedną dwudziestoosobową grupę dziennie. Miejsca na dziś są zajęte.
 - Cieszylibyśmy się, gdyby dzisiejsza grupa składała się wyjątkowo z dwudziestu dwóch osób. Bylibyśmy za to bardzo wdzięczni... - wyjąłem gruby plik banknotów. Mężczyzna jak zaczarowany wpatrywał się w pieniądze.
 - Zobacz, czy uda się coś dla panów zrobić - powiedział wyjmując gruby zeszyt. Udawał, że sprawdza listę, lecz czułem, że widok pieniędzy załatwił już sprawę.
 - Być może uda się panów umieścić w grupie - powiedział wreszcie mężczyzna. - Autobus wyrusza sprzed biura za godzinę.
 - Położyłem przed nim kilka banknotów. Błyszczącymi oczami patrzył na nie nakrywając je jednocześnie ręką, po czym znów chytrze na nas spojrzął.
 - Proszę panów, ze względów bezpieczeństwa musimy notować dane personalne turystów odwiedzających pałac prezydencki. Prosiłbym o paszporty...
 - Pochylając się bliżej, głęboko spojrzałem w jego czarne oczy i powoli, wyraźnie wycodziłem.
 - Tu są nasze paszporty. Widzi pan? - pokazałem kolejny plik banknotów.
 - Roześmiał się.
 - No dobrze - powiedział i schował pieniądze.
 - A więc za godzinę przed biurem - pożegnałem się z nim uprzejmie. Barax kiwnął jedynie głową ale gdy znowu szliśmy chodnikiem, stwierdził.
 - Nie podoba mi się ten facet. Coś niedobrego chodzi mu po głowie.
 - Cieszę się, że i ty już używasz dawnych zwrotów.
 - Nie żartuj. Czuje, że będą kłopoty.
 - Dawniej takich jak ty nazywano pesymistami - zaoponowałem. Ja od urodzenia jestem optymistą.
- Wszyscy w GALPOL-u o tym wiedzą. Nawet Barax.

- Głupota - machnął ręką. Znowu się zdziwiłem, że jego reakcje są tak naturalne. A on ciągnął dalej.

- Ty też wiesz, Roy, że ja nie mogę być ani pesymistą, ani optymistą. Po prostu miałem takie uczucie...

- Miałeś uczucie! - zakpiłem. W tym jednak momencie uśmiech na mojej twarzy gwałtownie zamarł. Szliśmy właśnie chodnikiem przed dużym domem towarowym. Stał tam jakiś fotograf i kierował w naszą stronę aparat. Pstryk - i obaj z Baraxem znaleźliśmy się na celuloidowej płycie.

- Zdjęcie - szepnąłem Baraxowi. Od razu wiedział co należy zrobić.

Nie dostrzegłem tryskającego promienia. Podobne do rentgenowskiego, lecz jednak inne promieniowanie zniszczyło film.

Uliczny fotograf nie wiedząc o tym, uśmiechając się podszedł do nas:

- Panowie, może fotografie, tanio sprzedaje.

- Dziękujemy, nie trzeba - i szybko odeszliśmy.

★

Godzinę później byliśmy w biurze turystyki. Wsiedliśmy do stojącego obok autobusu. W środku siedzieli już objuczeni kamerami Japończycy, Niemki w okularach, szczebioczący amerykańscy turyści, dwóch niezmiernie eleganckich Murzynów i kilku mężczyzn, najwyraźniej tutejszych. Facet o przebiegłym spojrzeniu pojawił się tylko na chwilę. Popatrzył po podróżnych, jego spojrzenie zatrzymało się na nas, później wysiadł. Kierowca zamknął drzwi i ruszyliśmy.

- Podejrzana sprawa - powiedział Barax, gdy po przejechaniu ruchliwych ulic dotarliśmy na plac przed pałacem. - Razem z nami jest dwudziestu sześciu pasażerów.

Wiedziałem, co ma na myśli:

- Ten śniady facet powiedział, że do pałacu może wejść dwadzieścia osób. Może kłamał, żeby wyłudzić pieniądze.

- I tą samą bajeczką uraczył jeszcze czterech cudzoziemców - skinął głową mój towarzysz.

Patrzyłem na ulice. W chwilę potem przystaniliśmy przed kutą z żelaza bramą pałacu prezydenckiego. Uzbrojeni strażnicy obserwowali nas z pewnym znudzeniem.

Niebawem znaleźliśmy się w pięknym parku. Autobus zatrzymał się przed wielkim drzewem. Czekała na nas młoda kobieta w okularach, przewodniczka.

Cztery skrzydła centralnego budynku otaczały małe podwórko, na którym rości kilka drzew. Przewodniczka pokazała nam tylko dwa dolne piętra. W przestronnych, wysokich korytarzach ściany ozdabiały ręcznie malowane portrety dawnych prezydentów. Z wyjaśnień przewodniczki wynikało, że niekiedy organizuje się tu również przyjęcia dyplomatyczne. W jednym z narożnych pokoi - oświadczyła młoda kobieta - każdy kolejny prezydent odbiera od ambasadorów listy uwierzytelniające. Interesowało mnie gdzie znajdują się gabinet i sypialnia prezydenta... Nie należało jednak zanadto zwracać na siebie uwagi grupy, znaleźli się inni, którzy o to zapytali. Ciekawiło to zwłaszcza miejscowych. Przewodniczka z pewnym przejęciem odpowiedziała, że w ciągu dnia prezydent przebywa najczęściej na trzecim piętrze południowego skrzydła. Tam też naradza się ze swymi ministrami. Noce natomiast spędza w dobrze strzeżonym pomieszczeniu - nie potrafiła dać jednak odpowiedzi, gdzie się ono dokładnie znajduje.

Szliśmy dalej. Pozostałe części budynku nie zawierały już niespodzianek i nie zainteresowały nas. Barax zanotował w swoim mózgu obraz pokoi, schodów, wysokość pieter, wzajemną odległość okien i drzwi. Wiedziałem, że w dowolnej chwili może odtworzyć plan ogromnego budynku. Jeżeli nie uda nam się „schwycić” prezydenta Ramireza gdzieś poza pałacem, z pewnością będziemy zmuszeni przyjść po niego tutaj.

Spacer nie trwał nawet godziny, kobieta w okularach odprowadziła nas z powrotem do stojącego w parku autobusu. „Zanotuj też, gdzie biegną przewody elektryczne!” - poleciłem Baraxowi. Wsiedliśmy do pojazdu. Uwagę moją zwrócił fakt, że kilku silnych mężczyzn cały czas idzie za nami. Usiedli na fotelach przed nami. Barax siedział nieruchomo. Autobus wytoczył się przed bramę i ruszył w stronę muzeum. Obejrzałem się do tyłu: naszym śladem jechał czarny samochód.

- Widzisz? - zapytałem w naszym języku.



Marek Zaleski

- Czy oni są wszędzie?...

- Takie już są dyktatury - pochwaliłem się swoją wiedzą historyczną, choć sytuacja nie bardzo temu sprzyjała. - W państwach o takiej strukturze posiadający władzę mogą się opierać tylko na dwóch rzeczach: na kłamstwie i strachu. Kłamstwo pojawia się w nadbudowie ideologicznej, która jest oparta na fałszywych podstawach. Ponieważ dyktatury pod względem gospodarczym zawsze osiągają gorsze wyniki niż systemy demokratyczne - zresztą inaczej nie może być - przy pomocy pewnych teorii próbują upiększyć swą żalną sytuację. Starają się dowieść światu zewnętrznemu i swoim obywatelom, że są oni wolni i w gruncie rzeczy wspaniale żyją... Ponieważ efekty ich starań są na ogół dość wątpliwe, więc w stałym pogotowiu trzymają drugą broń: strach. Dyktatury tylko wtedy mogą przetrwać, jeżeli obywatele boją się grup posiadających władzę. Grupa panująca - może nią być królewski dwór, klika czy jakiegokolwiek inne ugrupowanie - już w pierwszej minucie po objęciu władzy zaczyna tworzyć organa przemocy. Jest to najlepszy dowód na to, że nie mają zamiaru - także w przyszłości! - kierować krajem zgodnie z zasadami demokratycznymi. Członkowie organów przemocy otrzymują różnego rodzaju ulgi i nagrody, a jednocześnie nigdy nie są pociągani do odpowiedzialności za swe nadużycia. W ten sposób zapewnia się panowanie jedynej woli jedynej tylko grupy. Wszystko inne jest temu podporządkowane. Zwolennicy władzy tworzą niezbyt liczny, lecz silny obóz. Jego siła to aparat policyjno-wojskowy, który jest uzupełniony siecią donosicieli stanowiących „system wczesnego ostrzegania”. Donosiciele powodowani takimi czy innymi interesami składają raporty o wszystkim co dzieje się w ich otoczeniu i o czym zebrali informacje. Ponieważ są wszędzie - przywództwo kraju jest na bieżąco informowane tak o nastrojach społeczeństwa, jak i o czynach - a nawet o zamiarach - poszczególnych osób i grup... Rzecz jasna obywatele wiedzą o istnieniu sieci donosicieli - oto korzyść jaką czerpie grupa panująca z tego „negatywnego sprzężenia zwrotnego” - i ogarnia ich strach. Tak więc grupa panująca może z łatwością ich podzielić i sprawować nad nimi władzę... Takim donosicielem był też urzędnik biura podróży, z którym rozmawialiśmy.

- W związku z tym przypomina mi się - przerwał Barax - że jesteśmy w niebezpieczeństwie.

- Najpierw załatw sprawę samochodu - rozkazałem. Mój towarzysz odwrócił się w fotelu i uniósł rękę. Staralem się go zasłonić przed wzrokiem pozostałych pasażerów, którzy i tak nie zwracali na nas uwagi obserwując miasto. Agenci siedzieli tyłem do nas, jako że zajęliśmy miejsca w ostatnim rzędzie. Nikt nie zauważył małej dziurki, która powstała w tylnej szybie...

Jadący za nami samochód gwałtownie zwolnił, spod przykrywy silnika wydobył się czarny dym. Jechaliśmy jedną z szerokokich arterii śródmieścia. Zapaliło się zielone światło, samochód policjantów rozpytał się w oddali.

- A co z tymi? - pokazałem siedzących przed nami mężczyzn. Autobus wjeżdżał właśnie na plac Zwycięstwa, kwaciarze oferowali swój towar, Japończycy robili zdjęcia z okien autobusu. Było słonecznie, ciepłe popołudnie, niebo rozpięło się nad miastem niczym bładniebieski klosz.

- Gaz - odpowiedział Barax beznamiętnie, to znaczy tak, jak zwykle. Nie sprzeciwiłem się - w tej sytuacji na pewno lepiej będzie uniknąć większej sensacji. Zastanowiło mnie także, czy o tej akcji wie pułkownik Negades. Pokiwałem głową:

- Rób swoje, Barax.

Z jednego z niezliczonych zakamarków swojego ciała wyjął chustkę przesyconą Flubestaniem i podał mi. Przyłożyłem ją do nosa, zaś Barax kilkoma - wyglądającymi być może dziwnie - ruchami rozpylił w powietrzu bezwonny gaz usypiający. Odдыchałem przez chustkę, chemiczna substancja zneutralizowała wpływ gazu. Siedzące obok nas dwie starsze Amerykanki oraz Japończyk od razu zasnęły, głowy opadły im na piersi. Znajdujący się w następnych rzędach również szybko zapadali w sen.

Wstaliśmy i podeszliśmy do kierowcy:

- Czy mógłby się pan tu zatrzymać, musimy wysiąść.

- Tak jest, proszę panów - grzecznie odrzekł kierowca.

Gdy zatrzasnęliśmy drzwi autobusu, wszyscy pasażerowie i kierowca byli już nieprzytomni.

★

- Na wszelki wypadek bądź jednak w pobliżu - powiedziałem do Baraxa za dziesięć ósma. Mój towarzysz z nieruchomą twarzą obserwował okolice.

- Bądź ostrożny – powiedział. Tak jak w czasie wszystkich innych wspólnych ekspedycji, Barax myślał jedynie o moim bezpieczeństwie. Nasze zadania nie były jednakowe. Ja miałem przywieźć z powrotem w trzydziesty pierwszy wiek Lippa Kiloysa, zaś Barax musiał przede wszystkim zważać na moje bezpieczeństwo.

- Zapewne usiądziemy w jakiejś restauracji. Niezależnie od rozwoju sytuacji idź za nami.
- Pamiętaj, że masz też spotkanie z pułkownikiem Negadesem.
- Bedzie na to dość czasu.
- Żebyś tylko nie zapomniał o całym świecie.

- No, no Barax!... Ciesz się, że dbasz o moją moralność. Czy o to także prosił cię GALPOL?

Przed godziną ósmą spacerowałem przed kawiarnią „Calvados”. Miejsce to wywoływało we mnie nieprzyjemne skojarzenia, lecz kiedy proponowałem Florze spotkanie przypomniała mi się jedynie ta nazwa. Przed oświetlonymi wystawami mrowiło się mnóstwo ludzi. Gdzieś w pobliżu grała uliczna orkiestra. Ulicami przelewały się strumienie samochodów, migwały kinowe reklamy, uliczni sprzedawcy oferowali swe towary. Przez chwilę ogarnęło mnie dziwne uczucie: przypomniał mi się letni wieczór sprzed dwudziestu lat. Czekałem na jakąś dziewczynę w swym rodzinnym mieście. Tak samo mijali mnie ludzie, czulem zapach rozgrzanego asfaltu, nawet świała i muzyka wydawały się takie same. Nie pamiętam już, czy dziewczyna przyszła na spotkanie, pozostało mi jedynie wspomnienie pełnego emocji oczekiwania i pożądania, które tak bardzo przypominały moje uczucia dzisiejszego wieczoru...

Flora spóźniła się piętnaście minut. Gdy pojawiła się na chodniku, zalała mnie fala gorąca. Była piękna. Miała na sobie śnieżnobiałą sukienkę, brązowy pasek i buty w tym samym kolorze. Włosy miękko spływały jej na ramiona.

- O, pan Medina... – uśmiechnęła się.
- Dobry wieczór pani. Jaki szczęśliwy przypadek. – Ja także grałem narzuconą rolę.
- Wierzy pan w przypadki?

- Tylko wtedy, gdy przynoszą szczęście. Tak jak ten dzisiejszy! – Roześmieliśmy się, dwoje rozbawionych krasnoludków w ludzkim lesie, w dzikiej obcej puszczy.

Ruszyliśmy w stronę parku. Tu, w wąskich asfaltowych alejkach słyszeliśmy tylko szmer własnych kroków. Hałas miasta ustąpił miejsca przyjemnej ciszy.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Wiem jednak, o czym nawet nie wspomnieliśmy: o jej mężu, moim stanie cywilnym, pieniądzach, życiu handlowca, polityce... Można było przecież rozmawiać o tylu innych rzeczach, nawet w dwudziestym wieku.

Wtedy nie miałem już żadnych wątpliwości: zakochałem się we Florze. Podobało mi się wszystko, co mówiła albo robiła. Żywiłem nieśmiałą nadzieję, że i ja się jej podobam. W przeciwnym wypadku nie przyszlaby tu dziś wieczór...

Po spacerze poszliśmy na kolację do jednej z pobliskich restauracji. Półmrok rozjaśniały palące się na stołach świece. Złocisty płomień od czasu do czasu niespokojnie drżał w szklanych kloszach... Z głośników na ścianach płynęła cicha gitarowa muzyka.

Po zakąsce, pijąc znakomite wino, raptownie zmieniłem temat rozmowy.

- Droga Floro, co pani wie o prezydencie Ramirezie?

Zdziwiła się.

- Dotychczas unikaliśmy mówienia o polityce, señor Medina. O prezydencie?

- Chodzi mi o to jakim jest człowiekiem? Można z nim prowadzić interesy? – przyszło mi do głowy, że przez dyplomatyczne znajomości Flory uda mi się ewentualnie dotrzeć w pobliże Ramirezę.

- Chce pan handlować z samym prezydentem? Nie za wysoko pan mierzy, señor Medina? – zaczęła się przekomarzać.

- Lubie mierzyć wysoko – odpowiedziałem tym samym tonem, lecz z moich oczu wyczytała chyba, że nie odnosi się to tylko do prezydenta.

Uśmiechnęła się i wróciła do tematu:

- Wciąż jeszcze wiemy o nim tak mało... Ponieważ nowego prezydenta zaprzysiężono niedawno, zgodnie więc ze zwyczajem boliwaryjczy dyplomaci służący za granicą zostaną wezwani do kraju i będą przedstawieni prezydentowi. Gdy wezwą z Afryki mojego męża, to z pewnością i ja zostanę zaproszona

na kilka przyjęć w ministerstwie spraw zagranicznych. Możliwe, że uda mi się wtedy zamienić pare słów z prezydentem.

„Do tego już chyba nie dojdzie” pomyślałem.

- Chciałby się pan spotkać z Ramirezem? - zapytała.

- Tak. Pojawiła się możliwość zawarcia większego kontraktu, ale ze względu na rozmiar sprawy potrzebne jest już specjalne pozwolenie. Zwykłą łapówką nie da się niczego osiągnąć. Pomyślałem, że gdybym mógł się spotkać z prezydentem, może udałoby mi się uzyskać od niego pozwolenie na eksport.

- Sądzi pan, że znam tak wpływowe osoby, że mogłabym skontaktować pana z Ramirezem? - jej spojrzenie na chwilę zachmurzyło się. Dobrze wiedziałem o czym myśli. Wziąłem ją za reke.

- Nie, Floro. Nie dlatego chciałem się z panią spotkać. Pani mnie całkowicie oczarowała. Do tego stopnia, że nawet wylewam przed panią swe zawodowe żale... Proszę wybaczyć, więcej się to nie powtórzy.

Jej twarz się rozpozogdziła i - być może po to, by zapomnieć o tej nieprzyjemnej chwili - zaczęła mówić:

- A jeżeli już mowa o prezydencie... Słyszał pan, co zrobił dzisiaj?

- Nie czytałem gazet - potrząsałem głową. Jednocześnie w głębi mózgu poczułem uspokajający sygnał. Barax stoi na straży niedaleko stąd i wszystko jest w porządku.

- Dziś rano z Veruzzy przyjechała delegacja rządowa. Wie pan, Veruzza jest ościennym państwem, nieco większym niż Boliwaria i nasze kontakty z nimi są tradycyjnie złe. Chodzi o jakiś konflikt graniczny ciągnący się od stu pięćdziesięciu lat... Ja się na tym nie znam, mój mąż z pewnością wygłosiłby panu na poczekaniu cały wykład o tej sprawie. No więc istota rzeczy leży w tym, że pojawiła się szansa poprawy stosunków. Od pierwszej chwili Ramirez miał zamiar zawrzeć z Veruzzą pokój i dlatego zaprosił prezydenta tego kraju. Przyjechał on dziś rano i niech pan sobie wyobrazi, że już w południe razem z Ramirezem ogłosili, że oba państwa zostaną połączone.

- Tak? - zapytałem obojętnie. Florze wydawało się, że nie jestem w stanie pojąć doniosłości sprawy:

- Nie rozumie pan, Medina? To wielka rzecz! Dotychczas Boliwaria i Veruzza przeprowadziły dwadzieścia jeden wojen i praktycznie rzecz biorąc, zawsze były sobie wrogie. A teraz ten Ramirez, który wygląda jak... jak...

- Podmiejski cukiernik.

- No tak, nie można zaprzeczyć. A jednak ten właśnie człowiek okazuje się geniuszem dyplomacji, señor! W ciągu dwóch godzin osiągnął więcej niż inni prezydenci w ciągu stu lat! Przekonał przywódców Veruzzy, żeby przerwali ten stan wrogości, a nawet by połączyli oba kraje!

- Chwileczkę - przerwałem jej. - Gdzie to miało miejsce?

- W letniej rezydencji prezydenta, na skraju miasta.

- A więc nie w pałacu prezydenckim?

- Nie. Ramirez przyjął delegację w pałacu letnim, po czym wrócił po południu do miasta, widziałam go w dzienniku telewizyjnym.

Kelnerzy przynieśli lody, lecz ja wciąż jeszcze rozmyślałem o tym, co usłyszałem. Nie ukrywam, że byłem zaskoczony. W jaki sposób cukiernik Ramirez osiągnął tak szybki i spektakularny sukces? A może... sprawa ta była zasługą Lipa Kilyosa? Jedno było pewne: dziwne pertraktacje odbyły się i zakończyły się zdumiewającym rezultatem.

Po kolacji odprowadziłem Flore do samochodu. Długo żegnaliśmy się na rzeżysie oświetlonym chodnikiem. Wiedziałem, że jest jeszcze za wcześnie na to, by ją prosić, by pozwoliła się odprowadzić do domu.

- Kiedy będę mógł panią znowu zobaczyć? - spytałem.

- Jest pan pewien, że chce mnie pan zobaczyć? - zapytała przekornie.

- Niczego nie jestem bardziej pewien - odparłem i rzeczywiście to czułem. Z nikim jeszcze nie związałem się na stałe i teraz, patrząc w ciemne oczy Flory, miałem wrażenie, jakby otwierał się przede mną wszechświat - kosmos pełen niebezpieczeństw i czekających na odkrycie światów...

- Niech pan przyjdzie jutro na obiad. O dwunastej - szepnęła cicho.
 - Przyjdę - obiecałem. Flora wsiadła do samochodu i odjechała. Odwróciłem się, bo już od dłuższej chwili czułem, że Barax stoi gdzieś niedaleko. Zza grubego słupa z ogłoszeniami obserwował nasze pożegnanie.
 - Wszystko w porządku? - zapytałem tak oficjalnym tonem, na jaki tylko było mnie stać.
 - U mnie tak - odpowiedział; przysięgłbym, że tego ironicznego tonu nauczył się ode mnie, i to nie tak dawno.
 - Jeżeli sugerujesz, że z powodu jednej kobiety straciłem swą zdolność oceny i analizowania...
 - Sugeruje.
 - ... to w takim razie proszę cie, odczep się ode mnie. Dla mnie ta sprawa jest poważna i nie chcę na ten temat dyskutować!
- Jeszcze przez chwilę staliśmy milcząc w skłębionym tłumie, po czym Barax odezwał się:
- Za dwadzieścia dziesiąta.
- Szybko wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę kościoła Nuestra Señora.

★

Poza mną przed olbrzymim budynkiem nie było nikogo. Światła ledwo się jarzyły, nawet zawieszona na ścianie elektryczne lampy sprawiały wrażenie, jakby się bały nocy - rzucały na plac niewielkie, blade kregi. Byłem zaskoczony pustką panującą w tej okolicy. W powietrzu miasta czaiło się napięcie, dochodzący z daleka szum ostrzegał przed nieznanym niebezpieczeństwem. Możliwe jednak, że tak tylko mi się wydawało - wszak znałem przyszłość i wiedziałem z grubsza, co zdarzy się w tym mieście za miesiąc i później...

Negades nie spóźnił się nawet o sekundę. Gdy na wieży wybiła dziesiąta, pojawił się na skraju placu, rozejrzał się, po czym zdecydowanym krokiem podszedł bliżej. Czekałem na niego w półcieniu pod arkadami.

- Dobry wieczór, pułkowniku.
- Dobry wieczór, Medina.
- Żle pan wygląda, Negades - widziałem jak blada i zmęczona jest jego twarz, a jednocześnie czułem promieniujące z jego mózgu napięcie. - Niech się pan wyśpi dzisiejszej nocy. Siły będą panu potrzebne.

Nie zdziwił się już, że czytam w jego myślach.

- Przejdźmy do rzeczy - zaproponował ponurym tonem.
 - Ma pan rację. Posłuchajmy, czego się pan dowiedział.
- Przelknął ślinę i zawahał się. To była ostatnia chwila, kiedy się jeszcze mógł wycofać. Jednakże jego ambicja była silniejsza. Pragnął władzy - a tego, kto dąży do jej zdobycia nic nie zatrzyma.
- Jutro przed południem prezydent przyjmuje delegacje partii parlamentarnych, zaś po południu przyjedzie do niego około jedenastu delegacji z różnych prowincji. Wieczorem w programie jest odpoczynek.

- A więc przez cały dzień nie ruszy się z pałacu.
- Tak jest. Wasze plany mogą zostać pomyślnie zrealizowane pojutrze...
- Niech pan mówi, pułkowniku.
- Dwudziestego dziewiątego przed południem prezydent odwiedzi jedną z prowincji. Godzina wyjazdu: dziewiąta dwadzieścia. Trasa: śródmieście - park Tiziano - Avenida de la Paz - południowa autostrada. Punktem docelowym jest stolica prowincji Malteno, sto dziesięć kilometrów od Boliwar.
- Eskortą?
- Prawdopodobnie cztery samochody prezydenckie, cztery samochody obstawy i kilka innych pojazdów. Wszystkie samochody prezydenckie to czarne Impale.
- W którym samochodzie będzie siedział Ramirez?
- O tym zawsze decyduje szef ochrony, bezpośrednio przed wyruszeniem. Wcześniej nikt tego nie wie, nawet prezydent.
- Kto z nim wyjeżdża?

- Minister obrony, minister rolnictwa, zarządca prowincji Malteno i pare niższych ranga osób.

- Pana z nimi nie będzie?

Przez jego twarz przebiegł blady, bardzo blady uśmiech:

- Nie, kolego. Ja wtedy będę miał inne zajęcia.

- Orientuje się, co pan ma na myśli, pułkowniku. Niech pan uważa, żeby nie popełnić błędu. Spróbuj przeprowadzić operację dwudziestego dziewiątego przed godziną dziesiątą. Gdyby się wtedy nie udało, kiedy będzie następna okazja?

- Tego samego dnia późnym wieczorem, kiedy konwój prezydenta będzie wracać do stolicy. Trasa będzie ta sama.

- W jaki sposób będzie zabezpieczona droga?

- W mieście łańcuch policji będzie dość gęsty. Pomogą też żołnierze. Można mówić niemal o kordonie.

Rzecz jasna, poza miastem ich czujność zmniejszy się.

- Rozumiem. I jeszcze coś, Negades. Co pan powie o dzisiejszym posunięciu Ramireza?

- Myśli pan o porozumieniu z prezydentem Veruzzy? Bardzo mnie to zaskoczyło... Ale nie mam jeszcze informacji.

Wiedziałem, że nie powie już nic więcej. Oczywiście myślał już tylko o przejęciu władzy.

- No więc niech pan to zrobi sprawnie, Negades. Nie wątpię, że zawczasu wprowadził pan swoich zwolenników do wszystkich wyższych urzędów, tak więc sprawa nie będzie trudna. Jestem przekonany, że pojutrze będzie pan prezydentem Boliwarii!... - z tym większą przyjemnością mogłem mu to obiecać, że przecież wiedziałem, iż taka była rzeczywistość.

Negadesa dręczyło coś jeszcze:

- Jaki będzie los Ramireza?

- Niech się pan tym nie przejmuj, pułkowniku. Powiedziałem już: wyłączymy Ramireza z dalszych wydarzeń, nie będzie się pan musiał więcej z nim liczyć.

Z pewnością myślał, że podziurawimy Gallego Ramireza jak sito. Nie chciałem go rozczarować, więc milczałem. Ale coś jeszcze przyszło mi do głowy:

- Proszę powiedzieć, dlaczego swego czasu wysłał pan tych sześciu policjantów do dawnego mieszkania cukiernika Ramireza?

- Mieliśmy oczekiwać na jakichś zagranicznych agentów - powiedział z ironicznym uśmiechem. Sądził, że już wszystko rozumie...

- Ale skąd się pan dowiedział, że jeden lub kilku takich agentów przybędzie?

Po chwili wahania Negades potwierdził moje przypuszczenia:

- Sam prezydent Ramirez wydał taki rozkaz już w pierwszej godzinie swoich rządów.

- Rozumiem - przełknąłem ślinę. - Dziękuję za informację, pułkowniku. A teraz proszę już iść.

Patrzyłem za nim, kiedy przechodził przez plac. Jego kroki ucichły. Los Ramireza i Boliwarii był przesądzony.

Rozdział 6

Trzeciego dnia rano obudziłem się świeży i gotowy do działania. Wydawało mi się, że nawet Barax rusza się szybciej – choć wiedziałem, że to jedynie złudzenie.

Ponownie przesłuchaliśmy taśmę, na której nagrałem relację Negadesa. Później wyruszyliśmy.

Avenida de la Paz była szeroką arterią. Z obu stron okalały ją drzewa niszczone spaliniami samochodów. Z wozu obserwowałem okolice. Było tu zbyt wiele sklepów, budynków, domów towarowych – ta część trasy nie mogła wchodzić w rachubę jako miejsce zamachu. Na chodnikach tłoczyły się tysiące ludzi, nie mówiąc już o kordonie policji, który tu jutro stanie...

Jadąc południową autostradą przecieliliśmy najpierw równinę, później droga prowadziła w góry. Na podstawie planu dowiedzieliśmy się, że w tej okolicy powinny też być inne drogi, które obsługiwały tutejszy ruch przed wybudowaniem autostrady. Prawdopodobnie były one niemal zupełnie nieuczeszczane.

Autostrada w wielu miejscach biegła przez tunele – budowniczości drogi przecieli lub przewiercili wyższe i bardziej strome skały. Miejscami okolica przypominała Szwajcarię, gdzie byłem raz na początku dwudziestego pierwszego wieku. Jednakże tutaj roślinność była zupełnie inna.

Wkrótce wjechaliśmy do kolejnego, krótkiego tunelu, a po chwili zaśnił przed nami oświetlony słoncem odcinek drogi. Jednakże za zakretem znowu rozwarł się czarny otwór tunelu.

W tym momencie nasunął mi się pomysł:

- Zrobimy to w tym miejscu, Barax!
- W porządku – mruknął w odpowiedzi.
- Na początku tego drugiego tunelu stanie barykada. W wąską studnię między tunelami spuścimy się z góry...

- Użyjemy gazu czy promieni? – beznamietnie zapytał mój towarzysz.

- Najlepiej będzie, jeżeli zastosujemy tylko promienie oszałamiające. Nie będziemy się musieli obawiać złamania czasu. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że użyliśmy nieznannej jeszcze broni. Na wieść o zamachu, pułkownik przeprowadzi pucz, jego ludzie zajmą strategiczne miejsca i budynki publiczne i Negades ogłosi się prezydentem. W takiej sytuacji nikt nie będzie dochodził, dlaczego cała eskorta byłego prezydenta straciła na autostradzie przytomność... Będzie to czysta, rzekłbym: sterylna robota, Barax.

- Członkowie eskorty będą leżeć nieprzytomni przynajmniej przez osiemnaście do dwudziestu dwóch godzin. W tym czasie nie będą mogli udzielić żadnych informacji o okolicznościach zamachu i wyglądzie napastników. – Barax skinął głową zgadzając się na mój plan. – A nie boisz się Negadesa? Już raz nas oszukał.

- Wiem że jest sprytny i bezwzględny. Ale nie niepokój się, jego też unieszkodliwimy. Poza tym w tej chwili najważniejsze jest, żeby dopaść Ramireza.

Wyjechaliśmy z tunelu. W pobliżu znajdowało się rozwidlenie drogi, stara, wąska szosa skrecała w kierunku gór. Wkrótce znaleźliśmy miejsce, znajdujące się pomiędzy dwoma tunelami. Gdy wdrapaliśmy się na skraj stumetrowego, skalnego urwiska, dostrzegliśmy w dole niewielki, oświetlony słońcem kawałek autostrady i ukośne wloty dwóch tuneli.

W ciągu dziesięciu minut opracowaliśmy szczegółowy plan operacji. Broń mieliśmy zawsze przy sobie, ze względów bezpieczeństwa mój pistolet promienny trzymał na ogół Barax. Gdyby ta broń trafiła w ręce osób niepowołanych – to znaczy mieszkańców dwudziestego wieku – GALPOL i kompetentne władze postawiłyby mnie przed sądem za złamanie czasu. Barax zostałaby oczywiście uniewinniony, jako że to właśnie ja odpowiadam za wszystkie czyny i jeżeli trzeba – za wszystkie porażki naszej dwuosobowej ekspedycji.

- To nie będzie trudne – powiedział mój towarzysz. Staliśmy na płaskowyżu. Wiał wiatr i nie było tak ciepło jak w mieście. Po niebie płynęły małe obłoczki, wokół liliowych i żółtych kwiatów brzęczały pszczoły.

Zjechaliśmy na autostradę i ruszyliśmy w stronę miasta. W międzyczasie ruch na Avenida de la Paz zwiększył się. Przy chodnikach rozładowywano ciężarowe samochody. Przystanąłem przed straganem z kwiatami. Baraxowi to wystarczyło:

- Pan Medina znowu gra wytrawnego handlowca - stwierdził kwaśno.
- Wyobraź sobie, że tak. Jeżeli nie wiesz, to informuję cię, ty nieokrzeszańcze, że do damy nie wypada iść z wizytą bez kwiatów. Tego już mógłbyś się nauczyć.
- „Panie Medina... Wierzy pan w przypadki?” - odezwał się niespodziewanie głosem Flory, po czym moim głosem odpowiadał na pytanie: „Tylko wtedy, jeżeli przynoszą szczęście...”
- Wczoraj wieczorem podsłuchiwałeś naszą rozmowę. To już przechodzi ludzkie pojęcie.
- Zrobiłem to dla twojego dobra - odpowiedział już swoim normalnym tonem. - W interesie operacji i naszego wspólnego bezpieczeństwa muszę stale wiedzieć, co się z tobą dzieje. Taki mam rozkaz.
- Ale, Barax, nie przebieraj miarki!
- Co to jest miarka? - zapytał ponuro, ale, przysiągłbym, w jego oczach zablasyły wesołe iskierki. Uspokoilem się. W końcu historia z Florą będzie stanowić element mojego raportu, podobnie jak wszystko, co dotyczy tej ekspedycji. Barax dysponuje technicznymi możliwościami, które pozwolą później szefowi GALPOL-u na wgląd we wszystko, co obaj robiliśmy w przeszłości. Może na przykład nagrać pięćsetgodzinny materiał: rozmowy, hałasy, wszystko. Jest moim strażnikiem, lecz zarazem kontrolerem. I właściwie nie mogę za to mieć do niego pretensji. Do niego - w żadnym wypadku, jest przecież tylko narzędziem w ręku szefa i całego zarządu. Tak samo jak ja.
- No dobrze - mruknąłem. Kupiłem olbrzymi bukiet i pojechaliśmy do dzielnicy Juventud. Na rogu chłopak w białej czapce sprzedawał czasopisma, zatrzymałem się i kupiłem kilka gazet. Nie miałem jednak czasu, żeby je przeczytać. Zauważyłem tylko, że na pierwszej stronie pod dużymi krzyczącymi tytułami omawiano plan zjednoczenia Veruzzy i Boliwarii. Na stronach tytułowych sporo miejsca zajmował też szeroki uśmiech Gallego Ramireza.

★

Pani Flora przyjęła nas na tarasie. Miała teraz na sobie elegancką sukienkę koloru kawy, zaś włosy spięte w kok. Po wygłoszeniu wielu rzeczywiście pięknych, dawnych komplementów usiedliśmy do stołu. Flora zainteresowała się też, co się dzieje z Baraxem, choć zapewne był to z jej strony jedynie objaw uprzejmości. Nawiasem mówiąc, swego towarzysza zostawiłem na podwórzcu, przy samochodzie. Nie protestował przeciwko pozornej degradacji do stanowiska szofera.

- Zna pan boliwaryjską kuchnię? - zapytała Flora.
- Nie, proszę pani. Po raz pierwszy jestem w tej epo..., chciałem powiedzieć: w tym kraju i jeszcze nie miałem szczęścia...
- W takim razie proszę tego skosztować, prawdziwy specjal z ryb.

Stary kamerdyner zniknął po podaniu kawy. Przez otwarte okno pokoju słychać było śpiew ptaków, czułem zapach kwiatów rosnących w ogrodzie... Wiedziałem, co w myśl niepisanych reguł teraz nastąpi. Drżałem z pożądania. Dziwiłem się sam sobie i zachowując resztkę trzeźwości obserwowałem własne reakcje. Co się stało?... Czyżby to była prawdziwa miłość? Dlaczego nigdy nie odczuwałem tego w trzydziestym pierwszym wieku? Czyżbyśmy my, ludzie przyszłości, nie znali już tego uczucia? Czy i ja mogę to odczuwać tylko tu, tu i teraz, w żadnym innym miejscu i czasie?...

Wstaliśmy. Flora podeszła do okna, patrzyła na ogród. Podeszedłem do niej, objąłem ją. Bardzo chciałem poczuć jej dotyk. Oparła głowę na moim ramieniu i... Pocałowałem ją.

Jej pocałunek był namietny, jej wargi drżały.

- Kim ty jesteś? - spytała, gdy złapałszy oddech.
- Człowiekiem. Cudzoziemcem. Ani biednym, ani bogatym. Nie młodym, ale nie starym. Nie pięknym i nie szpetnym.

Znowu ją pocałowałem. Nie opierała się, ona też tego pragnęła. To mnie ośmieliło. W głowie mi szumiało.

Wszystko rozegrało się tak naturalnie i pięknie, jak w filmach. W starych i nowych filmach... Sypialnia była zaraz obok - na rękach zaniósłem Florę do łóżka.

★

W dwie godziny później coś zakłóciło błogi spokój zalewający moje ciało.

Flora leżała oparta o moje ramię, ale nie spała. Gdy obróciłem się w jej stronę, napotkałem jej rozmazane i uśmiechnięte spojrzenie.

- Dobrze mi z tobą, Roy – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. Kochałem ją. Było mi z nią cudownie. Delikatnie ją pocałowałem i znowu poczułem w mózgu wibrujący sygnał. No oczywiście, Barax.
- Zaraz wróce, kochanie.
- Pospiesz się – szepnęła Flora.

★

Barax zaparkował wóz w pobliżu bramy, żeby mieć na oku wejście.

- Masz wspaniałą zdolność do przeszkadzania w „najlepszych momentach” – usiadłem koło niego.
- I tak byłem bardzo delikatny, bo przecież zaczekałem, aż zakończysz swoje gimnastyczne pokazy – odpowiedział uszczypliwie.

- Tak to nazywasz? Jasne, zapomniałem, że słowa „miłość”, „seks”, „uczucie”, „przyjaźń” brzmią dla ciebie zupełnie pusto.

- Przyjaźń nie! – odpowiedział nieoczekiwanie, lecz nie spojrzał na mnie.

W jego głosie było coś, co nie pozwoliło mi teraz z niego zakpić. Biedny, poczciwy Barax, on także nie był w łatwej sytuacji. Jest całkiem sam na świecie – niezależnie od czasu i miejsca, lub wręcz na przekór nim. Nie dziwiłem się, że nawet siedząc w samochodzie dokładnie wie, co robimy w domu. Mógł widzieć przez cieńsze ściany. Po drugie zaś dzięki swemu wyposażeniu mógł bez przerwy obserwować moje podstawowe funkcje życiowe: działanie serca i mózgu, ciśnienie krwi i oddech. Często zapomniałem już, że w czasie naszych wspólnych wypraw mam przy sobie superszpiega, który może wiedzieć, i wie o mnie więcej, niż cały zastęp lekarzy, psychiatrów i zwierzchników.

- Dlaczego mnie wołałeś?
- Popatrz – położył przede mną gazetę. Była otwarta na jedenastej stronie. – W pozostałych jest ten sam artykuł.

To, co Barax nazwał „artykułem” było zwyczajnym listem gończym. Władze poszukiwały Lorenza. Jego rysopis był zadziwiająco dokładny.

Przejrzałem gazetę, lecz nie znalazłem w nich nic więcej. Nas nie poszukiwano. Mogłem to zrozumieć jako pośredni komunikat od Negadesa, sądząc że w tego typu sprawach o charakterze politycznym decyzje należały do niego. Pułkownik z pewnością załatwił, by nas dalej nie poszukiwano, lecz oczywiście dyktatura nie oszczędziła Lorenza. Sądząc, że jeżeli go złapią, skazą go na śmierć. Niezależnie od tego kto w danej chwili będzie dyktatorem. Wszak Front Ludowy jest śmiertelnym wrogiem każdej dyktatury...

Postanowiliśmy nie wracać już do mieszkania w mieście. Lepiej zachować ostrożność.

★

- Wróce wieczorem – obiecałem Florze.
- Będzie czekać – odpowiedziała.

★

Droga do portu zabrała nam czterdzieści minut. Była już godzina szczytu. Zapadł zmierzch. Zatrzymałem samochód w wąskiej uliczce koło restauracji. Barax znalazł swoje zadanie, usadowił się tak, żeby widzieć mały budynek.

Przed wejściem stało kilka osób. Czuć było od nich alkohol. Przekraczając próg nie odbierałem żadnego sygnału niebezpieczeństwa. Rosły bufetowy podniósł wzrok. Poza nim nikt w zadymionym pomieszczeniu nie zwrócił na mnie uwagi. Gwar niemal uderzał o sufit.

- Dobry wieczór panu – powiedział bufetowy. Był to sprzyjający znak. Do tej pory to konspiracyjne towarzystwo nie przepadało za mną, najlepiej mogłem to zauważyć po zachowaniu ich strażnika na parterze.

- Dobry wieczór. Czy mogę wejść na górę?
- Oczywiście, proszę pana.

Na górze czekał na mnie Lopez. Jego pomarszczoną twarz rozjaśnił uśmiech.

- Witam, panie Medina.
- Dobry wieczór, panie profesorze.

Sposób, w jaki go przywitałem, skwitował drobnym grymasem zadowolenia i wprowadził mnie do małego pokoju. W żółtym kregu światła rzucanego przez stołową lampę siedziały dwie osoby: Lorenzo i Estrella.

- Salud, amigo! - ucieszył się młody człowiek i potrząsnął moją dłoń. Przyjął moją radę i zgolił brode. Wyglądał przez to dużo młodziej, niemal jak nastolatek. Jeżeli w ogóle odważy się teraz stąd wyjść, policyjne szpicle zapewne nie poznają go na ulicy. Nie wspomniałem o liście gończym, zapewne o nim wiedział.

Na długich, czarnych włosach Estrelli zamigotał promień światła. Znajoma para oczu uśmiechała się do mnie z ciemnej twarzy:

- Dobry wieczór, señor Medina.

Usiedliśmy wokół stołu. Wyczekując spojrziałem na Lopeza, który spoważniał:

- No więc rozmawiałem o interesującej nas sprawie z kolegami z kierownictwa. Szczerze mówiąc, nie ufają panu, panie Medina. Uważają pana za zagranicznego awanturnika, który łowi tu ryby w mętnej wodzie i w najlepszym wypadku chce wykorzystać nasz ruch. Ale są i tacy, którzy podejrzewają pana i pańskiego przyjaciela o to, że jesteście na usługach reżimu Ramireza...

Milczałem. Lopez ciągnął dalej.

- Powtarzam jedynie ich argumenty... Argumenty większości. Oni nie wierzą nawet w to, że panowie rzeczywiście planujecie zamach na Ramizera. Tak więc kierownictwo uważa, że dalsze kontakty z wami są zbędne, a nawet niebezpieczne.

Zapadła ciężka cisza. Estrella odwróciła głowę. Nie spodziewałem się tego, zwłaszcza po serdecznym przywitaniu, jakie mnie przed chwilą spotkało. Lorenzo zgadzał się ze mną i wściekał się w duchu. Lopez z zatorowaniem patrzył przed siebie. Wreszcie Lorenzo wstał:

- Głupcy! Nie widzieli tego, co ja! Roy i jego towarzysz są zdolni do rzeczy, o których my nie możemy nawet marzyć! Ja im wierzę!

Wpadłem na pewien pomysł. Opanowałem złość i chłodno powiedziałem:

- Panie profesorze, tym razem pańskie kierownictwo się myli. Niezależnie od tego zamach nastąpi i prezydent Ramirez zniknie ze sceny politycznej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa władzę przejmie pułkownik Negades, szef tajnej policji. Nie pytajcie, skąd to wiem. Istotne jest tylko to, że wiem... Ale jeżeli wy schowacie głowy w piasek, to tylko na tym straciecie. Wydarzenie to zaskoczy wasz ruch i nie będziecie potrafili należycie wykorzystać zachodzących zmian. Co więcej, możecie się znaleźć w niekorzystnej sytuacji...

- Chwileczkę! - przerwał Lopez. - Przekazałem panu kolektywną opinię kierownictwa. Jednakże w ruchu wyzwoleniczym jest jedno bojowe skrzydło... Od dawna już wiem, że słowami nie da się pokonać dyktatury. Cokolwiek nie mówiliby Jezus czy Gandhi, w obliczu przemocy jedynie przemoc może doprowadzić do sukcesu. Naszym celem jest rewolucja - a czy historia widziała bardziej brutalne akty niż rewolucje?... A zatem ja panu wierzę, Medina. Wierzę nawet w to, że przygotowujecie zamach. Jeżeli będzie on udany, a my w porę się o tym dowiemy, to wtedy górskie oddziały partyzantki będą mogły niejedno zrobić, nie mówiąc już o partyzantce miejskiej, która jest w zasięgu ręki i czeka na polecenia. Może i wam przyda się fakt, że w minucie, w której dokonacie zamachu, w stolicy i zapewne w wielu innych miejscach kraju możecie się spodziewać zaburzeń i rozruchów.

- Jeżeli tak, to sytuacja wygląda całkiem inaczej - spojrziałem na zegarek. - Słuchajcie uważnie, bo nie będę powtarzał. Nasunął mi się pewien pomysł. Zebyście uwierzyli, że naprawdę dokonamy zamachu, zaproszę Estrellę i Lorenza, żeby byli świadkami tego wydarzenia.

- Co takiego? - zdziwili się wszyscy troje.

- Dobrze słyszeliście. Lorenzo! Ty i Estrella jutro o szóstej przyjedźcie samochodem na podjazd duże go parkingu na Avenida de la Paz. Bo zamach - zwróciłem się do profesora - nastąpi jutro przed południem, panie Lopez. Mam nadzieję, że nie podzieli się pan tą wiadomością ze swoim kierownictwem. Sprawa, o której wie zbyt dużo osób, przestaje być tajemnicą. Bezpośrednio po zamachu Lorenzo zawiadomi pana i będziecie mogli wkroczyć do akcji. Nie wątpię - i mam nadzieję - że jeszcze dziś w nocy zaalarmuje pan swoich ludzi, panie profesorze. Jutro przed południem w aparacie państwowym nastąpi olbrzymie zamieszanie. Generalowie będą podejrzewać policję o zamordowanie Ramireza, zaś pozostali ministrowie i ich zwolennicy będą przypuszczać, że to wojskowy pucz. W tym czasie - jak już wspominałem - pułkownik Negades zagarnie władzę. Przynajmniej na parę godzin lub na dwa-trzy dni. Zepchną go z tej niezwykle chwiejnej pozycji będzie już waszym zadaniem, panie profesorze.

- Potrafi pan przepowiadać przyszłość - zdumiał się Lopez.
- Nie - uśmiechnąłem się. - Gdybym znał przyszłość, dziś wieczór już bym tu nie przyszedł. Nie przypuszczałem nawet, że Front mi nie ufa...
- Jak w każdym ruchu rewolucyjnym, także i tutaj konkurują ze sobą różne kierunki - wytłumaczył profesor, po czym zamilkł. Widziałem po jego twarzy, że nie ma ochoty na wyjawianie wewnętrznych sekretów bawiącemu tu przelotnie cudzoziemcowi.
- Rano będziemy na miejscu - obiecała Estrella. Lorenzo odprowadził mnie do schodów:
- Ja ci wierze, Roy.
- W porządku - odpowiedziałem, choć wciąż jeszcze czułem w ustach gorzki smak. Powoli przeszedłem przez restaurację i wyszedłem na ulicę. Wciągnąłem śmierdzące rybami powietrze. Z daleka dostrzegłem Baraxa. Wiedziałem, że w tym obcym świecie naprawdę mogę liczyć tylko na niego.

★

Noc spędziliśmy u Flory. Liczby mnogiej nie należy rozumieć dosłownie: Baraxa umieściliśmy w małym budyneczku w ogrodzie, w domku wyglądającym na idealną kryjówkę. Stał dość daleko zarówno od willi jak i od ulicy. Otaczały go wysokie drzewa i geste krzaki. Co prawda umeblowanie było bardzo skromne, ale to Baraxowi nie przeszkadzało. Domek miał też piwnice, bez okna, w której poprzedni właściciel willi urządził warsztat. Nawet kamerdyner rzadko tu zaglądał, co wywnioskowaliśmy z cienkiej warstwy kurzu, która pokrywała meble. Barax spędził w domku noc i nie skarżył się na brak łazienki. I tak jej nie potrzebuje.

Flora była wspaniałą kobietą. Przygnebiała mnie jednak świadomość, że w przyszłości musimy się rozstać. Odkrywaliśmy się wzajemnie. Flora była bardziej złożoną osobowością niż to sądziłem na początku. Myślałem, że jest rozpieszczoną, bogatą, nudzącą się kobietą. Teraz zrozumiałem, że jest jedną z ofiar swej epoki: goniący za pieniędzmi rodzice wydali ją za mąż za dyplomata, którego nie kochała. Skłamałbym jednak, gdybym powiedział, że nie lubiła wygodnie żyć. Wszyscy lubimy. Przyszło mi do głowy, że w trzydziestym pierwszym wieku mógłbym jej zapewnić znacznie większy, choć bardziej powszedni luksus...

Rano, gdy wysuwałem się z jej objęć, obudziła się. Obróciła się na drugi bok, wysunęła spod koldry piękne, białe udo.

- Gdzie idziesz tak wcześnie - wymruczała w półśnie. Właśnie wschodziło słońce.
- Na lotnisko, kochanie. Przyjeżdża pewien bogaty kontrahent, wyjeżdżam po niego - zanim zdążyła odpowiedzieć, pocałowałem ją. Później tylko się uśmiechnęła i z tym uśmiechem na twarzy zasnęła jak dziecko. Szybko ubrałem się.

Barax czekał w samochodzie.

- Cześć Barax!
- Salud, amigo! - odpowiedział. Gdy wyjeżdżaliśmy na ulicę, zerknąłem na niego z boku. Czułem, że jest w dobrym nastroju.
- Z czego się cieszysz?
- Z tego, że wreszcie naprawdę zaczynamy operację.
- Sądzisz, że do tej pory jedynie się zabawialiśmy?
- Ja się nie zabawiałem - powiedział obłudnik. - Czy Flora będzie miała z tobą dziecko?
- Mam nadzieję, że nie! - wyrwało mi się.
- No to po co spędziłeś z nią całą noc? - zapytał.
- To się nie mieści w głowie! Nieraz potrafisz zadawać takie pytania, że mam ochotę wleźć na ścianę - wybuchnąłem.
- Pomysłowe powiedzenie - przyznał. Prowadził szybko i jechaliśmy już przez niemal bezludne o tej porze ulice śródmieścia. - Ale odpowiedź nie była zadowalająca.
- Mówisz jak komputer.
- Zapominasz, że ja jestem również komputerem - powiedział i zrecznie skreślił na Avenida de la Paz. Ja zaś pomyślałem o tym, co by było, gdyby Flora naprawdę urodziła dziecko - moje? Po plecach przebiegł mi dreszcz. Byłby to szczególny rodzaj złamania czasu, za który - nie wątpię w to - GALPOL i kompetentne władze surowo by mnie ukarały. I miałyby rację - wystarczy tylko pomyśleć, że w ten

sposób zapoczątkowałbym nową linię genetyczną. I po tysiącu lat – w trzydziestym pierwszym wieku – spora liczba moich potomków żyłaby rozsiana po całym świecie, a nawet ewentualnie sam mógłbym być własnym potomkiem... Brrr!

Ruch był mały, lecz na rogach stało już wiele samochodów policyjnych. Z kilku ciężarówek zeskakiwali funkcjonariusze w białych hełmach. A więc Negades powiedział prawdę: wkrótce ustawią kordon.

Na końcu ulicy, obok dużego parkingu dostrzeżliśmy Lorenza i Estrelle, siedzących w rudobrazowym samochodzie. Sam nie wiem dlaczego, ale ucieszyłem się widząc ich.

Wyjechaliśmy z miasta. Na jednym ze wzgórz zauważyłem rząd niewiarygodnie małych i brudnych domków z drewna i blachy. Poprzedniego dnia uszły mojej uwagi. Niestety tym razem i Barax je zauważył:

– Co to?

– Slumsy – odpowiedziałem. Bałem się lawiny pytań Baraxa: „Dlaczego ci ludzie tam mieszkają? Dlaczego nie przeprowadzą się do ładnych, miejskich domów?” – i tak dalej. Jednakże mój towarzysz znowu mnie zadziwił:

– Profesor Lopez i partyzanci walczą o to, żeby ci biedacy też mogli przyzwoicie żyć?

– Właśnie! – zachwyciłem się. – Jak na to wpadłeś?

– Dedukcja – powiedział wymijająco.

Wkrótce dotarliśmy do gór okalających południową autostradę. Przejechaliśmy przez tunele, skręciliśmy w wybraną poprzedniego dnia boczną drogę i wjechaliśmy w góry. Słońce już wzeszło i powietrze zrobiło się cieplejsze. Niebo było czyste – zapowiadał się ładny dzień. Był dwudziesty dziewiąty maja 1992 roku.

Po osiągnięciu szczytu góry, dojechaliśmy do miejsca, gdzie urwisko skalne, niczym lej krateru, opadało pomiędzy dwoma tunelami wijącej się pod nimi autostrady. Brązowy samochód zatrzymał się za nami.

– Dzień dobry! – powiedziała Estrella. Nie była pięknością, ot taka, jak dziesięć tysięcy innych w mieście. Jednakże jej twarz i spojrzenie były znacznie miłsze. I kochała Lorenza – tego nie dało się nie zauważyć. W pobliżu niego niemal rozkwitała. Estrella żyła miłością – gotowa była narazić się na każde niebezpieczeństwo, byleby tylko mogła przebywać obok Lorenza. Z jego powodu była w konspiracji, we Froncie i dlatego jej również stałe zagrażało niebezpieczeństwo. Tak, to mi się podobało. W trzydziestym pierwszym wieku już prawie nie ma prawdziwych niebezpieczeństw, więc i kobieca miłość stała się inna ...

Nie miałem jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Nie wyjawiałem jeszcze naszych planów. Przez chwilę podziwialiśmy panoramę, po czym Barax schował się w krzakach na skraju urwiska, zaś my zjechaliśmy wąską, asfaltową drogą w stronę autostrady. W pobliżu wyjścia drugiego tunelu, za zboczem wzgórza, wprowadziliśmy samochody tyłem w krzaki. Lorenzo i ja narwaliśmy świeżych zielonych galezi i przykryliśmy nimi dachy samochodów. Domyślałem się, że przed przejazdem konwoju z prezydentem, osoby odpowiadające za bezpieczeństwo skontrolują trasę z powietrza... Nie myliłem się. Po wpół do ósmej zahuczał helikopter – zbliżał się od strony miasta. Wszyscy troje schowaliśmy się; metalowa wałka odleciała. Do godziny dziewiątej wróciła jeszcze dwukrotnie, z hukiem przelatywała nad drogą, na której ruch stawał się coraz mniejszy. Z pewnością samochody cywilne skierowano w inną stronę. Później przemknęły samochody policyjne. Jeden z nich przystanął przy wjeździe do tunelu, wysiadło z niego czterech funkcjonariuszy.

– Ułatwili mi sprawę – cicho powiedziałem do Lorenza.

Policyjanci w istocie mimowolnie ułatwili zamach: ich samochód stał na skraju drogi. Tak więc do zablokowania wjazdu do tunelu nie musiałem używać własnego wozu. Obserwowałem powoli przesuwającą się wskazówkę zegarka. Była godzina dziewiąta dwadzieścia dwie. Jeżeli pułkownik Negades nie kłamał, orszak samochodów prezydenta jest już w drodze. Teraz przejeżdżają zapewne przez Avenida de la Paz...

– Barax? – odezwałem się do małego mikrofonu wpiętego w koinerz.

– Jestem gotowy – usłyszałem lakoniczną odpowiedź. Lorenzo i Estrella spojrzeli na siebie. Nie zwraca-

całem już na nich uwagi. Na czworakach podkradłem się w pobliże drogi. Byłem tak blisko wylotu tunelu, że słyszałem głosy policjantów. Wesolo żartowali, nie przeczuwając niebezpieczeństwa. Wyjąłem broń...

O godzinie dziewiętej minut czterdzieści cztery autostradą przejechał policyjny samochód z włączoną syreną, sygnalizując, że zbliża się konwój. Jednocześnie usłyszałem meldunek Baraxa:

- Roy, są! Z przodu dwa samochody policyjne, dalej jedna. ...dwie ... trzy, cztery czarne Impale. Znowu dwa samochody policyjne i kilka innych wozów ... Ruszam!

- Ja też! - odpowiedziałem. Podniosłem pistolet i wyszedłem spod krzaków. Policjanci stali zaledwie dwadzieścia metrów ode mnie. Bezgłośnie tryskający strumień promieni objął ich tylko na 0,2 sekundy - funkcjonariusze upadli, podbiegłem do policyjnego samochodu i uruchomiłem silnik. Kiedy stawałem wóz w poprzek wylotu tunelu, słyszałem już warkot zbliżającego się konwoju... Później zapiszczały hamulce...

„Roy, jestem w tunelu, ruszam za nimi!” - zameldował Barax. Wyobraziłem sobie, jak mój towarzysz skacze z urwiska, dociera do jezdni i zwiększając trzykrotnie swoją szybkość reakcji z niewiarygodną, ponadludzką predkością pędzi za mknącymi po asfalcie samochodami...

Przycałłem się za żalonym betonowej ścianą. Kierowcy samochodów jadących na początku konwoju zahamowali widząc przeszkodę. Dopiero wtedy wysunąłem wylot pistoletu zza rogu ściany i nacisnąłem guzik. Promień omiótł ciemny tunel - usłyszałem kilka głuchych uderzeń i brzek szkła. Niektórzy z hamujących kierowców stracili panowanie nad samochodami. Znowu wypuściliśmy wiązkę promieni - nie bałem się, że trafię biegnącego za nimi Baraxa, jemu promień nie mógł zaszkodzić. Wszystko to nie trwało nawet pół minuty, potem zapadła głucha cisza.

- Chodź, Roy - powiedział Barax. Wkroczyłem w ciemność.

Kiedy oczy przyzwyczyły mi się do mroku, dostrzegłem stojące w nieładzie samochody. Jeden z nich stał w poprzek drogi, inny miał rozbity i uniesioną pokrywę silnika oraz roztrzaskane reflektory. Umundurowani i cywilni strażnicy leżeli na siedzeniach - jeden z nich miał zakrwawioną twarz, musiał uderzyć nosem w przednią szybę. Wszyscy żyli, lecz wiedziałem, że odzyskają świadomość dopiero za piętnaście godzin. Czternaście samochodów stojących w półmroku sprawiało dziwne wrażenie.

- Jest tu! - Barax wskazał w stronę jednej z Impali i niczym worek wyciągnął ze środka bezwładne ciało. Odwrócił twarz ofiary w stronę wylotu tunelu.

- To Lipp Kilyos.

- To znaczy pan prezydent Ramirez ...

- Chodźmy.

Barax wziął mężczyznę na ręce jakby tamten był dzieckiem. Bez żadnego wysiłku wyniósł go z tunelu. Weszliśmy między krzaki. Lorenzo i Estrella jak skamieniały patrzyli na nas, a później na ciało mężczyzny w czarnym ubraniu:

- Ramirez! - krzyknęła dziewczyna.

- Zabiliście go? - zapytał Lorenzo ochryple i przez dobrą minutę nie mógł oderwać wzroku od bezwładnego ciała.

- Ależ skąd, stracił jedynie przytomność - powiedziałem szybko. - Estrella, niech pani wsiaada do samochodu. Zawiadomi pani Lopeza. Lorenzo, chcesz nam pomóc?

- We wszystkim! - odpowiedział, a oczy zabłyśły mu z entuzjazmem. Potrzebowaliśmy kogoś do pilnowania Ramireza-Kilyosa i nie mogliśmy znaleźć odpowiedniejszej osoby niż Lorenzo.

- Zawieźcie tego faceta do miasta. Barax zna droge.

- Szum silnika na wysokości dwudziestu dwóch metrów, kierunek jedenaście stopni! - nieoczekiwanie zakomuńnikował Barax i wepchnął Ramireza do bagażnika naszego samochodu. Lorenzo zatrzaskał pokrywę.

- Helikopter - mruknąłem. Estrella wsiaada już do samochodu, zgarniając z niego uprzednio zielone gałęzie. Barax, jak zwykle ze śmiertelnym spokojem stanął między krzakami. Powoli uniósł prawą rękę.

- Lorenzo, wsiaadaj i ty - rozkazałem.

Helikopter leciał nad autostradą w kierunku miasta. Szukał zapewne konwoju... Jeżeli pilot zauważy

samochód policyjny stojący w poprzek wylotu tunelu i leżących tam policjantów natychmiast zamelduje o tym przez radio do bazy...

Sądze jednak, że nie miał na to czasu. Gdy metalowy kadłub pojawił się nad drzewami, z ręki Baraxa kilkakrotnie, raz za razem, wystrzelił fioletowy, oślepiający promień świetlny. Za każdym razem trafiał w cel – ze względu na wbudowany automatyczny celownik nie mogło być inaczej. Z naszej kryjówki dostrzegliśmy jedynie, że helikopter zaczyna kręcić się bezwładnie wokół własnej osi. Barax trafił w małe śmigło na ogonie maszyny, które równoważy siłę obrotową głównego wirnika. Pilot zmuszony był natychmiast lądować na którymś ze wzgórz.

– Jedziemy!

Najpierw jechał nasz samochód, w nim Barax, Lorenzo i „cenny ładunek”. Z tyłu ja prowadziłem brązowy samochód Estrelli. Po piętnastu minutach zbliżyliśmy się do Boliwar. Ruch na ulicach był normalny. Przy następnym skrzyżowaniu oba samochody rozdzieliły się.

– Lorenzowi nie stanie się nic złego? – zapytała Estrella. Przejeżdżaliśmy właśnie obok śródmiejskiego parku. Ruch był już duży. Życie miasta toczyło się normalnie.

– Na pewno nie. Mój kolega będzie na niego uważał – obiecałem.

– Pański towarzysz jest nadzwyczajnym człowiekiem – powiedziała dziewczyna z głębokim przekonaniem w głosie. Poprawiło mi to humor. „Nadzwyczajny człowiek”!

– Señorita! Przystanę przy najbliższym telefonie. Czy jest pani w stanie skontaktować się z profesorem Lopezem?

– Oczywiście.

Przystanąłem na skraju jezdni, po drugiej stronie parku. Estrella weszła do pomalowanej na czerwono budki. Przez przezroczystą ścianę ze sztucznego tworzywa widziałem, jak rozmawia żywo gestykulując.

Estrella wróciła uradowana.

– Oddziały ruszyły!

– Jakie oddziały?

– No, przecież partyzanci! W górach. Profesor Lopez zaalarmował ich w nocy. Jeszcze dziś przed południem zajmą kilka miast, tak przynajmniej planują. Później dotrą do Boliwar.

– A co będzie tu, w mieście?

– Tutejsi partyzanci na razie się nie ruszają.

Zagryzłem wargi. W końcu cóż ja mam wspólnego z tym całym ruchem? Może tylko tyle, że Lorenzo pomaga mi pilnować Ramireza, próbowałem się sam przekonać, ale wiedziałem, że nie mam racji. Mam z nimi wiele wspólnego, wiem, jaki będzie koniec historycznego zajścia w Boliwarii, wiem, co się zdarzy następnego dnia w tym mieście. Znajomość bliskiej przyszłości stanowiła ciężki balast i w sposób nieunikniony wywierała wpływ także na moje postępowanie.

– Partyzantka miejska odczeka, czy porwanie Ramireza rzeczywiście wywoła zamieszanie. Nie chcą ryzykować. Zaatakują dopiero wtedy, gdy nadejdzie właściwy moment.

– Niech robią, co chcą, mnie tam wszystko jedno – mruknąłem. – Dokąd jedziemy, señorita?

– Niech pan będzie uprzejmy do portu, señor Medina.

Trzy kwadranse później pojechałem taksówką do dzielnicy Juventud. W samochodzie grało radio: zdenerwowany męski głos oznajmił, że nieznani sprawcy dokonali zamachu na „jednego z przywódców państwa”. Dziwiłem się, że robią z tego tajemnicę i uważałem, że to zbyt cenne. Bo na przykład kierowca mojej taksówki od razu wiedział o kogo chodzi:

– Señor, słyszał pan? Założę się o stówę, że usuneli z drogi Ramireza! Na pewno znowu generałowie zorganizowali pucz!

– Z pewnością ma pan rację – odpowiedziałem. W sposób wyczuwalny napięcie zaczęło ogarniać całe miasto. Po podaniu wiadomości o zamachu, wygląd ulic zmienił się. Wyjące syrenami samochody policyjne jeździły tam i z powrotem, przed budynkami rządowymi zbierały się opancerzone pojazdy wojskowe. Pod jedną z kładek dla pieszych dostrzegłem nawet pomalowane na barwy ochronne dwa czołgi. Na pedałach ciężarówkach siedzieli żołnierze w hełmach.

„Widocznie Negades miał też zwolenników w armii” – pomyślałem.

Nie zapomniałem o ostrożności. Wysiadłem na skraju dzielnicy i po przejściu stu metrów złapałem drugą taksówkę. Tu także było włączone radio, nadawano hałaśliwy marsz, a później – po chwili denerwującej ciszy – usłyszałem znajomy głos:

– Obywatele! Rodacy! Wrogowie państwa i demokracji dokonali nikczemnego zamachu przeciwko legalnie wybranemu prezydentowi... – Pułkownik Negades nie był dobrym mówcą. Lub nie miał jeszcze doświadczenia... Aż za bardzo dało się wyczuć, że tekst swej przemowy czyta z kartki. Złe akcentował, krótkie przerwy na zaczerpnięcie oddechu robił nie wtedy, kiedy należało. Sądzę jednak, że w tej chwili byłem jedynym człowiekiem w całej Boliwarii, który zwracał na to uwagę...

Później spiker zakomunikował, że przed chwilą przemawiał pułkownik Raimundo Negades, prezydent nowego rządu. Bezpośrednio po tym ogłoszono wprowadzenie godziny policyjnej i stanu wyjątkowego.

Wysiadłem z taksówki dwie ulice wcześniej i pomiędzy dwoma rzędami opustoszałych willi pieszo zbliżyłem się do domu Flory. Brama była teraz zamknięta. Ucieszyłem się, że Barax sam przedsięwziął praktyczne środki ostrożności. Mój towarzysz ukrył się gdzieś w ogrodzie i uruchomił wszystkie czujniki. Praktycznie rzecz biorąc wiedział o wszystkim, co dzieje się wokół willi w promieniu jednego kilometra.

Kamerdyner wpuścił mnie do środka i by nie budzić podejrzeń, najpierw udałem się do Flory. Właśnie zakończyła poranną toaletę. Na stole w narożnym pokoju dostrzegłem ślady skromnego, dietetycznego śniadania. Tak, jak się tego spodziewałem, Flora już dawno zapomniała, o czym mówiliśmy rano. Teraz było to nawet zrozumiałe.

– Słyszałeś? Czy wiesz co się wydarzyło? Zabili prezydenta Ramireza, zaledwie w tydzień po objęciu władzy!

– Na ile znam historię tego kontynentu, nie jest to u was rzadkością – ostrożnie odpowiedziałem.

Flora przytuliła się do mnie. Zrobiło mi się jej żal. Choć nie po raz pierwszy byłem w przeszłości, teraz dopiero poczułem jakimi zabawkami są ci ludzie w rękach przypadku. „W rękach losu”, jak sami mawiają... To jest właśnie największa różnica pomiędzy naszym nowoczesnym światem, z którego przybyłem, a dwudziestym wiekiem.

Flora bała się. Bała się przyszłości, czuła się bezradna. Sądzę, że wtedy moja obecność wiele dla niej znaczyła. W pierwszych dniach nie czuła jeszcze, że to co nas łączy, to miłość – powiedziała w nocy. Prawdziwa, rzeczywista miłość. Staliśmy mocno przytuleni do siebie. Nigdy jeszcze nie znalazłem się w takiej sytuacji. W moim prawdziwym świecie – tam, gdzie się urodziłem – związki między mężczyznami i kobietami były zupełnie inne. Bardziej rzeczowe i chłodne. Nie wiem, co na mnie tak wpłynęło tu, w końcu dwudziestego wieku – czyżby tylko Flora?... A może powietrze, otoczenie, ludzie, duch epoki? Do tej pory nie wierzyłem w istnienie czegoś takiego – ale teraz dzięki Florze poczułem jego smak i ogarnęło mnie szczególne uczucie. Flora, epoka, miasto, nastrój stały się we mnie nierozdzielalnym łańcuchem. A przede wszystkim miłość.

Czy i Kilyos nie odczuwał czegoś podobnego?... Może i on spotkał jakąś kobietę? Odnalazł wreszcie prawdziwą miłość? A może jego miłością jest władza? Zakochał się w swych możliwościach. W tym, że może się stać – i rzeczywiście się stał panem życia i śmierci. Że znając przyszłość miasta, kraju i ludzi może się stać ich panem, a przez to – zdobycić władzę nad czasem.

Flora uwolniła się z moich objęć:

– ...Jeżeli to prawda, jeżeli rzeczywiście nastąpił pucz, to wkrótce przybędzie mój mąż! – w jej oczach była trwoga.

– Na jego miejscu zaczękałbym, aż sytuacja się wyjaśni – odpowiedziałem.

W radiu znowu przerwano nadawanie muzyki i jakiś głos oznajmił, że do czasu wydania innych zarządzeń zamknięto granice i lotniska. Na razie nikt nie może opuścić kraju... Nas to nie interesowało.

★

Lorenzo siedział w piwnicy małego domku w ogrodzie. Na prymitywnym, żelaznym łóżku leżał Kilyos-Ramirez.

– Spi – szepnął nasz przyjaciel.

- Jest oszołomiony. Możesz mówić głośno i tak się teraz nie obudzi.
- Twój kolega, Barax... To bardzo silny facet.
- Właśnie dlatego go ze sobą przywiozłem - odparłem i zbadalem Ramireza. Oddychał miarowo, mięśnie miał rozluźnione, serce funkcjonowało normalnie. Zwróciłem uwagę na kolor jego skóry. Musiał się nieszywnie opalać od chwili, gdy przybył w dwudziesty wiek - przemknęło mi przez myśl.

Spojrzałem na zegarek:

- Zbliża się południe. Do jutra rana na pewno nie oprzytomnieje. Do tej pory nie mamy nic do roboty.

- A co będzie, jak... jak ocknie się?
- Zobaczymy. Nie niecierpliw się, Lorenzo. Zobowiązałeś się, że będziesz nam pomagać!
- I nie wycofuję się z tego! - spojrzał mi w oczy. Nie mogłem wątpić w jego intencje. Powiedziałem mu, gdzie rozstałem się z Estrellą. Później zaczęliśmy rozmawiać o miejskiej partyzantce.
- Oczywiście, że masz racje, Roy. Teraz i oni mogliby zaatakować. Ale brakuje ludzi, a i broni jest mało. Dlatego Lopez ociąga się z atakiem w stolicy. W górach mamy wielu ludzi w stanie gotowości, łatwiej jest uzupełnić straty... Te oddziały już ruszyły - pokazał na radio - dziś po południu będzie już o nich słychać.

★

Lorenzo miał racje. Wieczorem już nawet boliwaryjska państwowa rozgłośnia nie mogła zaprzeczyć temu, o czym zagraniczne radiostacje trąbiły od południa.

Wieczorem przyniosłem Baraxowi z willi obfitą kolację, którą naturalnie zjadł Lorenzo. Nawet w trakcie jedzenia chłopak kręcił gałką radia: aktualna sytuacja polityczna wciąż jeszcze nie była jasna. Co prawda w stolicy panem był nazywający siebie prezydentem Negades, lecz w południowych prowincjach dotychczasowy zastępca ministra obrony, generał Castellano przeprowadził kontrapuc. Wykorzystując aktywizację ruchów partyzanckich powołał się na „wewnętrzne zagrożenie” i stworzył tymczasowy rząd wojskowy. W oświadczeniu radiowym nazwał stołeczną grupę Negadesa bezsilną i nielegalną.

Barax stał nieruchomo obok ozdobnego krzewu między domkiem w ogrodzie a willą. Było już ciemno, niebo zasłaniały chmury, nie widzieliśmy księżyca. Światła z ulicy nie docierały do ogrodu.

- Co się dzieje, Barax?
- Nic, okolica spokojna.
Jednakże z jego głosu - a może mimowolnie odebranego „nastroju” - wyczułem, że coś jest nie w porządku.
- Mów, stary.
- Kilyos z pewnością przestudiował wydarzenia najbliższego tygodnia i miesiąca, zanim wyprawił się w przeszłość. Wiemy, że zna przyszłość. Wie też jak kształtować się będzie sytuacja polityczna w Boliwarii. Ponieważ sam odgrywa tu jedną z kluczowych ról, musiał wiedzieć, że dwudziestego dziesiątego maja przed południem padnie ofiarą zamachu...

- A więc jeżeli świadomie trafił w nasze ręce, jeżeli z własnej woli wpadł w pułapkę, to możemy się spodziewać jakiegoś kontruderzenia. Może nawet dzisiejszej nocy.

Spojrzałem na ciemne niebo i pomyślałem, że na razie i tak nie możemy nic zrobić. Odczekamy, aż wiezień odzyska przytomność, a do tej pory będziemy się mieć na baczności. Miałem nadzieję, że gdy Ramirez-Kilyos przyjdzie do siebie, wszystko się wyjaśni.

Rozdział 7

- Roy, kochasz mnie?
- Kocham - słowo to znaczyło teraz więcej niż gdziekolwiek i kiedykolwiek w życiu.
- Boję się o ciebie - szepnęła Flora.
- Nie bój się. Wykonuję swoją pracę.
- Wiem, ale nie jesteś handlarzem. Nie handlujesz kwiatami... Prawda?
- Prawda, ale na razie nie mówmy o tym.

- Dobrze mi z tobą, Roy.

- Dobrze mi tobą, Floro.

„Mógłbym ją zabrać ze sobą” – pomyślałem i od razu uświadomiłem sobie, jaki wybuchłby skandal. Wszyscy by się zwrócili przeciwko mnie. Szef, rząd, GALPOL, wydział czasu, a nawet przyjaciele. Ten, kto sam świadomie łamie czas, nie może być pracownikiem wydziału, w którym pracuje.

- Kocham cię Roy.

- Kocham cię, Floro.

★

Do rana nic się nie wydarzyło. Flora spała spokojnie, lecz ja zbudziłem się wcześniej. Widziałem przez okno, jak na skraju kopuły nieba pojawił się wąski, biały pasek. Starłem się nie poruszyć, miałem nadzieję, że jeszcze zasne. Czuję dziwny lęk. Bezruch sprawiał mi przyjemność. Na jakiś czas straciłem poczucie czasu. Nie wiedziałem, w którym wieku jestem. Może w trzydziestym pierwszym, gdzie wyrosłem?...

Otworzyłem oczy. Wiedziałem, gdzie i kiedy się znajduje. Czuję, że już nie zasne. Leżąca obok Flora oddychała miarowo. Po cichu wstałem. Gdy wyszedłem spod zimnego prysznica, poczułem, że coś się stało. Stale czuwający Barax dostrzegł przez ściane, że się poruszyłem.

„Chodź, Roy” – odebrałem sygnał. Wyszedłem do ogrodu. Gdy się zbliżyłem, drzwi małego domku otworzyły się.

- Dzień dobry, Barax.

- Cześć, Roy. Facet się budzi – odpowiedział. Wiedziałem, że facet to nikt inny, jak Ramirez-Kilyos.

Lorenzo spał w willi w małym pokoiku na parterze. Ułatwiło nam to spawę. Nie budziliśmy go. Po cichu zeszliliśmy do piwnicy, zapaliliśmy światło. Czuję, że gdy nasza ofiara się obudzi i zrozumie, co się stało, nagie szare ściany, puste półki i ponure żelazne łóżko będą stanowiły dobrą oprawę sytuacji. W świadomości porwanego człowieka to pomieszczenie musiało wzbudzać dość przerażające wrażenie.

Ramirez-Kilyos oddychał gwałtownie i niepewnie poruszał rękami. Odwróciliśmy go na plecy. Twarz miał teraz bladą, co przypisaaliśmy zwolnionemu krążeniu krwi. Oszałamiające działanie broni promiennej powodowało niewielkie zwolnienie funkcji życiowych, obaj z Baraxem widzieliśmy już kiedyś podobny przypadek.

- Rysy twarzy zgadzają się – powiedział mój towarzysz. Miał na myśli Kilyosa. Ja zaś nagle pomyślałem: czym się różni pod względem fizycznym człowiek urodzony tysiąc lat później od osobnika z dwudziestego wieku? Niczym. Ja, Roy Medina jestem dokładnie taki sam jak Lorenzo. Gdybym tu umarł i dwudziestowieczni lekarze otworzyliby moje ciało, nawet najdrobniejsza jego część nie różniłaby się od ciała współczesnych ludzi. Nic nie zdradziłoby ogromnej „różnicy wieku”, jaka jest między nami. Oczywiście, sytuacja byłaby zupełnie inna, gdyby pod ich nóż trafił Barax...

Ale na szczęście Barax nigdy nie trafi do szpitala ani do prosektorium, mogłem być tego pewny.

A co z Kilyosem?... spojrzałem na jego twarz. Była bardzo podobna do tej na zdjęciach. Niewielkie faldy pod oczami, zmarszczki obok nosa. No tak, czterdzieści osiem lat.

Nasz więzień odzyskał przytomność o siódmej dwie rano. Otworzył oczy, kilkakrotnie zaczerpnął łapczywie powietrze i oblizal wyschnięte usta. Dałem mu szklanke wody. Wypił ją i dopiero potem rozejrzał się. Ze zdumienia usiadł. Barax, niczym kamienny posąg, stał przy drzwiach. Odezwałem się w naszym języku.

- Lippie Kilyos, aresztuję pana w imieniu policji galaktycznej. Nakaz wydał rząd światowy. Pańskie prawa osobiste ulegają zawieszeniu aż do odwołania. Gdy tylko będzie można, przewieziemy pana z powrotem do trzydziestego pierwszego wieku.

Milczał. Wydawało mi się, że w jego oczach dostrzegam dziwny błysk. Ze zdziwieniem patrzył na nas, a potem...

- Co się stało? Kim panowie jesteście? – zapytał. Po hiszpańsku.

- Nie musi pan grać dalej, Kilyos – kontynuowałem w naszym języku. – Dość długo trwało, zanim trafiliśmy na pański ślad, ale teraz już nie uda się panu uciec.

Znowu spojrzał na mnie jakby nie rozumiejąc.

- Jestem Gallego Ramirez, legalny prezydent Boliwarii – oświadczył, znowu po hiszpańsku. Starał się mówić twardym głosem, ale ja i Barax czuliśmy strach, który próbował zamaskować.

- Udaje pan Ramireza, Lippie Kilyos – odparłem. – Ale to już koniec gry, rozumie pan? Niech pan da spokój z tymi przemowami po hiszpańsku i uzna, że partia jest przegrana.

Znowu mruknął coś, z czego rozumiałem tylko słowo „Boże”... Wtedy pojawiła się we mnie pierwsza wątpliwość. Spojrzałem na Baraxa: „Próba! Nie ustępuję” – nadałem w jego kierunku. Odczekałem aż w ten sam sposób potwierdzi odebranie rozkazu i wtedy powiedziałem do niego głośno w naszym języku:

- Wychodze, nie chce oglądać krwi. Zrobij tego niedznika, przynajmniej nie trzeba będzie go dalej pilnować.

Wyszedłem do ogrodu. Barax został z więźniem. Niebo się już rozjaśniło. Złoty blask słońca zalał ogród i drzewa. Cienie krzewów rozwały się. W dzielnicy Juventud panowała cisza, jedynie kilka ptaków ćwierkało niepewnie. Poranek był piękny.

Wróciłem po pięciu minutach. Barax dał mi znak: żadnego rezultatu. Nasza ofiara nie okazała najmniejszej oznaki przerażenia. Albo ma stalowe nerwy, albo... nie rozumie naszego języka! Spojrzeliśmy z Baraxem po sobie, po czym z westchnieniem usiadłem na brzegu łóżka.

- Porozmawiajmy więc po hiszpańsku, señor...

- Porozmawiajmy – odpowiedział z widoczną ulgą, że jednak możemy się dogadać.

- Nie rozumiał pan tego, co przed chwilą powiedziałem do mojego kolegi?

- Nie. Nie wiem nawet w jakim języku pan mówił. Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś takiego...

- Rozumiem.

Wciąż jeszcze mu nie wierzyłem. Spojrzałem na Baraxa, który zrozumiał o co mi chodzi i rzekł:

- Nie kłamie.

Ponieśliśmy kleskę. To, co w poprzednich dniach było jedynie niejasnym podejrzeniem, teraz, trzynastego maja 1992 roku o świcie stało się bolesną rzeczywistością. Pomyliliśmy się – lub raczej daliśmy się nabrać. Lipp Kilyos przechytrzył nas.

Wszedł Lorenzo. Z pewną rezerwą i ze stłumionym, lecz źle skrywanym gniewem popatrzył na Ramireza, po czym zwrócił się do mnie.

- Wszystko w porządku, Roy?

- Chodź na zewnątrz – przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Lorenzo ruszył za mną.

Na podwórku wszystko już było skąpane w słońcu. Ptaki ćwierkały jak oszalałe, było ciepło, cała okolica tchnęła spokojem. Spokojem, na który teraz się nie zanosilo.

- Lorenzo, podejrzewamy, że porwaliśmy nie prawdziwego prezydenta Ramireza, lecz jego sobowtóra. Słyszałeś, że prezydenci zazwyczaj mają oplacanych przez urząd sobowtórów, prawda?... No więc myślę, że on jest właśnie jednym z nich. Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, ale jedno musisz wiedzieć: podejrzewamy, że w Boliwarii panował nie były cukiernik, a bardzo podobny do niego mężczyzna.

- A więc prawdziwy prezydent jest jeszcze na wolności? – Lorenzo zbladł z przejęcia.

- Tak, ale niczego się nie obawiaj. Nie wpadliśmy w pułapkę. Barax zauważyłby, gdyby Ramirez miał ukryty radionadajnik lub podobne urządzenie. Poprzez sobowtóra nie mogą wpaść na nasz trop. Prawdziwy prezydent nie poszukuje nas. Z powodu puczu ma z pewnością inne sprawy na głowie. Po prostu spisze na straty oplacanego sobowtóra. Z pewnością myśli teraz, jak się rozprawić z pułkownikiem Negadesem i generałem Castellano... Co nowego u powstańców?

- Radio nic nie podaje. Ale gdybym mógł zatelefonować do Estrelli, dowiedziałbym się od niej wszystkiego, a i ona by się uspokoiła, że nie stało mi się nic złego.

- W porządku. Choć do willi, do kuchni.

Podczas gdy Lorenzo telefonował z kuchni, ja rozmawiałem ze starym kamerdynerem o tym, co ma być na śniadanie. Służący dobrze wiedział – jestem tego pewny – co zaszło między mną a panią Florą, lecz w żaden sposób tego nie okazywał. Przeciwnie, traktował mnie jak pana domu, co było miłe i zwiększało moją pewność siebie. Flora jeszcze spała. Po cichu wymknąłem się z willi. Lorenzo dogonił mnie w ogrodzie.

- Co powiedziała Estrella?

– Powstancy zbliżają się już do Bolívar. Na wschodzie i północy zajęli najważniejsze miasta. General Castellano ogłosił się prezydentem, ale poszła za nim jedynie część sił lądowych. Tu, w mieście, władza jest w ręku pułkownika Negadesa. Nie zmobilizowano jeszcze partyzantki miejskiej. Ludzie Lopeza czekają, aż oddziały powstańcze z gór podejną bliżej do miasta.

Weszliśmy do warsztatu. Lorenzo usiadł na brzegu łóżka i odezwał się.

– Proszę powiedzieć jak się robi tort „Maddalena”. Co jest potrzebne?

Ramirez ożywił się. Po raz pierwszy tego dnia przez jego twarz przemknął grymas przypominający uśmiech.

– Mielone orzechy, migdały, cukier puder, śmietana, jajka, masło, trochę rumu, no i oczywiście najdelikatniejsza mąka tortowa... – Powiedział dokładnie jak się przygotowuje i piecze ciasto, a później mówił dalej.

– Kiedy jest już gotowy, kładę na wierzch kulkę marcepanową. Niektórzy polewają go czekoladą, ale moim zdaniem jest to duży błąd, nadaje mu zupełnie inny smak...

Lorenzo pociągnął mnie do kąta.

– Roy, to na pewno cukiernik Ramirez... Przed chwilą zapytałem Estrelle, jak się robi tort „Maddalena”... A jeżeli ten człowiek tak dobrze wie, to w takim razie nie ulega wątpliwości, że on jest prawdziwym prezydentem Bolívarii!

Spojrzałem na zegarek.

– Teraz dostanie pan śniadanie. Przyjść przed dziesiątą i wysłucham historii, którą mi pan opowie.

– Historii?

– Tak, o tym człowieku, który jest tak bardzo do pana podobny.

Obserwowałem jego oczy, same oczy. I dostrzegłem ten błysk. Dobrze znam te proste reakcje.

– Wszystko nam pan o nim opowie. W przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni pana zabić – powiedziałem i zostawiłem go w piwnicy.

★

Tym razem Flora nie była w tak dobrym humorze, jak w poprzednich dniach. Podczas śniadania zrywała się na każdy szmer, jadła nerwowo i mówiła więcej niż zwykle.

– Roy, jeżeli w mieście wybuchną rozruchy, my także znajdziemy się w niebezpieczeństwie. Mój mąż był ambasadorem byłego prezydenta i ci żołnierze, czy Bóg wie kto, którzy teraz znaleźli się u władzy, mogą się wedrzeć do domu. Mój mąż ma wielu wrogów w ministerstwie.

– Nie bój się, kochanie. Niczyja noga tu nie postanie. Tobie nie może się stać nic złego. Mam wpływowych przyjaciół.

– Sądzisz, że można na nich liczyć?

– Na jednego spośród nich na pewno.

Myślałem o pułkowniku Negadesie. Ten typ spod ciemnej gwiazdy znowu mi chyba będzie potrzebny. Zwłaszcza – że przecież Lipp Kilyos nadal jest na wolności i Bóg wie, gdzie się znajduje. Musimy go schwycić. Nie możemy zaniechać walki, nie możemy wrócić bez niego. Po to przeprawiliśmy się przez czas, po to cofnęliśmy się o ponad tysiąc lat...

– Jak myślisz, czy mogę wyjść na miasto? – zapytała Flora już nieco spokojniej. – Trzeba kupić parę rzeczy, bo a nuż ogłoszą stan oblężenia. No i biedna mama... Próbowałam się do niej dodzwonić, ale w tamtej okolicy była podobno strzelanina, telefony nie działały, nie ma prądu. Muszę zobaczyć, czy się biedaczce coś nie stało.

– Możesz spokojnie iść. I przynieś gazety – ucieszyłem się, że nie będzie jej w domu przed południem. Dzięki temu będę mógł w spokoju porozmawiać z mistrzem cukiernictwa Ramirezem.

★

W piwnicy byliśmy tylko my dwaj. Lecz nawet przez ściany czułem na sobie spojrzenie Baraxa. Wiedziałem też, że nagrywa naszą rozmowę.

Ramirez był jeszcze bledszy niż rano. Ze strachem patrzył na mnie. Wiedziałem, że boi się mnie, nas. Nagle zrobiło mi się go żal. Był tak nieszczęśliwy, tak samotny. Czyżby to on miał być tym straszliwym dyktatorem?...

Oczywiście, na stołek prezydencki trafił dopiero przed tygodniem. Nie zdążył jeszcze popełnić wielu nikczemności, nie zabrudził jeszcze rąk. A choć nie miał jeszcze pięćdziesięciu lat, wyglądał na co najmniej sześćdziesiąt.

- Niech się pan nie boi, señor Ramirez. Wiemy, już, że właściwie nie jest pan tym, kogo szukamy. Schwytaliśmy nie tego, kogo chcieliśmy. Zaszła pomyłka.

- Ale... ja jestem prezydentem Ramirezem... - rozpaczliwie próbował podkreślić wagę swojej osoby mając nadzieję, że uznamy go za cennego zakładnika i nie zrobimy mu krzywdy. Nie wiedział, że mam inne plany.

- Zagrajmy w otwarte karty, Ramirez. Potrzebuje informacji o drugim Ramirezie. Niech mi pan powie o nim wszystko.

Kącik jego ust zadrżał.

- Groził mi... żebyśmy nigdy nic z tego nie wyjawili. Zemści się na mojej rodzinie.

- Niech go pan zostawi nam. Im więcej pan o nim opowie, tym prędzej wpadniemy na jego trop. Potrzebujemy jego, nie pana. A tylko poprzez pana możemy do niego dotrzeć. Nie będziemy przebieierać w środkach. Jeżeli nie chce pan źle skończyć, to niech pan mówi. Kiedy spotkał go pan po raz pierwszy?

Zaczerpnął głęboki oddech, jak pływak przed skokiem do wody. Decyzja była trudna, ale już się z nią pogodził.

- To było ze dwa tygodnie temu. Pewnego wieczoru miałem dziwny telefon. Mężczyzna mówiący z obcym akcentem oznajmił, że zaraz przyjdzie do mnie do domu w ważnej sprawie. I przyszedł. Od razu zauważyłem, jak bardzo jest do mnie podobny. Powiedział, że jest moim bratem. Zdziwiło mnie to. Ale on twierdził, że moi rodzice mieli jeszcze jednego syna, to znaczy jego, który wyjechał za granicę, tam wychowali go inni ludzie, dlatego źle zna język. Historia była niejasna, ale moi rodzice dawno umarli, nie mogłem więc tego sprawdzić. W każdym razie wielkie podobieństwo zdawało się to potwierdzać. Poprosił o nocleg, a także o to, by poza moją żoną nikomu na razie nie mówić, że jest u nas. Powiedział, że jest wynalazcą i pracuje nad sensacyjnym urządzeniem, którego jeszcze nie skończył. Potrzebuje spokoju. Mówił też, że ktoś chce wykraść jego wynalazek, że ścigają go agenci, którzy przed niczym się nie cofną, żeby tylko zdobyć opis lub pierwszy egzemplarz urządzenia, które niebawem będzie gotowe.

Przy „zdecydowanych na wszystko agentach” głos mu się załamał. Odwrócił głowę. Sądze, że dopiero teraz pojął znaczenie tak często powtarzanego i słyszanego wyrażenia. W jego mniemaniu słowa Kilyosa teraz znalazły potwierdzenie: no proszę, okrutni agenci naprawdę istnieją, napadli na niego... Spośród nas jedynie Baraxa można by nazwać zdecydowanym na wszystko, lecz jego odwaga była całkiem innej natury... Jednocześnie dobrze wiedziałem, o jakim wynalazku mówił Kilyos. Chodziło o aparat do przenoszenia woli - Voltrans. A więc mamy już jeden punkt zaczepienia: w ciągu pierwszych sześciu tygodni ukrywania się Kilyos nie zdołał zmontować urządzenia. Czyżby nastąpiło to dopiero tutaj, w Boliwarii?

- Niech pan mówi dalej.

Przyjąłem go. Żona go polubiła. I... no tak ja też go polubiłem. W pierwszych dniach był skromny i zgodny. Mieszkał w pokoju na strychu, nigdzie nie chodził. Czasami prosił mnie, żeby mu przynieść jakiś katalog z częściami elektronicznymi, zaznaczał tam różne elementy i drobne przyrządy i prosił, żeby je kupić. Zawsze za wszystko płacił. Miał dużo pieniędzy. W międzyczasie ja przygotowywałem grunt dla mojej kariery politycznej.

- A kiedy zaczął z panem rozmawiać o polityce?

- Gdy tylko skończył pracę nad tym urządzeniem.

Skinałem głową, wargi miałem spierzchnięte. No oczywiście, tego się należało spodziewać. Bez Voltransa Kilyos byłby w tym kraju nikim, ukrywającym się, drżącym z przerażenia człowiekiem. Ale teraz!...

- Słyszałem, że wysłano policjantów, żeby pana aresztować. Już wcześniej zajmował się pan polityką?

- Tak. Choć wiele osób uważało mnie tylko za cukiernika, działałem już od dawna. Nie powiem,

przygotowanie gruntu pochłoneło dużo pieniędzy... Ale pozyskałem znaczących zwolenników. Teraz jednak sądzę, że bez niego niczego bym nie osiągnął.

- Czy nie czuł pan czegoś szczególnego, kiedy namawiał pana na ten dziwny i śmiały krok?

- Skąd pan wie? - zdziwił się. - Rozmawialiśmy w pokoju na strychu, on grzebał przy maszynie. Przez chwilę poczułem nudności, takie jak w windzie, kiedy zbyt szybko rusza się w dół, zna pan to uczucie, prawda? A później nagle wszystko zaczęło mi się wydawać proste i łatwe. Nie widziałem przed sobą przeszkód. Wszystko to, co mówił, wydawało się możliwe, a nawet po prostu sam tego chciałem... Faktycznie, dlaczego nie mógłbym być prezydentem tego kraju od razu, teraz, skoro planuję to już od tylu lat? Nie chciałem być cukiernikiem, ojciec mnie do tego zmusił. Zawsze interesowała mnie polityka. Wiedziałem, że muszę jedynie wykonać pierwszy krok i mogę znaleźć się wysoko, bardzo wysoko!

Patrzyłem na jego twarz. Był podniecony. Dopiero po chwili przyszedł do siebie, rozejrzał się po piwnicy. Kurczowo chwycił brzeg łóżka.

- Gdybym wiedział, że znajdzie się tutaj...

- Polityka to śliska sprawa, señor Ramirez. Mamy jednak mało czasu, skróćmy więc tę opowieść. Czy on też pomagał czasem namówić niektóre osoby, by stanęły po pana stronie?

- Tak się zdarzało, zwłaszcza w ostatnich dniach przed przejściem władzy. Zawsze był w sąsiednim pokoju, razem ze swoją maszyną.

Wszystko było jasne. Urządzenie do przenoszenia woli działało bez zarzutu i stosując je, Kilyos popełnił przestępstwo złamania czasu. Co można osiągnąć za pomocą takiego aparatu nie trzeba było mi tłumaczyć. Nawet w epokach i społeczeństwach o znacznie bardziej rozwiniętym poczuciu etyki trafiało się sporo osób, które przynajmniej próbowały w ten sposób narzucić swą wolę innym...

- Tak więc szybko doszedł pan do przekonania, że za pomocą swojego sobowtóra potrafi pan rozwiązać wszystkie problemy Boliwarii.

- Więcej! Mógłbym na nowo stworzyć, przekształcić cały świat! - krzyknął. Po chwili ciągnął dalej. - Zanim owego pamiętnego dnia wyruszyliśmy do parlamentu, udowodnił do czego jest zdolny. Oświadczył, że odtagę za swoją maszyną będzie mi służył. W zamian za to, jako przyszły dyktator miałem zapewnić mu ochronę. Zawsze, w każdej sytuacji... To on zaproponował, by za pomocą maszyny namówić posłów, by mnie wybrali. A potem, by zwołać szefów ościennych państw, których w czasie wizyty napromieniuje tak, że podpiszą wszystko, co im podsunie. W ten sposób moglibyśmy jednoczyć coraz większą liczbę krajów, rzecz jasna, pod moim przywództwem...

- Naiwny pomysł.

- Na początku i ja tak sądziłem. Ale on mnie uspokoił, że od czasu do czasu i my możemy złożyć wizytę w innych krajach i przekonać choćby milionowe zgromadzenie ludności, by przyjęło nasze żądania...

A więc Kilyos planował już zbudowanie urzędnictwa o większym zasięgu.

- Tak więc wprowadził się pan razem z rodziną do Pałacu Prezydenckiego. Tam ukrycie go było już trudniejsze.

- Trudniejsze, ale nie niemożliwe.

- Gdzie on jest teraz? - zadałem najważniejsze pytanie.

- Nie wiem - potrząsnął głową - wczoraj rano, kiedy opuszczałem miasto, był w letnim pałacu.

- Tam też namówiliście prezydenta Verruzę na zjednoczenie obu krajów... - wstałem i podszedłem do drzwi. - O pańskim losie zadecydujemy później, panie Ramirez - i wyszedłem.

★

Tym razem uzyskanie połączenia przez chronotelefon było bardzo trudne. Aparat trzeszczał - skomunikowanie się przez eter i przez stulecia było prawie niemożliwe. Jednakże w końcu udało się.

- Medina...

- Witam szefie.

- Co nowego?

Opowiedziałem mu wszystko, rzecz jasna, w skrócie. Szef milczał. Wiedział, że nie może mi nic poradzic, co najwyżej jest w stanie udzielić mi informacji.

- Roy, ma pan jeszcze parę godzin. Później w mieście rozpoczną się walki. Tylko w jeden sposób

może pan wpaść na trop Kilyosa... Niech pan szuka Voltransa!... – na linii coś zgrzytało i trzeszczało. Nie rozumiałem dokładnie wszystkich słów. Domyślałem się jednak, co sugeruje. Gdy ponownie usłyszałem wyraźnie jego głos, z pewnym zdziwieniem podchwyciłem imię Flory.

– ... zarząd zaakceptował związek z tą kobietą.

– Dziękuję – wysapałem. Na sekundę zapomniałem nawet o Kilyosie. Co im się stało? Czy to szef ich namówił, żeby wydali takie pozwolenie? Coś takiego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. Policja czasowa nie zezwalała na takie związki. Co prawda i tak musiałbym zameldować o całej sprawie, komisja badająca przebieg misji dowiedziałyby się wszystkiego przez Baraxa. Ale to, co powiedział szef, było zdumiewające. A może nawet mógłbym zabrać Florę ze sobą w trzydziesty pierwszy wiek?...

Połączenie przerwało się.

★

Barax również słyszał rozmowę. Inaczej nie dało się jej przeprowadzić – jedynie przez niego. Zgodnie ze swym zwyczajem nie zareagował. Oświadczył jedynie, że w czasie gdy ja rozmawiałem, Flora wyjechała samochodem do miasta.

– Czy Kilyos jest jeszcze w mieście? – zapytał później. Wiedział, że teraz to jest najważniejsze.

– Być może. Z powodu walk trudno się teraz stąd wydostać.

Zastanawialiśmy się, co robić. W ciągu kilku sekund racjonalnie myślący mózg Baraxa przeanalizował setki możliwych kombinacji. Po chwili odezwał się.

– Tak jak powiedział szef, Kilyos zabrał ze sobą aparat. Możliwe, że był zmuszony go użyć.

– Rozumiem, nie musisz kończyć – pospieszyłem wszedłem do willi. Usłyszałem, że Lorenzo i stary kamerdyner słuchają w kuchni radia: jakiś męski głos donosił właśnie, że partyzanckie oddziały Frontu zbliżają się do miasta... Zamknąłem drzwi i usiadłem przy telefonie.

W książce telefonicznej było mnóstwo numerów Pałacu Prezydenckiego. Wydział protokołów, sekretariat, służba bezpieczeństwa i przynajmniej dwadzieścia innych wydziałów. Rzecz jasna, domyślałem się, że – na ile znam dwudziesty wiek – naprawdę ważne numery są utajnione i nie ma ich w książce.

Sądziłem, że najlepiej poinformowani ludzie są w służbie bezpieczeństwa i z pewnością są wypróbowanymi zwolennikami Negadesa. Tak więc zadzwoniłem właśnie tam. Odezwał się męski głos.

– Służba.

– Chcę rozmawiać z prezydentem – zacząłem ze znamieną dla mnie bezpośredniością. Jednakże tamten musiał mnie chyba uważać za zwykłego wariata, bo odłożył słuchawkę. Znowu wykręciłem numer.

– Służba.

– Jestem Roy Medina i nie radzę panu ponownie odkładać słuchawki – powiedziałem całkiem innym tonem. – Nie dzwonię do pułkownika dla przyjemności, ale mam mu do przekazania wiadomości wielkiej wagi.

– Nigdy nie słyszałem pańskiego nazwiska... señor – odpowiedział facet po drugiej stronie linii. Jednakże w jego głosie wyczuwałem już pewien szacunek, który przyjąłem z zadowoleniem.

Musiałem czekać kilka minut, w słuchawce rozbrzmiewał jedynie szum wynikający z prymitywizmu techniki w tej epoce. Później zgłosił się jakiś inny mężczyzna.

– Señor Medina?

– Tak. Muszę zamienić z prezydentem parę słów w nadzwyczaj ważnej sprawie.

– Nie sądzę, żeby to była najodpowiedniejsza pora...

– Na to nigdy nie będzie odpowiedniejszej chwili, hombre. Niech pan powie Negadesowi, że Medina jest na linii i chce powiedzieć coś ważnego o cukierniku...

Sekretarz podejrzewał zapewne, że słowo to jest jakimś tajnym hasłem i po minucie połączono mnie wreszcie bezpośrednio z prezydentem. Rozległ się dobrze znany głos.

– Negades.

– Witam, pułkowniku. Przepraszam, zapomniałem, że już został pan prezydentem.

– Señor Medina, powiedziałem panu uprzednio, żeby pan do mnie nie dzwonił.

– Sądzi pan, że w obecnej sytuacji dopuszczono by mnie osobiście do pana? Mój cudzoziemski akcent jest zbyt podejrzany i nie mam dokumentów... Ale zostawmy to.

- Chciał pan mówić o cukierniku.
- Tak, pułkownik. Niestety chybiliśmy.
- Co pan przez to rozumie? - w jego głosie wyczułem zaniepokojenie.
- Że to nie ten człowiek, rozumie pan? Wczoraj rano wysłał na prowincję swojego sobowtóra. Człowiek, którego porwaliśmy z konwoju, to nie był on.
- Przez chwilę panowała cisza, słyszałem jedynie oddech Negadesa.
- Żyje? - zapytał później.
- Oczywiście, nic mu się nie stało. I jestem pewien, że to nie jest nasz człowiek. W przeciwnym wypadku nie trwonilibym swojego cennego czasu, żeby do pana dzwonić, może mi pan wierzyć. Mam dość własnych kłopotów z tego powodu.
- Ale w takim razie gdzie jest... on? - zapytał głucho.
- Cukiernik nie może się na razie pokazywać publicznie. Powody tego są zupełnie oczywiste. Ukrył się w mieście i czeka na odpowiedni moment. Moim zdaniem jest w mieście, co więcej - prawdopodobnie w letnim pałacu. Niech się pan dowie, czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie wydarzyło się tam coś niezwykłego. Czy nie zniknęli strażnicy, czy nikt nie zemdlął? Czy ktoś z personelu nie poczuł się niedobrze? Niech się pan nie dziwi moim pytaniami, pułkowniku. Wiem, jakie objawy wskazują na jego obecność.
- Zanim się tego dowiem, upłynie trochę czasu. Domyśla się pan chyba, że mam też inne sprawy na głowie...
- Niech się pan spieszy, to leży teraz także w pańskim interesie. Czas definitywnie zakończyć tę sprawę.
- Podam panu numer, niech pan pod niego zadzwoni za dwie godziny.

★

- Lorenzo odstawił filiżankę. Spojrzał na mnie - w jego czarnych oczach błyszczał entuzjazm.
- Wszystkie zagraniczne rozgłośnie twierdzą, że nasi prą do przodu! Wokół miasta zaciska się pierścien Frontu.
 - A co mówi państwowe radio Negadesa?
 - Niemal nie wspomina o partyzantach. Obrzuca obelgami oddziały generała Castellano, nazywa je „podłymi buntownikami” i twierdzi, że generał sprzymierzył się z „warcholstwem”. Próbuje w ten sposób wrogo nastawić do generała inne jednostki armii i wahających się oficerów.
 - A ludność?
 - Czekaj. Słuchaj, Roy, u nas ludzie przeżyli już wiele takich puczów. Nie są skorzy do wyrażania swoich opinii, nauczyli się, że lepiej być ostrożnym.
 - Ale czas ucieka - powiedziałem ze zdenerwowaniem. Lorenzo nie wiedział, co mam na myśli. Na jego opalonej twarzy nie było śladu troski, uśmiechał się.
 - Po co się mamy spieszyć?... Za parę dni Castellano i Negades rzucają się na siebie. Kiedy obaj będą już osłabieni, dowództwo Frontu da znak. Miejscy partyzanci połączą się z naszymi górskimi oddziałami i w ciągu pół dnia miasto będzie nasze.
 - A co robicie na prowincji?
 - Kilka okręgów jest w naszych rękach. Gdy tylko zajmiemy centralne stacje radiowe i telewizyjne w Boliwar, sprawa na prowincji będzie wygrana.
 - Co zrobimy z Ramirezem? - zapytał Lorenzo w przerwie między dwoma łykami wody. Wzruszyłem ramionami w geście niezdecydowania i wyszedłem do ogrodu, gdzie był Barax.
 - Kilyos nie mógł chyba uciec - odezwał się.
 - Ukrywa się gdzieś. Miasto pełne jest żołnierzy, donosicieli na służbie Negadesa i nadgorliwych urzędników, którzy właśnie dorwali się do władzy. Gdyby teraz wyszedł na ulice, zaraz by go schwytali: pomysłeliby, że to Ramirez, który uciekł zamachowcom.
 - Żeby mu tylko nie przyszło to do głowy, bo będziemy musieli wszystko zaczynać od początku.
 - Patrzyłem na korony drzew, na małe niebieskie kwiaty krzewów. Prażyło słońce. Zastanawiałem się, gdzie teraz może być Flora?...
 - Baraxowi przyszedł do głowy pomysł.

- Tak naprawdę Kilyos nie może znać przyszłości! Wie tylko to, co jest napisane w książkach historycznych. Z takiej perspektywy nie może dociec szczegółów. Przez ponad tysiąc lat dokumenty ocaliły dla potomnych jedynie kilka najważniejszych wydarzeń. Jednakże Kilyos z pewnością wie, co nastąpiło po puczu, która z trzech walczących sił objęła władzę i jaki był los prezydenta Ramireza!

- Ale nie może się domyślać, jaki będzie jego własny los! - wesoło klepnięt Baraxa po ramieniu. - Wszystko, co przeczytał o Ramirezie w dawnych pracach historycznych, odnosi się do byłego cukiernika, a nie do jego niewidzialnego cienia Lippa Kilyosa! Tak więc i on, podobnie jak my, stoi bezradny w obliczu przyszłości. Nie może wiedzieć, jak dla niego zakończy się ta powikłana sprawa... Przecież w kronikach nie mógł natrafić na ślad własnego tutaj pobytu.

Barax był zadowolony. Kilkakrotnie już zauważyłem, że bardzo dobrze się czuje, jeżeli wspólnie uda nam się przeprowadzić jakiś wywód.

- Wyjawszy jedną ewentualność: jeżeli sam nie kieruje całym rozwojem wydarzeń - ostudziłem jego zapał. - Bo możliwe, że znając najbliższą przyszłość właśnie na tym oparł swój plan. Wiedział, że GALPOL pośle za nim w przeszłość swoich ludzi, właśnie dlatego się ukrywa. Właśnie dlatego wydał przez Ramireza rozkaz, żeby agenci obserwowali dawne mieszkanie cukiernika. Wiedział, że pójdziemy tam, bo musimy rozwiązać zagadkę pod tytułem „Ramirez-Kilyos: podobieństwo czy tożsamość?” Miał nadzieję, że tam się z nami rozprawią...

- ... i z pewnością zastawił też wiele innych pułapek. Ale skoro wiedział o zamachu, to dlaczego puścił Ramireza na objazd prowincji? - zapytał Barax.

- Bieżące interesy polityczne wymagały, aby nowy prezydent objechał kraj. Taki jest zwyczaj. Nie możemy też zapominać o tym, że być może w tych dniach Kilyos nie chce jeszcze zmieniać rzeczywistego przebiegu historii... - zamyśliłem się. Sprawa ta nadal mnie niepokoiła. Bo co będzie, jeżeli...

- ...Jeżeli okaże się, że Kilyos dobrze wiedział, że porwiemy Ramireza? - szybko powiedział Barax. On też o tym pomyślał.

- Wtedy nasza sytuacja będzie żałosna - powiedziałem ze złością. - Oznaczałoby to, że w gruncie rzeczy... realizowaliśmy i realizujemy jego plany.

- Kilyos za wszelką cenę chce to wszystko przeżyć. - Barax oceniał sytuację trzeźwo. Prawda, to był jedyny pewny punkt, na którym mogliśmy się oprzeć. - Zabicie ciebie nie jest jego celem, Roy. Wie przecież, że GALPOL może tu przysłać po niego tyłu zwiadowców, ilu tylko zapragnie. Moim zdaniem musimy się liczyć z jeszcze jedną możliwością: że na tym etapie rozwoju wydarzeń jedynym celem Kilyosa jest zmylenie nas. Tak długo będzie plątał nici, aż wreszcie zmuszeni będziemy do poddania się, opuścimy to przekleste stulecie, wrócimy w przyszłość i zameldujemy, żeśmy go nie odnaleźli.

- Na próżno się ludzi.

- Ja też tak sądzę. Ale cały czas mam takie uczucie, że sprawę z Ramirezem rozpoczął jedynie po to, żeby nas sprowadzić na fałszywy trop. Wyrzedza nas stale o jeden krok i na końcu wymknie się z potrzasku.

Zwróciłem uwagę, jak dziwnie brzmiało w ustach Baraxa wyrażenie „mam takie uczucie”... Zacząłem mówić jednak o czymś innym.

- Dopóki miał przy sobie Ramireza, otrzymywał na bieżąco informacje o wszystkich ważnych wydarzeniach. Także o tych, które dotyczyły jego samego. Natomiast teraz sam zmienił się w ściganego, a jego służba informacyjna przestała istnieć. Może nawet nie wie dokładnie, co się dzieje w mieście. To go może dezorientować, zrobi fałszywy krok...

- Czy możemy to wykorzystać?

- To się okaże.

Po chwili wahania Barax zapytał.

- Roy, co będzie z Ramirezem?

- Umrze. Jutro - odpowiedziałem. Tak właśnie było napisane w książce historycznej. Nie możemy zmienić tego co ma być.

- A... jak? - ponownie zapytał Barax.

- Dokładnie nie wiem. Pisane źródła podają o tym fakcie jedynie tyle, że został zastrzelony gdzieś w mieście. Nie wiem dokładnie, gdzie. Znajdą jego zwłoki... To już nie nasza sprawa.

★

W umówionym terminie na próżno dzwoniłem do Negadesa. Odebrał jego sekretarz, który oświadczył, że prezydent wyjechał poza miasto na przegląd wojsk i dotychczas jeszcze nie powrócił. Pełnym szacunku głosem poradził mi, bym zadzwonił jeszcze raz pod wieczór.

Dopiero późnym wieczorem udało mi się skomunikować z Negadesem. Zmęczonym głosem zakomunikował mi, że rozpoczął śledztwo we wskazanym przeze mnie kierunku, lecz na razie nie ma rezultatu. Dał mi do zrozumienia, że chwilowo, w obecnej sytuacji ma kilka ważniejszych spraw na głowie... Wtedy przywołałem do telefonu Baraxa i za jego pomocą odtworzyłem do słuchawki kilka zdań nagranych na dźwiękowy kryształ. Potem znowu wzięłem słuchawkę.

– Dobrze pan słyszał, drogi kolego, to pański głos. W kościele Nuestra Senora. Nagrałem całą rozmowę, kiedy informowałem mnie pan, dokąd wyjedzie prezydent Ramirez i gdzie można wykonać na niego zamach. Jak pan sądzi, ile za to nagranie dałby generał Castellano albo przywódca Frontu? Albo zagraniczne rozgłośnie?

– Nedzniku!... – zaszczał ze wściekłym i bezradnym gniewem, niczym wąż, który znalazł się pod obcasem. – Chce mnie pan szantażować?

– Spokojnie, kolego. Jeżeli to nagranie dostanie się w ręce pańskich politycznych przeciwników, ci bez wahania przekażą je do publicznej wiadomości. To będzie dowód, że to pan wydał prezydenta Ramireza w ręce zagranicznych agentów.

Wtedy przyszło mi coś do głowy. Pomyśl ten poruszył mnie: przecież mam w ręku więcej atutów. Ramireza także mogę wykorzystać przeciw Negadesowi. Przecież tylko ja wiem, że tak czy siak jutro umrze...

– No i niech pan nie zapomina o tym, że mam w ręku sobowtóra Ramireza. Jest cały i zdrowy, w każdej chwili mogę go wypuścić lub posłać do generała Castellano. Jest bardzo podobny do cukiernika i tylko my dwaj wiemy, że to nie ta sama osoba. Pan i ja. Dlatego nie radzę panu wykonywać żadnych kroków przeciwko mnie.

Milczał. Jednakże niemal czułem buchającą z telefonu nienawiść. Ciągnąłem dalej.

– Niech pan zdobędzie potrzebne informacje – reszta to już moja sprawa. Znajdę i wywiozę prawdziwego Ramireza. Zniknę z tego kraju i więcej pan o mnie nie usłyszy.

Odpowiedział po krótkim milczeniu.

– Teraz i tak jest godzina policyjna, a więc nigdzie nie może pan pójść, Medina. Niech pan do mnie zadzwoni rano o piątej, do tej pory zdobędzie informacje.

Zadowolony odłożyłem słuchawkę. A jednak pomimo to, że przybyłem z przyszłości, nie znałem, nie mogłem znać swej przyszłości osobistej. Nie wiedziałem co się ze mną stanie w najbliższych godzinach. Nie domyślałem się, co planuje przeciwko mnie nowy prezydent Boliwarii, pułkownik Negades. Lecz nawet jeżeli się stanie rzecz najgorsza i tu zakończy swą biologiczną egzystencję – nie będzie to złamaniem czasu. Jestem nikiem... Dla współczesnych mi ludzi – jedynie inspektorem trzeciej kategorii przebywającym na służbie. Jeżeli zginę w czasie operacji, posła zamiast mnie kogoś innego.

Zaś dla żyjących tutaj nie znacze nawet tyle. Nie jestem niczym więcej niż zagranicznym włóczęgą nieznanego pochodzenia, którego wrzuci się jedynie do nieoznakowanego dołu i koniec. Nikt mnie nie będzie opłakiwał.

Nikt? Może tylko Flora.

Rozdział 8

Barax obudził mnie za piętnaście piąta. Lorenzo i Ramirez spali. Zmarszczki na twarzy byłego prezydenta wygładziły się. Spał jak dziecko.

– Ze wschodu słychać huk broni – zakomunikował Barax. Oczywiście ja, choćbym nie wiem jak nadsluchiwał, niczego nie słyszałem.

– Odległość od źródła hałasu wynosi około trzydziestu pięciu kilometrów – ciągnął. Dla niego było to naturalne, że odbierał dźwięki, których na przykład ja nigdy bym nie usłyszał. Wrażliwość jego czujników znacznie przewyższała drażliwość ludzkich zmysłów.

- Jada czołgi. Po asfaltowej drodze. Wyczuwam też pięć czy sześć helikopterów – dodał i jako że uznał te hałasy za niegroźne dla nas, zaczął mówić o czymś innym.
- Jakież masz plany, Roy?
- To zależy. Jeżeli Negades natrafi na jego ślad, pójdę w wyznaczone miejsce.
- Sam?
- Ty musisz pilnować Ramireza. Dopóki cukiernik jest w naszych rękach, Negades będzie robić to, co mu każe.
- Nie bądź tego taki pewny.

★

Zadzwońnię dokładnie o piątej. Ponad krzewami w ogrodzie powoli rozlewał się słoneczny blask. Żywe złoto spływało po koronach wyższych drzew. Łagodny wietrzyk kotłował kwiatami i gałęziami krzewów rosnących na skraju przystrzyżonego trawnika. Miałem nadzieję, że Florze nie stało się nic złego.

- Tu Medina.
- Dzień dobry panu – grzecznie odpowiedział sekretarz. – Pan prezydent zostawił dla pana wiadomość.
- Słucham.
- Wczoraj patrol dwukrotnie chciał przeczesać najwyższe piętro pałacu letniego. W obu wypadkach żonierze wrócili nie wykonawszy zadania. Jeden z nich wyznał swoim kolegom, że w chwili gdy zbliżał się do najwyższego piętra, ogarnęły go mdłości. Podoficer prowadzący patrol wydał rozkaz odwrotu, czego później w żaden sposób nie umiał uzasadnić. Na rozkaz prezydenta straż pałacowa przerwała wszelkie akcje, ale została podwojona. Pan prezydent powiedział, że może pan wejść do środka. Wydał już rozkaz, żeby pana wpuszczono. Prosi tylko, żeby dla uniknięcia sensacji przyszedł pan sam.
- Rozumiem. W porządku, będę za pół godziny.

★

Ulice miasta były niemal puste. Gdzieś tam stali żołnierze, na skrzyżowaniach dostrzegłem czołgi i opancerzone samochody. Jednakże nikt mnie nie zatrzymał. Pomimo szybko zbliżającego się dnia także na chodnikach niewiele było przechodniów. Bolívar wyglądało na niemal wymarłe miasto.

Śnieżnobiały, naszpikowany wieżyczkami i lukowatymi oknami pałac letni nie był potężną twierdzą i nawet nie starał się sprawiać takiego wrażenia. Stanowił wesołą plamę pośrodku ciemnozielonego parku pełnego kwiatów. Żelazne ogrodzenie biegło wzdłuż skrecającej łukiem drogi. Na chodniku stali żołnierze. Przezornie zaparkowałem z dala od bramy i pewnym krokiem ruszyłem w stronę wejścia.

- Jestem Roy Medina. Dowódca straży oczekuje mnie – oświadczyłem. Po ich zachowaniu od razu zorientowałem się, że sekretarz prezydenta nie kłamał. Mojego przybycia rzeczywiście oczekiwano.
- Naprzeciw mnie wyszedł młody oficer o śniadej cerze. Podał mi rękę.
- Jestem porucznik Reyes – powiedział. – Otrzymałem rozkaz, by udostępnić panu najwyższe piętro pałacu.

- Co się stało z patrolem?
- Z niejasnych powodów zaniechali swoich planów i nie dotarli na najwyższy poziom – widać było, że Reyes uważa tę sprawę za dziwną.

Na zewnątrz przed bramę zajechał czarny samochód, Reyes przeprosił mnie i wyszedł. Wrócił po minucie, lecz wiedziałem, że coś się stało. Nie patrzył mi w oczy, a jego zachowanie jakby się zmieniło. Starał się jednak to ukryć.

- Czy coś się stało? – zapytałem. Pomyślałem o tym, w jak niezrecznej sytuacji muszą się znajdować podobni mu oficerowie wojska. W ciągu ostatnich dwóch dni kraj zyskał nowego prezydenta, lecz nikt nie wiedział co się stało z poprzednim, to jest Ramirezem. Ludzie w rodzaju Reyesa wiernie służą prezydentowi – każdemu aktualnemu prezydentowi – któremu przysięgali.

- Nie, nic – zaprzeczył zmieszany i znowu odwrócił głowę.
- W każdym razie proszę nadal pilnować pałacu i nie wypuszczać nikogo, dopóki się nie zgłoszę – powiedziałem. Za plecami, po stronie drzwi usłyszałem cichy szmer. Zanim zdążyłem się odwrócić, czaszkę przeszły mi ostry ból i straciłem przytomność...

★

... Gdy przyszedłem do siebie, zauważyłem dwie rzeczy. Pierwszą był trwający wciąż ból głowy, otrzymałem chyba solidny cios od tyłu. Drugim spostrzeżeniem było to, że leże. Przed otwarciem oczu przez chwilę nasłuchiwałem. Wokół mnie panowała cisza. Najpierw starałem się niepostrzeżenie zacerpnąć kilka głębszych oddechów. Ciekawiło mnie, gdzie jestem, lecz nie spieszyłem się. Powoli, ostrożnie otworzyłem oczy.

Leżałem w małym pomieszczeniu o białych ścianach. Ściany były blisko, podejrzanie blisko... Sufit też nie był wysoko, gdybym wstał mógłbym dosięgnąć go ręką. Na myśl o tym podniosłem się. Siedziałem na drewnianym łóżku z desek. Nie miałem wątpliwości, była to prycza w wieziennej celi. Dotychczas jedno jak i drugie znane mi było jedynie z lektury. Pomimo to jednak nie popadłem w rozpacz – głównie dlatego, że głowa wciąż jeszcze potwornie mnie bolała i nie byłem w stanie myśleć. W celi znajdowałem się sam. Pod sufitem jaśniało małe okienko. Na zewnątrz świeciło chyba słońce. A może było to sztuczne światło? Nie wiedziałem. Na ścianie naprzeciw dostrzegłem czarne drzwi. Wyglądały, jakby zrobione z metalu.

Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak podle. Świat przed moimi oczami rozmywał się, miałem zawroty głowy. Z ulgą położyłem się na pryczy i ponownie straciłem przytomność.

★

Przyszedłem do siebie w chwili, gdy do celi weszło kilku mężczyzn. Chciałem wstać, lecz jeden z nich brutalnie popchnął mnie z powrotem na legowisko. Nie widziałem dokładnie ich twarzy – wciąż jeszcze ogarniała mnie fale złego samopoczucia.

No, ptaszku! – zaczął jeden ochryplym, gardlowym głosem. – Szef chce usłyszeć odpowiedź na dwa pytania.

Język poruszał mi się z trudnością. Mózg też – ledwo mogłem zebrać myśli. Jednakże tamci nie zostawili mi na to czasu.

– Gdzie jest cukiernik? – huknął na mnie właściciel ochryplego głosu. – I gdzie ukryłeś taśmę z nagraniem?

A wiec... to ludzie Negadesa. Pułkownik-prezydent chciał dostać kompromitujące go nagranie. I Ramirez...

Jak przez mgłę ujrzałem, że jeden z mężczyzn trzyma w ręku dziwne narzędzie. Przypuszczałem, że to strzykawka.

– Nic... nie... powiem – wymamrotałem. Nie uświadamiałem sobie grożącego mi niebezpieczeństwa.

– Będziesz mówił – zapewnił mnie tamten spokojnie. – Twoje szczęście, że nie mamy czasu, żeby połamać ci kości. Wybraliśmy szybszą metodę... – Poczułem ukłucie. W głowie zaczęło mi szumieć, ale wiedziałem, że nie jest to efekt bólu. Nagle poczułem się bardzo lekko i nic już nie czułem. Wesoło leciałem oswojony ze światła obowiązków, ze światła leków, ze światła przeklętej grawitacji.

– Mów! – przynaglił głos. – Gdzie jest cukiernik? Gdzie schowałeś taśmę?

I mówiłem. Powiedziałem, że w dzielnicy Juventud. Powiedziałem, że na ulicy Algeciras. Nie zataiłem nawet, że taśmę ma mój przyjaciel Barax, który także czeka na mnie na ulicy Algeciras... Równocześnie głupawo się podśmiewałem, a nawet chichotałem. Tamci szybko wyszli – lecz ja nawet tego nie zauważyłem, tylko leciałem w bezprzytomnym, głupawym półśnie.

★

Kiedy znowu odzyskałem przytomność, był już wieczór. Czworokąt małego okienka czerniał w białej ścianie. Wisząca u sufitu prymitywna, nieosłonięta żarówka rozsiewała żółty blask.

Głowa mnie bolała. Nie czułem w ogóle nic. Ciało wydawało mi się puste, nie słyszałem nawet bicia serca. Kosztem pewnego wysiłku przypominałem sobie, co się wcześniej stało. Byłem wściekły i wstydziłem się, że zdradziłem Baraxa. Wpadłem jak dziecko, jak żółtodziób. Nie ulegało wątpliwości, że za tym wszystkim stał Negades. Tylko on wiedział o nagraniu, tylko w jego interesie leżało zniszczenie taśmy. Podobnie tylko jemu przeszkadzał „cukiernik” – Gallego Ramirez, czy też jego sobowtór.

Co się wydarzyło w willi? I gdzie jest Barax?

Przypomniało mi się, jak serdecznie przyjął mnie podporucznik Reyes w letnim pałacu. Jednakże w

minute później ktoś przyjechał i zachowanie oficera natychmiast się zmieniło. Na pewno otrzymał nowy rozkaz prezydenta Negadesa, który dotyczył mnie... Chodziłem tam i z powrotem po celi, coraz bardziej wściekając się na siebie i na cały świat, na dwudziesty wiek. Wpadłem w paskudną pułapkę!...

Obserwowano mnie zapewne przez ukryte kamery – podobnie jak w przypadku mojego pierwszego przebudzenia – drzwi niebawem się otworzyły. Weszło kilku umundurowanych mężczyzn. Nie byli to policjanci, wyglądali raczej na żołnierzy. Dwaj z nich skuli mi z tyłu ręce kajdankami, zaś trzeci stanął w progu celi, wyjął niedużą kartkę i surowo na mnie spoglądając odczytał:

– Boliwaryjski specjalny sąd wojskowy skazuje zagranicznego szpiega i wrogiego agenta Roya Medine na karę śmierci za zamach dokonany przeciwko byłemu prezydentowi Ramirezowi. Wyrok zostanie wykonany natychmiast.

★

Nogi się pode mną ugięły. Śmierć?... Nagle zdałem sobie sprawę, że przecież jestem w przeszłości. Śmierć jest jedną z dawnych form kary. Rzecz jasna, w naszych czasach nie istnieje już od dawna, ale tu i teraz... Oni mnie naprawdę gotowi są zabić. Nie będą widzieli w tym nic niezwykłego, dla nich jest to naturalne. Rutynowa robota. Ale ja... ja mam tylko jedno życie. Jestem tak samo śmiertelny. Jedynie Barax jest wieczny.

Barax!

Nie wiedziałem, gdzie znajduje się budynek, w którym jestem zamknięty. Może poza miastem?... Jak daleko może być Barax? Pewne jest, że drogą telepatyczną nie mogę go zawiadomić. Gdyby odbierał moje fale, już dawno by mnie oswobodził. Tak – Barax musi być gdzieś daleko. Muszę pokonać tę odległość, szybko.

Językiem wymacałem dolną ósemkę po prawej stronie. Ostatni, szeroki ząb. Język natrafił na drobny przycisk. Ileż to razy ćwiczyłem, jak zdejmować z niego pokrywke. Udało się. Jest przycisk sygnalizacyjny. Kod... jak brzmi kod? Ale nie chodzi przecież teraz o zwykłą sygnalizację położenia. Przy pomocy miniaturowego, lecz mającego duży zasięg radionadajnika, jaki swego czasu wmotowano w GALPOL-u w ząb każdego inspektora, muszę nadać najpilniejszy sygnał SOS. Trzy długie, trzy krótkie, trzy długie – nieprzerwanie płynie automatyczna sygnalizacja.

★

Droga wiodła przez pusty korytarz, twardy tupot kroków odbijał się od szarych ścian. Czulem, jak idący za mną żołnierze obserwują moje plecy. Zeszliśmy schodami w dół. Przed nami otworzył się następny korytarz. Żołnierze stojący na straży przy okratowanych drzwiach przez dłuższy czas szukali klucza, później z trudnością trafił nim do dziurki. Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, za nimi słabe, sufitowe lampy rzucały skąpy blask. To, co widziałem, przypominało scenerie przygodowych wideofilmów. Te jednakże oglądałem w domu, siedząc w wygodnym fotelu, natomiast teraz kaci-oprawcy-strażnicy-żołnierze wiedli mnie na miejsce straceń, mnie – inspektora trzeciej kategorii, Roya Medine, funkcjonariusza GOLPOL-u...

Nie wiem, ile minut to trwało. Zasięg mikronadajnika wynosił dwadzieścia pięć – trzydzieści kilometrów, teraz wszystko zależało od tego, czy Barax odebrał moje sygnały i czy zdąży na czas. Nie wiedziałem, na którym jesteśmy piętrze, pojawiały się coraz to nowe schody, okratowane bramy, długie korytarze i zimne, zamknięte drzwi.

Oficer wydał rozkaz, żebyśmy się zatrzymali. Dotarliśmy do kolejnych żelaznych drzwi. Jak się zachowam w ostatnich minutach? Dumnie, odważnie? A może?... I co się stanie z moim ciałem – zostanie tutaj tysiąc lat wcześniej, tu je pochowają, choć zgodnie z nieubłaganymi prawami czasu nie urodził się jeszcze nawet mój pra-pradziadek...

– Otworzyć! – krzyknął oficer. Dwóch żołnierzy uchyliło drzwi. Wyszliśmy na otoczone ze wszystkich stron ścianami budynku wąskie podwórko. Była noc, światła paliły się jedynie w kilku oknach. Pod ścianą czekał oddział żołnierzy. Stali nieruchomo jak posągi.

Rozejrzałem się. Barax, gdzie jesteś?... W tobie cała moja nadzieja.

Zdjęto mi kajdanki, po czym oficer podszedł do mnie. Jego smętną twarz skrywał półmrok:

– Czy ma pan jakieś życzenie? – zapytał krzykliwie.

To zapewne owo ostatnie życzenie, przypomniały mi się dawne lektury. Gorączkowo zastanawiałem

się, co wymyślić, żeby tylko zyskać na czasie. Jednakże zanim zdążyłem się odezwać, oficer odwrócił się na pięcie:

- Nie ma życzeń, a więc... Sierżant!
- Tak jest! - starszy wiekiem żołnierz wystąpił z szeregu.
- Zaprowadzić skazanego pod ścianę!

Na drżących nogach powlokłem się za żołnierzem. Jednocześnie po kolejnej krótkiej, szczekliwej komendzie oddział stojący pod ścianą poruszył się i dudniącym krokiem wyszedł na środek podwórka.

To pluton egzekucyjny, zdałem sobie sprawę.

- Proszę się odwrócić. Czy mam panu zawiązać oczy? - zapytał sierżant. Zupełnie normalnym, zwyczajnym głosem. Jakby mnie pytał, czy chce szklanke wody... Wydało mi się to tak irracjonalne, że w następnych sekundach nie mogłem się na niczym innym skoncentrować. Tamten musiał dostrzec na mojej twarzy niemy grymas sprzeciwu, bo odłożył chustkę i odwrócił się. Reflektory świeciły mi w oczy. Stałem jak na scenie w potoku światła i nikogo już nie widziałem.

Później usłyszałem jeszcze jedną komendę, po której zapadła cisza. Głęboka, przerażająca cisza. Lampiony bez mrugnięcia świeciły dalej. Świat wraz z mną pograżył się w nicości. Nie rozbrzmiewał huk broni, jeszcze nie. Nie dudniły podkute buty. Nikt się nie odzywał. Panowała cisza.

Stałem zdrtwiałym ze strachu. Teraz nastąpi koniec, teraz, teraz!... dudniła we mnie myśl. Wydawało mi się, że słyszę salwę...

Jednak było cicho. Cicho.

Później...

- Jestem tu, Roy - powiedział znajomy głos.

★

Przerażenie z wolna opadało, było niczym wycofujący się lodowaty prąd morski.

- Barax?

- Tak - odpowiedział ze zwykłym spokojem. - Stoję między żołnierzami.

Barax czekał na mnie pomiędzy leżącymi nieruchomo ciałami.

- Zrobiłeś to przy pomocy promieni? - zapytałem cicho. Serce wciąż jeszcze biło mi mocno...

- Jasne. Zdrzemną się trochę - odpowiedział. - Ale, do diabła, co się z tobą działo, Roy?

Zanim zdolałem odpowiedzieć, z okna na pierwszym piętrze rozległ się strzał. Pociśk przemknął koło mojej skroni. Było to paskudne uczucie. Instynktownie skoczyłem za Baraxą. Także za żelaznymi drzwiami pojawił się żołnierz i zwrócił w naszą stronę pistolet maszynowy.

- Pole siłowe - krzyknąłem. Barax pomyślał chyba o tym samym. Decyzje od czynu dzieliło u niego 0,005 sekundy. Zwłaszcza jeżeli włączył „trzeci stopień”. W takich wypadkach jego reakcje następowały po sobie z taką predkością, że ludzkie oko niemal nie mogło ich rozróżnić.

Wiedziałem, że Barax niechętnie stosuje pole siłowe. Ten sposób obrony pochłaniał mnóstwo jego energii. Ale tym razem i on uznał, że nie ma innej możliwości.

W chwili gdy dostrzegliśmy wytryskujące z luf płomienie, byliśmy już otoczeni polem siłowym. Jednakże kilka strzałów dosięgnęło Baraxę, zanim je włączył. Spostrzegłem, jak na jego marynarce pojawiają się brzydkie dziury.

Odpowiedział z broni promiennej - żołnierze runęli na ziemię.

- Chodźmy stąd!

Barax silnie objął mnie ramieniem. Złapałem go za rękę i... poleciliśmy. Początkowo pionowo do góry: czułem jak żołądek obsuwa mi się w dół. Jednocześnie Barax omiół przestrzeń wokół nas obzładniającym promieniem. Broń zamilkła. Zabudowania koszar pograżyły się w ciszy.

Szybko przemykaliśmy nad ulicami. Grawitacyjny silnik Baraxę bezgłośnie i swobodnie uniosł w górę ciężar naszych ciał. Widnokrąg rozszerzył się. Na ulicach świeciły girlandy lamp, bloki mieszkalne wyglądały jak ponure, czarne prostokąty.

- Co się stało w willi? - zapytałem. Barax odpowiedział po chwili wahania.

- Zabili Ramireza.

Rozdział 9

- Wylądujemy w jakimś parku.
- Bezgłośnie, miękko opadliśmy na ziemię.
- Opowiadaj Barax.

Staliśmy na trawie, pomiędzy krzakami róż i ozdobnymi krzewami. Drzewa parku dzieliły pogrążoną w półmroku okolicę na regularne kwadraty. W oddali błyszcząły światła wielkiego miasta. Nad ziemią unosił się gesty zapach kwiatów.

- ... Nie zgłaszałeś się całe przedpołudnie i domyślałem się, że coś się stało. Ale psychoczuJNIKI nic nie odbierały. Odległość między nami musiała być zbyt wielka...

Lorenza także niepokoiła twoja nieobecność. Z Ramirezem nie było żadnych kłopotów. W ten sposób upływał czas. Później nagle – po godzinie piętnastej czasu miejscowego – moje czujniki odebrały jakiś niewyraźny sygnał, ale był on zbyt słaby, żeby ustalić koordynaty...

Wtedy dali mi ten przeklęty zastrzyk, przebiegło mi przez myśl. Niedługo potem stwierdziłem, że ze wszystkich kierunków jednocześnie zbliżają się pojazdy.

- Otoczyli ulicę Algeciras – szepnąłem. – Zbiry Negadesa otrzymały posiłki. To były wojskowe pojazdy?

- Tak. Szybko się zorientowałem. Szczelnie zablokowali okolicę na wysokości drugiej czy trzeciej ulicy. Ale jeszcze nie byliśmy pewni, o co toczy się gra. Czy rzeczywiście polują na nas. Wyprowadziliśmy samochód z garażu. Lorenzo usiadł z tyłu z Ramirezem, ja prowadziłem.

- Dobrze zrobiłeś. Czekanie, aż przeprowadzą skoncentrowany atak na wille, nie byłoby rozsądne – pochwalilem go.

- Tamci ruszyli ławą jak na polowaniu z nagonką. Szybko zbliżali się przez ogrody i podwórka. Dodałem gazu i pojechaliśmy w dół ulicy Algeciras.

- Zastawili drogę?

- Oczywiście. Zaledwie ujechaliśmy sto metrów, naprzeciw nam wyjechały na asfalt dwa wojskowe łaziki, a obok nich biegło wielu umundurowanych piechurów z bronią skierowaną na nas... Natychmiast włączyłem pole siłowe.

- Dobrze zrobiłeś.

- Nie zrobiłem dobrze, ale to się okazało dopiero po paru sekundach. Tak prowadziłem samochód, żeby przejechać między łazikami. Oczywiście strzelali do nas. A nasz samochód zwolnił.

- Zwolnił?

- Tak, bo pod wpływem magnetycznego oddziaływania pola siłowego, elektryczny zapłon wyłączył się, silnik nie działał... Dostaliśmy mnóstwo kul, postrzelali samochód jak sito. Błyskawicznie musiałem podjąć decyzję: czy zostawić pole siłowe, które przynajmniej osłoni nas przed pociskami ale wtedy utknieniemy na skraju drogi i samochód zaraz się zapali, czy też je wyłączyć i próbować stamtąd czym prędzej się wydostać?... Wyłączyłem pole siłowe i ponownie włączyłem silnik. Przyspieszyłem. Lorenzo krzyczał, ale nie zwracałem na niego uwagi. Żołnierze zaczęli nas ścigać. Użyłem broni promiennej, w ten sposób zdobyliśmy pewną przewagę. Ale przedziurawili już koła samochodu. Zaś Ramirez dostał dwa strzały, jeden w głowę, zostały mu tylko minuty życia.

- A Lorenzo?

- Lekko ranili go w ramie. Kiedy samochód się zatrzymał, musiałem podjąć decyzję, bo zbliżały się nowe oddziały nieprzyjaciela – pieszo i w samochodach. Ramirez czy Lorenzo? Tylko jeden z nich mieścił się w polu siłowym. Którego więc mam zabrać ze sobą: półżywego dyktatora czy naszego przyjaciela?

Przelknąłem ślinę.

Ramirezowi i tak „była pisana śmierć” – wyszeptałem.

- Ja też tak myślałem – powiedział Barax. – Ale tak naprawdę, nie miałem czasu, żeby się zastanawiać. BioczuJNIKI wykazywały, że akcja serca u Ramirezego ustąpiła. Umarł w chwili, gdy wciągałem Lorenza pod pole siłowe. Włączyłem trzecią predkość reagowania i ruszyłem przed siebie.

Wyobraziłem sobie ten widok. Barax potrafi biegać niesamowicie szybko, jeżeli włączy trzeci stopień. Oddala się od punktu startu, jak sprinter na przyspieszonym filmie.

- Tak więc zostawiłem Ramireza. Przebiegłem przez ulicę Algeciras, a później, kiedy żołnierze zniknęli mi z oczu, zwolniłem do normalnej prędkości. Lekko oszołomiłem Lorenza, tak by nie zdawał sobie sprawy z tego w jaki sposób uciekamy. Przyszedł do siebie znacznie później. Powiedziałem mu, że to z powodu rany w ramieniu czuje się tak dziwnie. Opatrzyłem mu obrażenia i złapałem taksówkę. Powiedział, że jedzie do portu, gdzie czekają na niego Estrella i profesor. Zaś ja poczekałem na następną taksówkę i pojechałem nią w stronę letniego pałacu. W pobliskim parku oczekiwałem aż się ściemni. Myślałem, że jesteś tam...

- A później nagle doszedł do ciebie sygnał SOS...

- Ale nie stamtąd, lecz z przeciwnego krańca miasta. Szybko ustaliłem miejsce. Ponieważ już było ciemno, spokojnie mogłem unieść się w powietrze. Nie musiałem się obawiać, że mnie zauważą. Szeł poinstruował mnie, żeby tej metody używać wyłącznie w nocy.

W parku panowała cisza. Wdychałem zapach róż. Drzewa wyglądały jak czarni strażnicy.

- Chodźmy, Barax.

- Dokąd?

- Do letniego pałacu. Po Lipa Kilyosa...

★

Po drodze obmyśliliśmy plan akcji. Teraz mieliśmy przeciwko sobie nie prymitywnych tubylców w rodzaju Negadesa, lecz współczesnego nam, godnego przeciwnika. Mogliśmy się spodziewać, że Lipp Kilyos nie podda się bez walki. Musieliśmy obmyślić bardzo zreczny plan.

- Sądziś, że tak będzie dobrze? - sceptycznie zapytał Barax pod koniec narady.

- Czego się obawiasz?

- Że stanie ci się coś złego, Roy.

Poczułem dziwne ciepło. Żaden z kolegów nigdy się o mnie nie niepokoił. A teraz właśnie Barax?... Przez chwilę ujrzałem znowu twarz szefa. „Kogo bierze pan ze sobą, inspektorze?”. „Tylko Baraxa, proszę pana.” „Baraxa?” Oto dowód, że dokonałem słusznego wyboru. Barax był dobrym kompanem na Kasjopei-beta i na Marsie, i tak samo mogłem na niego liczyć w dawnych epokach na Ziemi. Cokolwiek by mówiono w 3044 roku, Barax jest nie tylko maszyną wypełniającą konkretne i logiczne polecenia...

- Nie bój się, stary. Tylko wtedy możemy zwyciężyć, jeżeli wszystko postawimy na jedną kartę.

- Czy to jest znowu jakiś idiom?

- Tak, zabiorę go dla szefa... Ale teraz mówię poważnie, Barax. Jeden z nas musi wpaść w przypuszczalną pułapkę, żeby drugi mógł później zwyciężyć.

- Zbyt wiele mi powierzasz, Roy.

- Jestem pewny, że dasz sobie radę. Jeżeli Kilyos jest jeszcze w pałacu, tylko w ten sposób możemy go ująć. Nie zapomnij - nie otrzymasz ode mnie żadnego sygnału. Musisz działać sam. Przez cały czas będziesz wiedział, co się dzieje.

- Letni pałac ma grube, stare ściany. Już wieczorem zrobiłem próbę - nic przez nie nie widzę.

- Nie szkodzi. Potrafisz wiele innych rzeczy, Barax. Pomyśl, że w ten sposób obaj możemy wrócić do naszej epoki. Możemy wrócić do domu, Barax.

Zastanawiał się. Lecieliśmy teraz nad miastem. Zbliżaliśmy się już do letniego pałacu, widziałem ulicę, ogrodzenie.

- Przy bramie stoi parę osób. Ogrodzenie nie jest pilnowane.

- A w środku?

- Nie wyczuwam istot żywych.

- No to... na dół!

Po cichu, niepostrzeżenie przelecieliśmy nad ogrodzeniem i wylądowaliśmy obok ściany budynku.

- Zanieś mnie na balkon.

Przez sekundę bezgłośnie lecieliśmy. Usiadłem na barierze balkonu i odwróciwszy się do środka stałem na kamiennej posadzce.

- Miej oczy otwarte, Barax – szepnąłem.
- To znaczy, że mam uważać?... Będę uważał – obiecał i zniknął.

Ja zaś ruszyłem przed siebie.

Na szczęście drzwi balkonowe były otwarte, nie musiałem tracić czasu na ich wyważanie. W czasie ciepłych nocy w ten sposób wietrzono zapewne staroświecki pałac. Znalazłem się w sporej sali, niemal zupełnie pozbawionej mebli. Oczy przyzwyczały się do półmroku. Byłem uzbrojony i czułem się bezpieczny, lecz mimo wszystko uważałem, żeby nie spowodować hałasu.

Za salą był korytarz, ruszyłem przed siebie szukając schodów prowadzących na górę. Przez drzwi przenikało światło, usłyszałem jakieś głosy. Drzwi nie były zamknięte. Przycisnąwszy się do ściany podkradłem się bliżej i zerknąłem do środka. W pokoju siedzieli dwaj żołnierze i słuchali radia:

- „... wrogowie demokracji zamordowali Gallego Ramireza. Jego zwłoki zostały dziś po południu wystawione w sali parlamentu...”

Po cichu przemknąłem się w przeciwnym kierunku. Znalazłem schody. Na schodach wisały słabo świecące, rozmieszczone w regularnych odstępach lampy elektryczne imitujące świece. Na następnym piętrze przyjęła mnie cisza i półmrok. Wiedziałem, że i tu zapewne nie ma Kilyosa.

Na tym piętrze mieściły się pomieszczenia biurowe. Na drzwiach wisały tabliczki z nazwiskami i liczbami. Przypomniała mi się wiadomość sprzed paru dni: w tym właśnie budynku Ramirez przekonał prezydenta Veruzzy i jego świtę do idei zjednoczenia obu krajów...

Tak, Voltrans. Jeśli tu jest Kilyos, to urządzenie musi tu być także. Najprawdopodobniej uciekinier w czasie nie porusza się bez niego nawet na krok. Przy pomocy aparatu może wywierać wpływ na mózg każdego człowieka...

Odetchnąłem głęboko. Ja też mam ludzki mózg... Staralem się jednak nie myśleć o tym zagrożeniu.

Na ostatnie piętro prowadziły znacznie węższe schody. Choć bardzo uważałem, to jednak nie udało mi się uniknąć hałasu. Od czasu do czasu stawałem wstrzymując oddech. Słyszałem bicie własnego serca. Znowu uświadomiłem sobie, że jestem w dwudziestym wieku. Dotarłem do pomalowanych na biało drzwi. Nasłuchiwałem. W pałacu panowała cisza. Lippie Kilyos, jesteś gdzie tutaj, musisz tu być. Zaskoczę cię, może się uda...

Powoli otworzyłem drzwi. Jedną rękę trzymałem w kieszeni – ścisnąłem w niej pistolet promienny. Znajdowałem się w ciemnym pomieszczeniu. Korytarz? Sala? Z wahaniem ruszyłem dalej. Drewniana podłoga skrzypiała pod moimi nogami. Przede mną wyrosła kolejna ściana, obmacywałem ją. Z daleka dobiegł mnie bardzo słaby blask światła. Powoli zacząłem się skradać w tym kierunku.

Znalazłem się w kolejnej sali. Po jeszcze grubszym, miękim dywanie szedłem dalej wymijając skryte w półmroku fotele i szerokie stoły. Zmierzałem do uchylonych staroświeckich, dwuskrzydłowych drzwi, zza których na podłogę padał żółtawy blask.

Spojrzałem przez szczelinę i – choć byłem przygotowany na ten widok – poczułem, jak mój oddech staje się szybszy: w pokoju za szerokim stołem... siedział Lipp Kilyos.

★

W ustach mi zaschło, serce waliło mi w gardle. Poruszałem się powoli. W reku czułem chłodny dotyk gładkiej kolby pistoletu. Nie widziałem już nic poza tym człowiekiem. Był bardzo podobny do Ramireza. Muszka pistoletu powoli przestoniła głowę Kilyosa.

W chwili, gdy uruchomie broń – nasze kłopoty się skończą. W ciągu jednej sekundy uciekinier znajdzie się w naszych rękach...

Nacisnąłem wyzwalacz promieni.

★

Nic się nie stało. Lipp Kilyos siedział za stołem. Pomyślałem, że promień nie wytrysnął i strzeliłem ponownie. Wskaźnik dowodził, że wypromieniowana dawka wystarczyłaby, żeby pozbawić dorosłego człowieka przytomności na co najmniej dwadzieścia godzin...

Kilyos uniósł głowę. Dopiero teraz, w pełnym świetle zobaczyłem jego twarz. Zdumiałem się – Kilyos się uśmiechał.

Był to karykaturalny uśmiech – dziwny, obcy. Na głowie miał metalową obrecz. Kilyos wytworzył

wokół siebie pole siłowe! Przewody magnetycznych induktorów owinał wokół bioder i głowy, skąd biegły do metalowego pierścienia okalającego jego bujne włosy.

No proszę, oto jedno z urządzeń, które jak powiedział szef, zabrał ze sobą w przeszłość poza aparatem Voltrans. Mogłem się tego domyślić – wszak dbał o swe bezpieczeństwo.

Bezradnie opuściłem broń. Wtedy Kilyos uniósł wzrok i z tym samym krzywym uśmiechem na twarzy odezwał się.

- Niech pan wejdzie, inspektorze. Czekalem na pana.

Z przegu jeszcze raz strzeliłem, choć wiedziałem, że nic to nie da. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Młodości zaczęły się w żołądku, lecz szybko ogarnęły także klatkę piersiową i gardło. Wydawało mi się, że czuję je nawet w mózgu... Palce mi się rozwarły – broń upadła na podłogę. Chciałem się po nią schylić lecz zamiar nie przerodził się w czyn. Czulem się jakbym brodził w morzu ołowiu, najdrobniejszy ruch przychodził mi z trudnością. Wymagał wielkiego wysiłku. Dyszałem. Obłamałem się potem.

- Żle się pan czuje, inspektorze?... – zapytał Kilyos ze zjadliwą ironią.

- Moje nogi... – odpowiedziałem głupkowato. Nasz język z trzydziestego pierwszego wieku tak normalnie brzmiał w tych o tysiąc lat wcześniejszych ścianach.

- Niech się pan daremnie nie trudzi. Jest pan w mojej władzy. Sparaliżowałem pańską wolę...

Fotel stał w odległości paru zaledwie metrów – a jednak gdy tam doznałem, byłem tak wyczerpany, jakbym dźwigał na ramionach górę. Dysząc opadłem na siedzenie.

- Co pan chce ze mną zrobić? – zapytałem. Na szczęście mówienie i myślenie nie sprawiało mi trudności. W tej chwili nie mogłem poruszyć już ani ręką ani nogą – Kilyos zwiększył siłę emisji aparatu. Młodości z wolna ustąpiły. Przypominały mi się dawne lektury – tak właśnie wyglądały doznania ludzi, którzy się znaleźli pod wpływem działania aparatu do przenoszenia woli.

- Długo trwała ta gra, Kilyos – powiedziałem.

- Tak, ale teraz już dobiega do końca. – Dziwiłem się, że mimo paraliżu wykazuje odwagę. Jednak część ciała była mi posłuszna: mówiłem, ruszałem ustami, szyją, głową.

- Tylko, że koniec nie będzie wyglądał tak, jak to się wydawało GALPOL-owi. – Położył przed sobą na stole pistolet. Wzrokiem oszacowałem odległość – broń wciąż jeszcze była w zasięgu jego ręki. On także spojrzał na rewolwer.

- Takie zabawki przypominają mi moją przeszłość.

- To znaczy: przyszłość – poprawiłem, lecz on potrząsnął głową.

- Dla mnie to przeszłość. To, co minęło. Moją przyszłością będzie dwudziesty i dwudziesty pierwszy wiek.

- To, co mi się nie udało, uda się innym – powiedziałem. – GALPOL przysłał tu po pana choćby stu agentów.

- Nie przysłał już ani jednego – powiedział Kilyos z uśmiechem. Jego spojrzenie było zimne i twarde. Zdeterminowane. Wrogie.

Nie dyskutowałem z nim. Jednakże Kilyos miał ochotę na pogawedkę. Ostatnie tygodnie bardzo źle na niego wpłynęły. Z kim mógł teraz rozmawiać?... Nawet się mu nie dziwiłem: od kiedy przekroczył limes tempori musiał się przez cały czas ukrywać. Od chwili gdy usidlił Gallego Ramireza, nie mógł się nawet pokazywać publicznie – przekleństwo fizyczne podobieństwo stało się jego więzieniem. Zapewne od dwóch tygodni nie był na świeżym powietrzu, nie mógł spacerować po ulicach i parkach Boliwar, jadać w restauracjach. Ślady tego wszystkiego widziałem na jego popielatej twarzy, w zmęczonych ruchach. Sam zaniknął się w więzieniu – najstraszliwszym, jakie człowiek mógł sobie wyobrazić. Czy to w dwudziestym czy w trzydziestym pierwszym wieku... Ukrywał się, by GALPOL uwierzył, że Ramirez i Kilyos to jedna i ta sama osoba. A więc to, co przydarzyło się prezydentowi, przydarzyło się jemu. Czy – jeżeli Ramirez zostanie zabity – Kilyosowi uda się zniknąć bez śladu z powierzchni ziemi? Czy na to liczył?

Teraz niespodziewanie zjawiłem się ja – człowiek przybywający z jego dawnego świata. Ktoś, przed kim nie trzeba, nawet nie można, ukrywać swoich myśli, ani swej prawdziwej tożsamości. Miniony okres wydawał się być długim, tragicznym i ryzykownym balem maskowym, w czasie którego musiał walczyć w obcym i często wrogim świecie bez towarzyszy, sprzymierzeńców, przyjaciół czy wspólników.

I język... Tak, nasz język. Teraz wreszcie mógł go znowu używać. Wiedziałem, że coś zmusza go do tego, by usłyszeć płynące z własnych ust dawne, dobrze znane słowa. Wiedziałem, że będzie mówić. Musiałem wykorzystać czas, gdy Kilyos jest w takim nastroju.

- Wiedział pan, że GALPOL wysłał nas za panem.

- Oczywiście, że wiedziałem. Na tym opierałem swój plan: zorientujecie się, że Ramirez to ja. Kiedy poprzez prawdziwego Ramireza otrzymałem wiadomość, że w jego dawnym mieszkaniu na ulicy Królowej zjawili się dwaj superagenci, których nie udało się schwycić - byłem z siebie zadowolony. A więc ludzie GALPOL-u chwycili przynętę. Przybyli we dwóch i szukali mnie... - roześmiał się. Jego głos nadal był antypatyczny.

- Kilyos, naprawdę pan sądził, że może pan zmienić bieg historii?

Odpowiedział spokojnie, choć nie wprost na zadane pytanie.

- Opanowała mnie zawodowa choroba. Wie pan, że w ostatnim czasie często zdarza się, że historycy teskną do badanych przez siebie, a więc znanych im epok. Być może dzieje się tak dlatego, że odkryto podróże w czasie i tęsknoty takie w każdej chwili mogą zostać zrealizowane. Ja także wpadłem w tę pułapkę. Gdy jako historyk i badacz czasu dostałem kilka pozwoleń i mogłem przekroczyć granicę czasu, choćby nawet na parę tylko godzin, mogłem fizycznie znaleźć się w dwudziestym wieku - wtedy się zmieniłem. Bardzo się zmieniłem. Zorientowałem się, że wraz z opracowaniem techniki podróżowania w czasie stworzyliśmy właściwie system równoległe istniejących światów. Rozumie pan, inspektorze? Dawniej czas płynął tylko w jedną stronę. To, co przeminęło, na zawsze zanurzało się w przeszłości, było nieosiągalne. Natomiast my w każdej chwili możemy wskrzesić którykolwiek z minionych okresów, osiągnęliśmy więc stan, w którym wszystkie stulecia istnieją dla nas jednocześnie. Niemal za naciśnięciem guzika możemy się zjawić w wybranym miejscu i czasie. Niech pan pomyśli o badaniach paleontologów i geologów w świecie sprzed dwudziestu i więcej milionów lat... A niektórzy pracują już nawet nad takimi technikami, które umożliwią im podróż do okresu Wielkiego Wybuchu oznaczającego początek całego wszechświata - do okresu, w którym być może nie istniał jeszcze czas...

Lipp Kilyos zorientował się chyba, że nie jest w uniwersyteckiej sali wykładowej. Po krótkiej przerwie ciągnął dalej, już spokojnie.

- Nie odnalazłem swego miejsca w trzydziestym pierwszym wieku. I to nie tylko jako historyk, lecz także jako człowiek. Właściwości i reguły fachu sprawiają, że historyk może jedynie rejestrować przeszłość, opracowywać epoki, procesy, ścieranie się idei, może je klasyfikować w oparciu o takie czy inne kryteria. Jednakże nie widziałem większego sensu w takiej pracy. Gdyby nie ja - zrobiliby to ktoś inny. Albo nikt i też byłoby dobrze. Ta bezcelowość bolała mnie. Coraz bardziej pociągała mnie żywa, prawdziwa przeszłość, pragnąłem tam żyć, zanurzyć się w niej, tak by wokół mnie rozgrywały się prawdziwe cierpienia i namietności, prawdziwe walki...

- Dlaczego nie udał się pan do średniowiecza? - zapytałem z ironią. - Powiedzmy jako galernik. Miałby pan dość cierpień.

- Nic pan nie rozumie. Nasze nowoczesne życie jest takie jak zamknięty w kryształach supertilm, nagranie wideo. Ostry obraz w doskonały sposób zakonserwowany na doskonałym materiale, znakomity dźwięk, bezbarwna, bezwonna akcja... Możemy to odtworzyć tysiące razy, a jakoś będzie dokładnie taka sama. W trzydziestym pierwszym wieku nie ma nawet niespodzianek, bardziej nudna i beznadziejna będzie jedynie epoka, w której ludzie pokonają śmierć i życie stanie się wieczne...

- Niech pan zostawi te bajeczki, Kilyos! - sytuacja w jakiej się znalazłem denerwowała mnie już. - Nie po to przywiózł pan ze sobą pole siłowe i schemat Voltransa, żeby „wtopić się w dawną epokę” i „zjednoczyć z żyjącymi tu ludźmi”... Bzdura! Chciał się pan znaleźć w lepszej sytuacji niż tubylcy, to znaczy: pannać nad nimi. To był pański prawdziwy cel!

- To także! - Kilyos uśmiechnął się do mnie z nieoczekiwaną szczerością. W jego zimnych oczach rozjarzył się teraz płomień. - Jeżeli już podjąłem się takiego ryzyka i musiałem się podwójnie ukrywać - z jednej strony przed agentami GALPOL-u, zaś z drugiej przed tubylcami mogącymi mnie zdemaskować - to nie chciałem być jednym z pięciu miliardów robaków, które w każdej chwili mogą być starte z powierzchni ziemi przez potężniejszą siłę lub choćby przez głupi przypadek! Nigdy jeszcze żaden historyk nie miał możliwości kształtowania procesów i wydarzeń według własnej woli i własnego wyobra-

żenia! Ja będę pierwszym, panie inspektorze, pierwszym, który tego dokona. Zobaczymy, co będzie, jeżeli uda się ruszyć z posad to co nazywamy historią... Zmieniając kolejność i porządek rzeczy uważanych za nieodwracalne, bo zdarzyły się w przeszłości, stworzę nowy świat. Nowy świat, inspektorze!

- Konsekwencje...
 - Konsekwencje mnie nie interesują!
 - Nie pozwolą panu na to, Kilyos. GALPOL zrobi wszystko, żeby pana zabrać z dwudziestego wieku.

- Sądzi pan, że o tym nie wiem? Przygotowałem się do tego, bo przecież GALPOL wysyła agentów za każdym uciekinierem w czasie. Dlaczego właśnie ja miałbym być wyjątkiem? Lecz tak samo jak zmyliłem was, mogę się rozprawić z każdym następnym agentem. Nie spodziewałem się tylko, że porwiecie Ramireza i w ten sposób zorientujecie się, że nie jest mną. Sądziłem, że zabijecie go na miejscu.

- Wiedział pan, że napadniemy na Ramireza?
 - Po napadzie wiedziałem, że to musieliście być wy. Pierwszym charakterystycznym dowodem było obezwładnienie bronią promienną eskorty prezydenta. Znam arsenał trzydziestego pierwszego wieku. Słyszałem, że zawsze działacie we dwojke. Co się dzieje z pańskim towarzyszem?

- Zabili go.
 - A więc to był on?... Przed godziną wspominali o tym w radiu. Jakiś Medina?
 - Inspektor Roy Medina - powiedziałem i przełknąłem ślinę.

- Radio podało, że za napad na prezydenta rozstrzelano „zagranicznego agenta” ... wynikało z tego, że jego towarzysz jest na wolności i wkrótce do mnie przyjdzie. Nie było trudno się domyślić, że tu się ukrywam, prawda?

- Prawda.

Do głowy przyszła mi pewna natretna myśl: Negades znowu skłamał. Tym razem oszukał opinie publiczną. Przecież wyrok nie został wykonany. Może sądził, że tą fałszywą wiadomością wywoła zamieszanie wśród moich ewentualnych sojuszników? Przyszli mi na myśl Lorenzo, Lopez i Estrella - więc dla nich jestem już martwy. Jedynie Flora... Żeby tylko ona nie uwierzyła.

- A więc wpadłem w pułapkę - powiedziałem wyraźnie, czysto. Miałem po temu swoje powody. Wszak Barax również słuchał moich słów. - Kilyos, wiedział pan, że Ramirez zostanie dziś zabity?

- Oczywiście, że wiedziałem. Dość starannie przestudiowałem historię Boliwarii z 1992 roku. Z głębi archiwów wygrzebałem stare, zakurzone materiały, po które żaden badacz nie sięgał przynajmniej od ośmiuset lat. Z punktu widzenia przyszłości był to całkiem nieistotny region... I właśnie dlatego mnie pociągał. Uciekając ze sterylnego świata, tam mogłem odnaleźć samego siebie. Oczywiście, przywoziłem parę schematów. Ale jedynie po to, by móc być panem własnego losu. Wiedziałem, że trzydziestego pierwszego maja po południu postrzelany jak sito Ramirez zostanie odnaleziony na jednej z ulic dzielnicy Juventud. Tak więc GALPOL i wszystkie inne instytucje z przyszłości, które mnie szukają będą przekonane, że to mnie zabito i zaniechają pościgu...

A więc miałem rację. Taki był plan Kilyosa. Ale... Serce mi zamarło. To oznacza zarazem, że...

Kilyos dostrzegł zdumienie na mojej twarzy. Wyszczrzył zęby w bezlitosnym uśmiechu:

- Domyśla się pan już, inspektorze? Oczywiście, że nie może pan wrócić w przyszłość. Nie może pan ujawnić, że wciąż jeszcze żyje... GALPOL wysła agentów, żeby pana odnaleźli - dowiedzą się oni, że pan i pański przyjaciel co prawda zlikwidowaliście Ramireza-Kilyosa, lecz sami padliście ofiarą bezlitosnego wojskowego systemu. Jeżeli wraz z jego śmiercią zniknę z pola widzenia GALPOL-u, to wygrałem. Następnym razem pojawię się dopiero wtedy, gdy będę mieć w reku władzę i będę mógł zgodnie ze swą wolą przekształcić ten świat! Ale na razie zniknę w tym olbrzymim tłumie ludzi. Zniknę bez śladu, inspektorze.

Obserwowałem jego oczy. W ciemnych źrenicach pojawił się dziwny blask. Pomyślałem, że chce mnie zabić. Byłem jedynym świadkiem, który mógł pokrzyżować jego rachuby. Sądził, że jestem jedynym świadkiem...

Nie wiedziałem, w którym momencie zdecyduje się na ostateczny krok. Ale chyba się nie spieszył. Jeszcze nie. Najpierw chciał się nasycić zwycięstwem.

- Nie uda się panu uciec, Kilyos. GALPOL nigdy się nie pogodzi ze stratą agenta. Kiedy pociągną za sznurki, wyjawi się, że to nie pan był Ramirezem, bo przecież cukiernik mieszkał tu od dawna...

- Nawet jeżeli się zorientują, to do tej pory ja zniknę bez śladu. Cały epizod boliwaryjski był mi potrzebny jedynie po to, by zaaranżować własną śmierć. Teraz, gdy mam to już za sobą, wyjeżdżam stąd. Do jakiegoś innego kraju. Dzięki Ramirezowi zdobyłem ogromne fundusze, w moim ręku jest znaczna część skarbu państwa. Zniknę tak, że nie zostanie po mnie żaden, ale to żaden ślad.

★

„Roy, jestem tu” - poczułem w mózgu sygnał.

„Działaj” - rozkazałem bez wahania.

- Czy bardzo by się pan zdziwił, gdybym powiedział, że jednak pan przegrał? Że nigdzie już pan nie ucieknie? - zapytałem. Jednocześnie poczułem zbierające się na moim czole krople potu.

- Wyśmiałyby pana, inspektorze. Mnie już nikt i nic nie zatrzyma.

- Całą naszą rozmowę nagrałem na dźwiękowy kryształ. Kilyos. Mikrofon mam za klapą marynarki, może pan zobaczyć... Odbiornik jest na ulicy, w moim samochodzie.

Para ciemnych oczu spojrzała na mnie niepewnie. Powoli ciągnąłem dalej:

- Agenci GALPOL-u wysłani z zadaniem odzyskania mnie, znajdują samochód i nagranie. Będą pana ścigać w nieskończoność. - Wie pan przecież, że zamordowanie człowieka z przyszłości i to w dodatku oficera policji rozwścieczy GALPOL i zarząd...

Zaczął się nad tym zastanawiać. Gdzie może być Barax - przebiegła mi przez głowę niecierpliwa myśl.

- Czy nie rozumie, że moje życie jest znowu w niebezpieczeństwie? Kontynuowałem obłany potem:

- Niech się pan podda, Kilyos. Zabiorę pana z powrotem w trzydziesty pierwszy wiek, być może sąd wyda łagodny wyrok...

- Dziesięć lat na bezludnej wyspie? - roześmiał się. - W takim razie wolę się ukrywać! Ale z tego co zaszło, wyciągnąłem już nauczki: nigdy więcej się nie „wynurzę”, to pewne. Na zawsze pozostanę na drugim planie i w ten sposób zmienię świat. Stanę się panem prymitywnych dwudziestowiecznych tubylców, ich nauki, ich pieniędzy a nawet ich nuklearnej broni!...

Byłem coraz bardziej pewien, że jest chory. Nie mógł być zupełnie normalny, skoro zdecydował się na taki krok. Wziął ze stołu promienny pistolet i ruszył w moją stronę...

Wtedy odezwał się Barax.

- Niech się pan nie rusza, Kilyos!

Głos dochodził od strony drzwi. Nie mogłem odwrócić głowy w tamtą stronę. Szyje miałem sparaliżowaną - w polu mojego widzenia znajdował się tylko Kilyos.

Historyk nie usłuchał wezwania. Błyskawicznie odwrócił się z pistoletem w rękę i strzelił... Widziałem jak błysnął wskaźnik emisji.

Słyszałem kroki Baraxa. Zbliżał się spokojnie. Krok po kroku. Tup. Tup.

Kilyos czterokrotnie wystrzelił w Baraxa śmiertelnie dawką, zanim zrozumiał, że nic to nie da.

- Niech się pan podda, albo włącz dezintegrator - beznamietnie oświadczył Barax.

- Nie! - wrzasnął uciekinier z niespodziewaną mocą. - Jestem w zasięgu działania pola siłowego i nic nie możesz mi zrobić!

Barax zbliżał się. Od chwili, gdy wszedł do pokoju, bez przerwy mówił i pomału szedł w stronę Kilyosa. Jednakże ja zdawałem sobie sprawę z tego, że wszystkie jego urządzenia czekają na odpowiedni, na jedyny nadarzający się moment. Dla niego może on trwać krócej niż tysięczna część sekundy... I wtedy uderzy.

Próbowałem się poruszyć, ale wpływ Voltransa nie zmniejszył się. Byłem więźniem. Moja wola była skuta kajdanami mocniejszymi od stali.

Kilyos jednym skokiem znalazł się przy stole.

- Ciebie też sparaliżuje, sukinsynu...

Mój towarzysz i tego nie musiał się obawiać. Podeszedł bliżej. Kilyos na próżno zwiększał moc aparatu, na próżno kierował na Baraxa wiązkę promieni. Twarz mu się wykrzywiła: zrozumiał, że przeciwko

Baraxowi i ten środek okazuje się bezskuteczny. W tym samym momencie dwukrotnie, raz za razem, błysnął cienki, liliowy promień światła. Tryskał z palca Baraxa. I nagle poczułem, że obce, niewidzialne pęta spadają ze mnie...

Przy pomocy laserowego promienia Barax spalił Voltransa.

Lipp Kilyos nie tracił czasu. Pomimo pola siłowego zaczął poruszać się szybciej. Stał już pomiędzy mną a Baraxem ciężko dysząc:

- Wciągnę inspektora pod pole siłowe! Potem zabiję go, jeżeli pan stąd nie wyjdzie.

W obliczu pola siłowego i Barax był bezradny. W półmroku z trudem dostrzegałem jego twarz. Czuję ulgę, lecz wciąż jeszcze nie mogłem się poruszyć, w mięśniach pulsowało odrętwienie. Barax odezwał się zdecydowanym tonem:

- Jestem funkcjonariuszem GALPOL-u. W imieniu inspektora Roya Mediny aresztuję pana, Lippie Kilyos.

- Nie! - wrzasnął Kilyos. Skoczył ku mnie, wyciągnął w moją stronę rękę... Wciąż jeszcze byłem słaby. Ręce i nogi miałem jak z waty. Nie opierałem się, kiedy chwycił moją dłoń...

W tym momencie poczułem ból. W moje ciało wdarł się ogień. Wydawało się jakby zarwał się pode mną most. Spadałem...

Spadałem w czarną otchłań.

Rozdział 10

Pierwszą rzeczą, którą ujrzałem w chwili, gdy przyszedłem do siebie, był wlewający się przez okno blask świtu. Od razu się zorientowałem, że wciąż jeszcze jesteśmy na ostatnim piętrze letniego pałacu.

Leżałem w wygodnym łóżku. Powoli odwróciłem głowę - na podłodze dostrzegłem Lippa Kilyosa. Spał. A może był martwy?

Barax pochylił się nade mną.

- No wreszcie - stwierdził z pewną wymówką. - Myślałem już, że dopiero w przyszłym tygodniu dojdiesz do siebie.

- Cześć, Barax. Bądź tak dobry, daj mi szklanke wody, w ustach całkiem mi zaschło. - Usiadłem. Woda bardzo mi pomogła. Dostrzegłem, że Barax zanim mi ją podał, wsadził do środka mały palec.

- Barax, nie wygłupiaj się. Nie jesteś niewychowanym dwudziestowiecznym kelnerem.

- Nie wygłupiam się - odpowiedział i wyczułem w jego głosie pretensje. - Sprawdzam czy skład chemiczny wody nie jest szkodliwy dla ludzkiego organizmu. Muszę przecież na ciebie uważać...

Wypiłem i dopiero potem wróciłem do rozmowy.

- Dlaczego się na mnie wściekasz? Jest przecież ranek, spałem najwyżej dwie godziny.

- Plus dwadzieścia cztery, Roy.

- Proszę?...

- Dostałeś dawkę promieni obezwładniających i to silną. Jest już drugi czerwiec.

- Kto mnie oszołomił?

- Ja - odparł ze stoickim spokojem.

Tak mnie to zaskoczyło, że z miejsca zerwałem się na nogi. Teraz ciało funkcjonowało mi nienaganie: w mięśniach nie było ani śladu paraliżu. Rzeczywiście musiałem spać dłużej niż dzień. O mały włos nie nadepnąłem na leżącego na podłodze Kilyosa. Zaczynałem przypominać sobie wydarzenia.

- Chwileczkę, kolego. Pamiętam, że Kilyos wyciągnął w moją stronę rękę. A nawet chyba mnie złapał. I... i więcej nie nie pamiętam.

- Tak było - Barax spokojnie pokiwał głową. - Z powodu pola siłowego nie mogłem go zaatakować. Ale kiedy zaczął grozić, że wciągnie cię pod pole, zorientowałem się, że wreszcie mogę go załatwić.

- W jaki sposób?

- Twoje ciało mogło się dostać w obszar pola siłowego tylko wtedy, gdyby Kilyos wyłączył to pole - choćby na krótką chwilę. Wiadomo, że w żaden inny sposób granicy pola nie może przekroczyć ani

przedmiot fizyczny ani promieniowanie elektromagnetyczne czy jakiegokolwiek inne... Facet liczył, że nie potrwa to nawet sekundy i nie widział w mojej ręce pistoletu promiennego. Myślał więc, że jestem bezbronny. Nie wiedział też, że mogę z odległości odkryć pole siłowe. I naturalnie jego wyłączenie... Bez poruszania ręką z dokładnością do dziesięciotysięcznej części sekundy mogłem uruchomić wbudowany w moją klatkę piersiową miotacz. Tak więc gdy Kilyos wyłączył pole, żeby cię wciągnąć do środka, jako zakładnika – wypuściłem obezwładniający promień.

- I trafiłeś także mnie.

- Wiedziałem, że tak się stanie, ale nie mogłem zrobić nic innego. O ile wiem nikt jeszcze nie umarł od dwudziestoczworgodzinnej utraty przytomności – przysiągłbym, że w jego głosie czaiła się ironia. Lecz później kontynuował poważnym tonem: - W ciągu dziesięciotysięcznej części sekundy musiałem zdecydować, czy mam ująć Kilyosa, czy też pozwolić, żeby cię dalej trzymał i szantażował mnie twoją śmiercią... Ty także straciłeś przytomność, ale ważne jest, że wreszcie Kilyos naprawdę jest w naszych rękach.

Logika Baraxa jak zwykle była nieodparta i doskonała. Musiałem przyznać mu rację. Ukleknąłem na podłodze i obejrzałem schwytanego mężczyznę. Oddychał miarowo i wydawało się, że śpi...

- On też się niedługo obudzi – uprzedził mnie Barax. - Twój organizm jest młodszy i silniejszy. Dlatego ocknąłeś się pierwszy. Co z nim zrobimy?

- To zależy od tego, co się dzieje na zewnątrz – wskazałem w stronę okna.

- Nie chcę cię martwić, Roy, ale zamieszanie jest duże... Od wczoraj trwa strzelanina, partyzanci Lopeza walczą z żołnierzami. Tu, przed pałacem także było gorąco.

- Siedziałeś tu przy nas przez dwadzieścia cztery godziny?

- Przez dwadzieścia sześć i pół godziny – poprawił mnie.

No tak, znowu zapomniałem, że dla niego czas płynie zupełnie inaczej. To znaczy, w ogóle nie płynie. Później Barax odezwał się tak samo beznamiętnym głosem:

- Jest godzina szósta czterdzieści cztery rano według czasu miejscowego.

★

Tym razem chronotelefon funkcjonował wspaniale.

- Szefie?

- Tak, Roy, słucham?

- Mamy Kilyosa, wracamy do domu.

Wkroczenie nastąpi w San Fernando – odpowiedział. - Kiedy tam dotrzecie?

Tu jest duże zamieszanie. Ale o godzinie dwunastej czasu miejscowego będziemy na miejscu.

- W porządku, Roy. Między godziną dwunastą zero-zero, a dwunastą zero-pięć tamtejszego czasu major Gurow przekroczy granicę czasu. Spieszcie się!

- Jeszcze coś, szefie. Ta kobieta...

- Domyślam się, co chce pan powiedzieć. Kocha ją pan?

- Tak...

- I chciałby ją pan zabrać w trzydziesty pierwszy wiek?

- Tak, szefie.

- Znając przyszłość zarząd zezwolił na kontakt między panem a tą kobietą, Roy – powiedział szef. Teraz jego głos był zimny. Jakby mnie przed czymś ostrzegał...

- Znając przyszłość?

- Roy, trzymam w ręku fotokopie jednej z boliwaryjskich gazet. Ukazała się w tydzień po puczu, wydał ją już rząd Frontu Ludowego. Jest w niej...nekrolog.

Serce waliło mi jak młotem. Szef ciągnął dalej.

- Pani Florencja Baderos, lat trzydzieści cztery, zamieszkała na ulicy Algeciras 186, żona znanego dyplomaty, w drugim dniu puczu wpadła swym samochodem na nieoczekiwanie wyjeżdżający z bocznej ulicy opancerzony pojazd wojskowy... Zginęła na miejscu. Roy?...

★

Nie wiem, co się działo później. Barax wyłączył telefon. Pamiętam jedynie, że siedziałem i wpatrywałem się w podłogę. Nie wiem nawet, ile czasu upłynęło.

Flora...

Ujrzałem przed sobą jej twarz. Czułem dotyk jej ręki. Flora... Nie żyje?

★

Barax był niezwykle poważny.

- Rozumiem cie, Roy, ale pomyśl jak niewiele czasu nam pozostało. O dwunastej mamy być w San Fernando... z Lippem Kilyosem.

Imię uciekiniera podziało na mnie jak szklanka zimnej wody. Otrząsnąłem się. Kilyos?... Tak. Teraz on stanowi cel, zadanie, pracę do wykonania. Cokolwiek, co pozwoli mi zapomnieć o Florze.

Odetchnąłem głęboko. Podszedłem do okna. Widok jaki ujrzałem zaskoczył mnie: na żelaznej kracie ogrodzenia, na trawniku, nawet na chodnikach stały setki ludzi. Kilka osób miało sztandary, inni rytmicznie krzyczeli i wymachiwali pięściami. Naprzeciwko nich, na zdeptanym trawniku, pomiędzy ozdobnymi krzewami stali żołnierze z wycelowaną w tłum bronią. Domyślałem się, że niedługo nastąpi starcie. Jeżeli nic nie stanie na przeszkodzie... Wygląd tłumu niepokoił mnie. Był już jasny dzień i każda akcja, którą mogliśmy rozpocząć używając naszych technicznych środków, byłaby poważnym złamaniem czasu. Jednocześnie wiedziałem, że z Kilyosem nie uda nam się przedrzeć przez tłum spokojnie bez zwrócenia na siebie uwagi. Jego twarz była twarzą Gallego Ramireza.

Kilyos zaczynał się budzić, musieliśmy się spieszyć. W jaki sposób można wydostać się z pałacu?... Strzelaninę słyszeć było coraz bliżej, walki toczyły się gdzieś na sąsiednich ulicach.

Raz, jeszcze raz pojawiła się przede mną twarz Flory. W dziwny sposób w tym samym momencie ujrzałem twarz szefa. I zrozumiałem. Zarząd już wtedy wiedział, że Flora umrze, kiedy przez chronotelefon donosiłem o naszym związku. Analizatory zostały ustawione na jej nazwisko i - odkryto nekrolog. Dlatego właśnie szef wykażał aż taki liberalizm, dlatego zezwolił na kontynuowanie związku. Wiedział, że nie grozi to złamaniem czasu...

Potrząsnąłem głową i rozejrzałem się. Obszedłem całe pomieszczenie. Wypuszczony przez Baraxa laserowy promień do połowy spalił Voltrans. Aparat stał bezużyteczny, zwłaszcza po tym jak jego szczątki rozebrałem na drobne części i rozrzuciłem po podłodze. Magnetyczne induktry wytwarzające pole siłowe spotkał taki sam los. Przeszukaliśmy całe pomieszczenie i zniszczyliśmy wszystkie zapiski Kilyosa. Tymczasem tłum na zewnątrz narastał, wrzawa stawała się coraz głośniejsza. Musieliśmy się jakoś wydostać. Za parę godzin major Gurow „wkroczy” w dwudziesty wiek, żeby nas stąd zabrać.

- Czy mam dać jeszcze jedną dawkę promieni? - spokojnie zapytał Barax wskazując na Kilyosa. Uciekinier oddychał głęboko, przez jego bladą twarz przebiegały kurcze. Wszelkie objawy świadczyły o tym, że szykuje się do przebudzenia.

- Nie trzeba, ale bądź w pogotowiu: jeżeli będzie zbyt ruchliwy, zwiąż mu ręce i nogi - rozkazałem nerwowo i nadal chodziłem tam i z powrotem. Moje spojrzenie padło na stojący na stole kanciasty aparat telefoniczny. A gdyby tak?... Choć nie wiązałem z tym większych nadziei, była to jakaś szansa.

Wyglądało na to, że żołnierze wciąż jeszcze trzymają pałac w swoich rękach, wszyscy byli na miejscach.

- Centrala?

- Jest tam podporucznik Reyes?

- Obecnie znajduje się w suterenie - odpowiedział głos.

- Połączcie mnie natychmiast.

Podporucznik był zdenerwowany, czemu zresztą się nie dziwiłem. Gdyby taki tłum zagrażał obiektowi, który mi powierzono, ja też bym nie był ucieszony.

- Tu Reyes, kto mówi?

- Roy Medina.

Zapadła pełna zdumienia cisza, a później:

- Medina?... To niemożliwe, przecież go rozstrzelano...
- Pan jeszcze wierzy takim typom jak Negades? Nie dzwonię przecież z tamtego świata.

Oficer z wolna przychodził do siebie.

- A więc pan żyje?...
 - Niech się pan o tym przekona. Jestem tu, na ostatnim piętrze. I znajdzie pan tu jeszcze kogoś, kto..
- No, zobaczy pan sam.

Odłożyłem słuchawkę. Spoglądając na naszego więźnia pomyślałem, jakie wrażenie odniesie Reyes, gdy go zobaczy w tym stanie...

- Barax, połóż Kilyosa do łóżka - powiedziałem szybko. W samą porę, bo na stole Kilyosa odezwały się małe elektryczne brzęczyki.

- Sygnalizatory czujników umieszczonych na klatce schodowej - powiedziałem. - Ale, Barax, jak ty przeszedłeś między nimi niezauważony?

- To drobnostka - odpowiedział. - Biocujniki reagują tylko na promieniowanie charakterystyczne dla ludzkiego organizmu.

Podporucznik Reyes wpadł do pomieszczenia. W jego ciemnych oczach kryły się z troską i ciekawość, ruchy zdradzały zmęczenie i napięcie:

- Medina, to naprawdę pan?
- Nie jestem duchem, niech pan patrzy!
- Madre de Dios! - zdebiał oficer. - To prezydent Ramirez! Więc i on żyje?
- Tak. Zbiry tego nedznika Negadesa zabiły i wystawiły na widok publiczny sobowtóra prezydenta. Ten tutaj to Gallego Ramirez, nieco oszołomiony. Swego czasu przysięgał mi pan wierność - wskazałem na leżące na łóżku ciało. - Od chwili zamachu ukrywaliśmy go tu przed organizatorami puczu. Podporuczniku Reyes, pana obowiązkiem jest pomóc prezydentowi!

- Tak... oczywiście - jękał zupełnie nie po wojskowemu. Jego śniada twarz wyrażała bezradność, ale trwało to tylko przez chwile. Później wyprzeżył się, wyuczona lojalność wzięła górę. Przelewająca się na zewnątrz rewolucyjna fala była dla niego czymś obcym, a nawet niebezpiecznym. Mógł przez nią stracić swój majątek, status, range, a może nawet i życie. Moje rachuby były słuszne - podporucznik opowie się raczej za legalną władzą. W jego mniemaniu rewolucja Frontu i pucz Negadesa były krótkotrwałymi awanturami. Z pewnością liczył na to, że później, kiedy sytuacja unormuje się, Ramirez go nagrodzi. Widział już wiele złotych gwiazdek na swojej kurtce...

Nie wątpiłem, po której stronie stoi Reyes. Kilyos wciąż jeszcze trwał w zamroczeniu. Gotowy do interwencji Barax stał w pobliżu.

- W mieście wybuchła rewolucja - szybko wyjaśnił podporucznik. - Uzbrojeni cywile napadli na koszary i inne budynki o strategicznym znaczeniu. Dookoła stacji radiowej toczą się ciężkie walki.

- Musimy się stąd wycofać!
- Ten tłum zbiera się już od kilku godzin i jest coraz większy - odpowiedział. - Jeżeli przyłączy się do niego również uzbrojeni ludzie, to zaatakują pałac. Mam tylko pięćdziesięciu żołnierzy, jeżeli będą się bronili, to nas wszystkich wyrzną.
- Macie samochody?
- Trzy ciężarówki i jeden łazik.
- To nie walcicie z tłumem. Czy chce pan ryzykować życie prezydenta? - obaj spojrzeliśmy na „Ramireza”. Twarz Kilyosa była białą plamą w półmroku. - Niech pan ogłosi, że w zamian za możliwość wycofania się, odda pan ten pałac.

Widziałem, że się waha - ale w tym momencie w pobliżu zaterkotał pistolet maszynowy. Z brzękiem posypały się odłamki szyb, a z sufitu posypały się na nasze głowy kawałki tynku.

- Już wydaję rozkazy - powiedział Reyes, przetykając ślinę.
 - Niech pan przyniesie trzy wojskowe kurtki i bandaże.
- Spojrział na mnie nie rozumiejąc, po czym wybiegł. Wkrótce na dole odezwał się głośnik. Reyes wrócił ze zmierzwionymi włosami:

- Załatwione. Za piętnaście minut będziemy mogli spokojnie wyjechać. Motloch spłądruje pałac...

Jedną z wojskowych kurtek założyliśmy na Kilyosa, zaś z bandaża zrobiłem na jego głowie olbrzymi turban zakrywający twarz, tak jakby otrzymał postrzał w oko. Teraz nikt go już nie mógł rozpoznać, wyglądał na rannego żołnierza. Popędzani przez podporucznika także zmieniliśmy marynarki na wojskowe kurtki.

Gdy byliśmy na parterze, jakiś sierżant zapytał:

- Panie poruczniku, oddajemy obiekt?

- Otrzymaliśmy taki rozkaz - odpowiedział Reyes i zacisnął dłoń w pięść.

Na dziedzińcu pałacu żołnierze wskakiwali do ciężarówek. Jako ostatni z kuchni wybiegł kucharz wraz z pomocnikiem. Każdy z nich dźwigał okrwawioną połówkę barana. Reyes sam prowadził łazik. Barax na tylnym siedzeniu podtrzymywał „rannego żołnierza”, zaś ja siedziałem koło porucznika.

- Jedziemy!

Przodem ruszyła ciężarówka, za nią my. Pozostałe dwie ciężarówki szybko się do nas przyłączyły. Unosząc się na siedzeniu jeszcze raz spojrzałem za siebie. Tłum niczym zastęp czarnych mrówek otoczył biały budynek podobny do hiszpańskiego tortu.

Wygląd innych dzielnic miasta nie był bardziej pocieszający. Gdziekolwiek przejeżdżaliśmy, wszędzie widzieliśmy dymiące, wypalone samochody, powywracane ławki i pojemniki na śmieci. Wystawy wielu sklepów były rozbite, na skrzyżowaniu leżał martwy cywil: jego twarz przykryto gazetą.

- Jedźmy na południowy wschód! - krzyknąłem do podporucznika. - Pan prezydent musi się dostać na drogę prowadzącą w kierunku San Fernando!

Reyes skinął jedynie głową i wyprzedzając ciężarówkę znalazł się na czele konwoju.

Zegary pokazywały godzinę dziesiątą minut czternaście.

★

Pędziliśmy przez znaną już Avenida de la Paz. Pomyślałem o niedorzeczności sytuacji - z wojskową eskortą wiozę Lippa Kilyosa na miejsce wkroczenia... Moi koledzy z GALPOL-u, którzy wyprawiali się w inne stulecia, nie wykonywali chyba tak zuchwałych pociągnięć (tak nazywano w dwudziestym wieku tego rodzaju brawurowe przedsięwzięcia)... Oczywiście nie miałem wielu powodów do dumy, bo nasz los wciąż jeszcze był niepewny. U wylotów bocznych ulic wznosiły się barykady, czasami cisze przerywał bezlitosny huk kanonady. W dodatku Kilyos zaczął się budzić i powiedział kilka słów w naszym języku... Na szczęście warkot samochodu zagłuszył jego głos. Barax był przygotowany, by w razie konieczności „uśpić” historyka nową dawką promieni.

Zanim dotarliśmy do rozgałęzienia drogi na południu miasta, na jezdni przed nami pojawiły się pościgane tu ciężarówki i zdezelowane autobusy. Nad nimi łopotały sztandary, półnaczy mężczyźni wznosili w górę karabiny... Reyes gwałtownie zahamował. Ciężarówki także się zatrzymały. Na szerokiej, otwartej ulicy nie mieliśmy się gdzie schować. Duże samochody stanowiły dla powstańców wspaniały cel...

- Kryć się! - wrzasnął podporucznik. Nie bardzo rozumiałem, co chce zrobić. Pierwsza seria przeszła nam nad głowami... Ci rewolucjoniści, na których teraz trafiliśmy, nie wiedzieli o umowie zawartej z tłumem oblegającym pałac. Wiedzieli jedynie, że nadciągają żołnierze reżimu.

Oba oddziały z zapalem przygotowywały się do starcia. Cywile dotarli do miasta przed chwilą, była to chyba ich pierwsza potyczka z wojskami rządowymi. Zaś po łodziach Reyesa widać było, że chcą się teraz zemścić na partyzantach za uprzednią haniebną ucieczkę.

Sytuacja ta nie wróżyła nam nic dobrego. Przez parę sekund naradzaliśmy się z Baraxem bez słów. „Zrywamy się”. Sprawę ułatwiał fakt, że Reyes wyskoczył z łazika i wydawał rozkazy swoim żołnierzom, którzy zajęli stanowiska ogniowe za ciężarówkami. Ostro zaterkotała broń...

Przesiadłem się na miejsce podporucznika i dodałem gazu. W dzikim tempie pognaliśmy z powrotem. Nad naszymi głowami przeleciało kilka pocisków, z przydrożnych drzew posypały się połamane gałęzie. Brama domów były puste, nie widać było żadnego ruchu. Z piskiem opon skreśliłem w jedną z bocznych ulic. Później w inną. Wkrótce jechaliśmy na południe równoległe do Avenida de la Paz. Nawet poprzez warkot silnika słyszałem huk broni.

Ta droga nie była połączona z autostradą, dostaliśmy się na wąską, starą szosę. Pomiedzy niskimi, brzydkimi domami błysnęła tablica: San Fernando 26 km.

- Zdejmiemy wojskowe kurtki - poradził Barax i miał rację. Kilyos na pół przprzymknął lecz z wyrazu jego twarzy widziałem, że nie rozumie sytuacji. Barax trzymał go za ramię w stalowym uścisku. Wojskową kurtkę położyłem na kolanach - możliwe, że jeszcze będzie potrzebna... Prowadziłem samochód, mając w zasięgu ręki promienny pistolet.

Podmiejska dzielnica stopniowo ustąpiła miejsca slumsom. Na skrzyżowaniach gromadziły się mniejsze i większe grupy ludzi, głównie obdartych mężczyzn. Przy studniach stały w kolejkach kobiety z kolorowymi, plastikowymi wiadrami. Dzieci przyjaźnie machały do nas, może sądziły, że także jesteśmy partyzantami. Pomachałem im również. Wyjechaliśmy na skraj miasta.

„San Fernando 22 km” - głosiła kolejna tablica. Zbliżała się już godzina jedenasta. Gurow przekroczy limes temporis z dokładnością do dziesiątej części sekundy, lepiej więc przyjechać wcześniej niż spóźnić się o choćby parę minut...

Nie wiedziałem, jak dziwna przygoda nas jeszcze czeka.

★

Pustą szosą pedziliśmy na południowy wschód i zacząłem się już cieszyć, że bez kłopotów dotrzemy do celu. Słońce prażyło bezlitośnie, powietrze było rozpalone. W oddali niebieskawo majaczyły góry, samochód z jednostajnym warkotem silnika „pożerał kilometry” - jak tu i teraz mawiają - gdy nagle za zakretem... ujrzałem czołgi.

Wdusiłem hamulec. Niezgrabne, pomalowane na ciemnozielony kolor stalowe mamuty jechały szeroką tyralierą przez pole. Dudniąc, wydmuchując niebieskawy dym zbliżała się setka czołgów. Pomiedzy nimi sunęły pstrokate samochody pancerne podgarniając pod siebie spaloną słońcem suchą trawę.

- To chyba oddziały generała Castellano ciągną na stolicę - szybko powiedział Barax. Jego mózg natychmiast przeanalizował dane i możliwe warianty postępowania.

Zaden z nich nie gwarantował pewnego sukcesu, wyjścia z potrzasku. Wojsko było coraz bliżej. Oficerowie z pewnością dobrze już nas widzieli przez lornetki, być może nastawiano już na nasz samochód celowniki... Z obu stron płaskie pole, żadnej szansy ucieczki...

Ogarneła mnie bezsilna wściekłość. Mamy przegrać teraz, stojąc o krok od celu? Głupio wpadliśmy w przypadkową pułapkę wprowadzając w nią ze sobą Kilyosa. Z jego powodu ucieczka będzie jeszcze trudniejsza lub wręcz niemożliwa...

Za cenę ogromnego wysiłku, przy pomocy broni promiennej lub dezintegratora możemy się przebić przez tę armię - ale w ten sposób dokonamy złamania czasu. W domu, w trzydziestym pierwszym wieku surowo nas za to ukarzą. Nie miałem najmniejszej ochoty na spędzenie piętnastu-dwudziestu lat na bezludnej wyspie - i to w dodatku w towarzystwie Kilyosa skazanego za to samo. Zagryzłem wargi i mruzczałem chyba jakieś dwudziestowieczne przekleństwa, gdy...

★

... Nasunął się na nas przezroczysty, niebieski klosz. Był jasnoblękitnosrebrny. Z zewnątrz przedzierał się przezeń matowy blask, lecz nie dało się dostrzec pojedynczych promieni. Możliwe jednak, że światło to nie docierało z zewnątrz, lecz było wydzielane przez powłokę kuli. Nie wiem, dlaczego, ale miałem uczucie, że nikt z zewnątrz nie może zajrzeć do środka...

Spojrzałem w dół. Szary asfalt zniknął - tam także dostrzegłem powłokę niebieskosrebrnej kuli. Wyglądało jakby koła lazika płynęły w powietrzu. Ciężar mojego ciała zauważalnie się zmniejszył, wyciągałem stąd wnioski, że jednocześnie zmieniła się siła przyciągania. Czulem się lekki. To zjawisko bardzo mnie zaniepokoiło. Co to może być?... Mój niepokój zwiększył się, gdy spojrzałem na Baraxa. Jego obecny bezruch różnił się od tego, który go zazwyczaj charakteryzował. Tylko ja mogłem to spostrzec. Znikły drobne sygnały, które dotychczas nieustannie odbierałem w moim mózgu dzięki „specjalnemu kontaktowi”, który w czasie naszych wspólnych ekspedycji przekazywał mi tyle przydatnych informacji.

Wyłączyli Baraxa! - zrozumiałem w nagłym olśnieniu. Mój towarzysz w mgnieniu oka stał się martwy, choć, co prawda, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Był niezdolny do działania: w tej chwili

pocieszało mnie jedynie to, że jego silne palce zaciskają się na nadgarstku Kilyosa. Barax, patrząc w pustkę, siedział sztywno na tylnym fotelu.

Z Kilyosem też się działo coś dziwnego. Wyglądało na to, że nadal jest półprzytomny. Niewyraźnym, ciekim głosem nucił coś, w czym z przerażeniem rozpoznałem bełkotliwą, dziecięcą piosenkę z trzydziestego pierwszego wieku ...

Bałem się. Wszystko wskazywało na to, że padliśmy ofiarą wrogiej działalności. Doszedłem do wniosku, że ograniczono naszą swobodę poruszania i że może znaleźliśmy się w innym punkcie przestrzeni. Nie wiedziałem, jaki był tego cel. Jednakże ci, którzy zrobili to bez naszej zgody i wcześniejszego uprzedzenia, na pewno mają wrogie zamiary ... Jednak parę rzeczy mnie zastanowiło. W ułamku sekundy pojąłem, że to co się z nami dzieje jest technicznie niewykonalne w dwudziestym wieku. Stworzenie takiej kuli i wytworzenie w niej stanu półnieważkości, a przede wszystkim wyłączenie Baraxa. Co więcej, jest to niewykonalne nawet w trzydziestym pierwszym wieku!..

★

Ustyszałem głos. Może rozbrzmiewał w kuli, a może w moim mózgu - nie wiedziałem tego. Możliwe nawet, że go nie słyszałem, a tylko czułem w swojej świadomości.

- NIE BÓJ SIĘ, ROY!

A więc mieli dwie podstawowe informacje i nie kryli tego. Wiedzieli, że się boję i że nazywam się Roy.

Na razie nie odpowiadałem, szczerze mówiąc nie wiedziałem, jak to zrobić. Ale „tamci“ na pewno dobrze wiedzieli w jakim stanie ducha jestem, a nawet... czytali w moich myślach jak w książce:

NIE BÓJ SIĘ, ROY! - powtórzył głos. Odniosłem wrażenie, że należy on do kobiety.

- POMAGAMY WAM - odebrałem kolejny komunikat.

- JAK? - zapytałem. Tak jak przypuszczałem pytanie wystarczyło zadać w myśli. Skoncentrowałem się, żeby inne myśli nie zakłóciły tego, co chcę powiedzieć. Silne uczucia, na przykład lęk graniczący ze strachem mogłyby zakłócić emisję.

- PRZESUWAMY CIĘ W CZASIE DO PRZODU!

- BEZ ... APARATURY? - zapytałem. Nagle zrobiło mi się bardzo gorąco, domyślałem się już jaka będzie odpowiedź.

- PRZEKSZTAŁCILIŚMY WOKÓŁ WAS SAMĄ PRZESTRZEŃ ...

- NA ILE? - zadałem następne pytanie.

- NA TYLE, ILE BĘDZIE TRZEBA! PRZEZ TEN TEREN PRZEJEJDZA WIELU ŻOŁNIERZY!

- KIM JESTEŚCIE?

- LUDŹMI, ROY. TAKIMI, JAK TY. ALE ... Z PRZYSZŁOŚCI.

- Z TRZYDZIESTEGO PIERWSZEGO WIEKU?

- NIE. ZE ZNACZNIE DALSZEJ PRZYSZŁOŚCI, ROY!

W głowie mi szumiało. Możliwe, że kula została wytworzona przy pomocy jakiegoś promieniowania, które męczyło mózg. Ale nie chciałem skończyć tak jak Kilyos, który dziecinnie gaworzył i utracił chyba wszelki kontakt z rzeczywistością... Głęboko odetchnąłem i znowu się skupiłem:

- DLACZEGO NAM POMAGACIE?

- MUSIMY PILNOWAĆ PRZESZŁOŚCI, ROY. MAMY TAKIE SAMO ZADANIE, JAK TY. WALCZYMY PRZECIWKO ŁAMIĄCYM CZAS! JEŻELI NIE UDA SIĘ WAM TERAZ WRÓCIĆ W WASZĄ PRZYSZŁOŚĆ, TO LIPP KILYOS MOŻE SPOWODOWAĆ POWAŻNE KŁOPOTY! ZAMIERZAŁ DOKONAĆ POWAŻNEGO ZŁAMANIA CZASU...

- WY TEŻ JESTEŚCIE INSPEKTORAMI CZASU?

- MOŻNA TO I TAK NAZWAĆ. OTRZYMALIŚMY ROZKAZ, BY ZA WSZELKĄ CENĘ ZAPEWNIĆ WAM BEZPIECZNY POWRÓT W TRZYDZIESTY PIERWSZY WIEK.

- A JEŻELI MIMO WSZYSTKO SIĘ NIE UDA?

- MUSI SIĘ UDAĆ. JEŻELI ZAJDZIE POTRZEBA, OTRZYMAAMY Z NASZEGO CZASU DALSZĄ POMOC. KAŻDA EPOKA WALCZY PRZECIWKO ŁAMANIU CZASU! ŁAŃCUCH LUDZI SIĘGA JUŻ W NIESKOŃCZONOŚĆ, ROY.

W tym momencie rozumiałem wszystko. Miałem ochotę zadać tysiące pytań, ale wiedziałem, że i tak nie otrzymam na nie odpowiedzi. Nikt nie złamie podstawowych zasad, niezależnie od tego, którego wieku jest mieszkańcem czy wysłannikiem. Podobnie jak jak nie mogłem powiedzieć Lorenzowi o przyszłości Boliwarii, tak samo nie mogłem dowiedzieć się o epoce mającej dopiero nadejść po trzydziestym pierwszym pierwszym wieku. Ani o moim własnym losie, Poza limes temporii istnieją moralne granice i ich przekroczenie bywa czasem bardziej niebezpieczne od zwykłego złamania czasu...

- ŻEGNAM CIĘ, ROY. ŻYCZĘ CI WIELE SZCZĘŚCIA!

- DZIEKUJĘ - odpowiedziałem i nie wiem dlaczego, łagodny kobiecy głos sprawił, że krtań mi się zacisnęła. Jednocześnie odczułem nieodpartą chęć wypowiedzenia tego, że przypomina mi on Florę:

- KIEDYŚ ... GDZIEŚ... CHCIAŁBYM SIĘ Z TOBĄ SPOTKAĆ.

Nie odpowiedziała. Lecz ja wiedziałem, że jeszcze tam jest, o jej obecności świadczyła niebieskosrebrna kula... Mózg załapa ciepła, przyjemna fala uczucia. Miałem nadzieję, że to jej odpowiedź. Spróbowałem wypromieniować w jej stronę podobną fale, ale moje zwoje mózgowe zanurzyły się w błogim zamroczeniu, fale alfa opadły, jak morze zmezone po burzy...

Uniosłem ręce. Mój ciężar był znowu taki jak dawniej. Błękitna mgła przerzedzała się. Koła łazika stuknęły o asfalt.

Zamknąłem oczy. Tak, przyszłość ... Czy ludzie GALPOL-u nigdy jeszcze nie spotkali się z wysłannikami dalekiej przyszłości?... W zaślepieniu sądziliśmy dotychczas, że tylko my wyprawiamy się w dalsze wieki. A przecież uczeni trzydziestego piątego, czterdziestego drugiego czy pięćdziesiątego stulecia z pewnością robią to samo. Oni też ścigają swoich nikczemnych i zuchwałych przestępców, ich wysłannicy znający język, zwyczaje i wydarzenia dawnych epok chodzą między nami - zarówno w dwudziestym wieku jak i w trzydziestym pierwszym ... Wraz z obaleniem limes temporii, w każdej epoce rozmnożyli się przybysze z przyszłości: agenci, szperacze, ciekawscy, uczeni, badacze i przestępcy... Ale czy mogę o tym powiedzieć, gdy wrócę w trzydziesty pierwszy wiek? Czy mogę o tym wspomnieć w GALPOL-u szefowi i specjalnej komisji badającej sprawę Kilyosa, która wezwie mnie jako świadka? Coraz bardziej byłem pewien, że powinienem milczeć. Głównie dlatego, że otrzymaliśmy pomoc. Możliwe, że sukces naszej akcji był wynikiem tej szczęśliwej interwencji. Gdyby szef się dowiedział, że udało się nam przywieźć Kilyosa z powrotem, jedynie dzięki pomocy technicznej pochodzącej z dalekiej przyszłości...

Właściciele błękitnej kuli pilnują historii. Tej historii, której organicznym elementem jest także nasza wyprawa w czasie. W bliskiej i dalekiej przyszłości, możliwe, że jeszcze za mojego życia i później - udana akcja Roya Mediny i Baraxa zostanie zapisana w rocznikach, w kryształach pamięci, w policyjnych pracach historycznych. Zamiary i dzieje Lipa Kilyosa będą wykładane w przyszłych szkołach, jako odstrasający przykład. Ta podróż stała się częścią przeszłości, której nie wolno zmieniać. Dlatego ludzie dalekiej przyszłości pilnowali, by nasze przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem. Być może byli z nami, niewidzialni, w czasie całej operacji. W Lorii, Bolivar, na południowej autostradzie, w willi na ulicy Algeciras, w więzieniu, w pałacu ...

Mgła się rozproszyła. Niebieskosrebrny, lśniący blask zniknął, nie pozostał po nim ślad.

★

Łazik stał na jezdni. Błękitna kula rozwinęła się. Znowu czułem na twarzy żar słońca. Powoli się poruszylem. Najpierw spojrzałem na Kilyosa. Już nie bełkotał - niewidzącymi oczami wpatrywał się przed siebie. Jego twarz wyrażała obojętność.

Barax nagle ożył.

- Roy?

- Tak? - starałem się mówić jak najbardziej naturalnym tonem i nie myśleć o minionej przygodzie. Tego tylko brakowało, żeby Barax dowiedział się o tym, czego nawet ludzie nie mogliby przyjąć ze spokojem.

Rozejrzałem się. Droga była pusta. Jednakże ślady gasienic i kół samochodów, odcisnięte na polu, zdradzały, że niedawno przejeżdżało tedy wojsko ... Wiatr kołysał łodygami roślin, nad nimi przelatywały ptaki. Okolica była taka spokojna...

Dodałem gazu i ruszyliśmy. Stalowa dłoń Baraxa nadal oplatała nadgarstek Kilyosa. Spojrzałem na zegarek i moje podejrzenia sprawdziły się: zostaliśmy przesunięci w czasie o czterdzieści minut. Z powodu tego opóźnienia zostało nam zaledwie dwadzieścia minut do terminu „wkroczenia” Gurowa. Musiałem się spieszyć.

Lecz Barax się nie poddał:

- Stało się coś dziwnego, Roy. Czas za bardzo się przesunął do przodu.

- Tylko tak ci się wydaje - odpowiedziałem.

- A co się stało z żołnierzami? Przed chwilą naprzeciw nas jechało ich kilka tysięcy. A teraz nigdzie ich nie ma.

- Przejechali obok nas, nie widziałeś? Barax, ty zasnąłeś! - zażartowałem. - Uważaj na Kilyosa, dodaje gazu.

- Uważam - mruknął i medytował nadal. Domyślałem się, że jego mózg ma trudności z uporaniem się z taką zagadką. Nie jest w stanie zrozumieć faktu wyłączenia. Nie chciałem jednak więcej o tym rozmawiać. Miałem nadzieję, że jakoś o tym zapomni - chociaż Barax nigdy o niczym nie zapomina.

Na skraju drogi zobaczyliśmy chłopów. Jechali kłusem na osłach. Po małej rzeczce z pełną dostojnością powolnością płynęła barka. Wyglądała jakby w tej okolicy ludzie nawet nie wiedzieli o walkach toczących się wokół stolicy. Wsie i pola tchnęły odwiecznym spokojem.

Kilyos przyszedł do siebie. Najpierw próbował się uwolnić, co oczywiście mu się nie udało. Od tej pory siedział markotnie na swoim miejscu i spoglądał w bok. W lusterku widziałem jego twarz, lecz raczej koncentrowałem się na drodze. Szybko zbliżyliśmy się do San Fernando. Przemknęliśmy przez most, później droga wiała się między wzgórzami. Wreszcie ujrzeliśmy miasteczko.

W chwili, gdy zatrzymałem się na rynku i zapytałem jakiegoś chłopca, gdzie jest stara piramida, zegary wskazywały godzinę jedenastą minut pięćdziesiąt jeden. Z paczki, którą dostałem od Gurowa, zostało jeszcze parę banknotów. W zamian za nie śniadoskóry chłopak z radością pokazał nam, w którą stronę mamy jechać.

Piramida wznosiła się na wschodnim skraju miasteczka. Była potężna. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, że w średniowieczu wznoszono takie budowle. W szczelinach szarego, kwadratowego stosu głazów z tropikalną bujnością rosły dzikie rośliny. Budowla jedynie w połowie była piramidą: jej szczyt był jakby ścięty przez olbrzyma, płaski, wyglądał jak niedokończony. Każdy z boków miał długość stu metrów. Bloki kamienne tworzyły wysokie, niewygodnie schody.

- Idziemy ...na górę - rozkazałem. Barax oczywiście posłuchał od razu. Natomiast Kilyos znieruchomiał.

- Dokąd mnie zabieracie, inspektorze?

- Niech się pan nie opiera, bo znowu będę musiał pana obezwładnić.

Historyk rozejrzał się. Odzyskał już jasność umysłu:

- Obezwładnić? Już pamiętam. Strzeliłem z pistoletu promiennego do tego typu - pokazał na Baraxa. - On żyje? Nie rozstrzelali go?

Barax nie słuchając go, niepowstrzymanie ciągnął Kilyosa za sobą. Więzień był zmuszony do wdrapywania się na schody. Przyjrzał się Baraxowi i zwrócił się do mnie:

- Niech pan zdradzi, inspektorze, dlaczego promieniowanie nie działało na pana kolegę?...

- Bo w ten sposób można obezwładniać tylko ludzi - odpowiedziałem. Nad nami prażyło słońce, miasteczko znikło już gdzieś w oddali.

- Jedynie... ludzi? - Kilyos chciał się zatrzymać, lecz Barax ciągnął go za sobą z bezlitosną obojętnością. - Chce pan powiedzieć, że...

- Właśnie. Mój towarzysz jest najnowszym typem niemal doskonałego robota o ludzkich kształtach. Superandroidem. Wcześniej nie słyszał pan o jego istnieniu, bo rząd światowy trzyma to po dziś dzień w tajemnicy. W dodatku, jak do tej pory powstał tylko jeden egzemplarz i jest nim właśnie Barax.

- I ten czło... ten android... jest policjantem? - jęknął Kilyos.

- Tak, funkcjonariuszem GALPOL-u. Neurologowie stworzyli specjalną biologiczną łączność między jego mózgiem a moim. Możemy wzajemnie rozumieć swoje myśli. Barax czyta w falach mojego mózgu. Razem zwalczamy przestępców, Kilyos.

Sprawa Kilyosa

Po moich plecach pot spływał strumieniami. Barax spokojnie, bez oznak zmęczenia jak automat wspinał się do góry.

Jemu to dobrze, przemknęło mi przez myśl. Nuklearny mikrosilnik zawiera energię, która wystarczy mu na dwa tysiące lat...

Kilyos rozglądał się. Wiedziałem, że rozważa szanse ucieczki. Wciąż jeszcze się nie poddał. Jednakże Barax chwycił przestępcę za ramię.

- Niech pan idzie spokojnie, zaraz będziemy na miejscu.

- Maszyna nie będzie mi rozkazywać - odciął się tamten i próbował zaprzeć się nogami o krawędź kamiennego stopnia.

- Barax nie jest maszyną, tylko moim towarzyszem! - odparłem ze złością. Znowu spojrzałem na zegarek: było dwie po dwunastej, dochodziliśmy już do płaskiego szczytu piramidy. W pobliżu nie było ludzi. Trwający od wielu dni stan wojenny, godzina policyjna, zamknięcie lotnisk - wypłoszyły turystów. W dodatku był to czas sjeisty.

- Spieszmy się - popędziłem ich. Jeżeli Gurow wkroczy, a nas tam nie będzie, to po prostu wróci z powrotem i Bóg wie kiedy wreszcie uda się nam przekroczyć limes temporis. Barax uniósł po prostu Kilyosa w powietrze i przyspieszył kroku. Z trudem za nim nadążałem.

Lipp Kilyos podjął jeszcze jedną próbę.

- Inspektorze! - krzyknął. - Niech mnie pan puści! Albo niech pan sam ze mną pójdzie! Z pańskim androidem możemy pokonać wszystkie przeszkody. Mając promienną broń możemy stać się panami świata. Na nowo zbudujemy Voltran's, pan i ja, inspektorze!

- Nie, Kilyos - odpowiedziałem dysząc ciężko. Już tylko kilka stopni dzieliło nas od szczytu budowli. - Nie możemy zmienić historii. W tym właśnie przeszkodził panu.

- Człowiek i maszyna - skrzywił się z pogardą historyk.

- Nie, Kilyos. Medina i Barax - odparł Barax.

Dotarliśmy na szczyt.

- Jest! - pokazał Barax.

Ponad płaskim, rozgrzany kamienym polem unosił się dziwny pierścień. Choć był zrobiony z metalu, nie błyszczał w słońcu. Jego krawędzie wtapiały się jakby w powietrze - kontury rozpląwały się...

★

Gurow chwycił Kilyosa za ramię i wciągnął go do maszyny.

- Udało się, Roy! - krzyknął Barax. W jego oczach dostrzegłem radość. Tak, Barax był szczęśliwy... jak człowiek.

- Zawdzięczamy to głównie tobie, Barax - powiedziałem i podałem mu rękę. Bardzo się zdziwił. Ten gest... Czuł, jakie ma on znaczenie. Może zabrzmi to dziwnie, gdy powiem, że Barax był wzruszony w chwili, gdy ścisnął moją rękę. Głos dziwnie mu się załamał.

- Chodź, Roy. Ruszamy.

Rozejrzałem się. Wciągnąłem woń gorących kamieni. Za sekunde pojedzie do domu. Ale przecież... i tu byłem w domu. Z Florą... Tu przez kilka dni naprawdę żyłem. Byłem szczęśliwy. To mój prawdziwy dom. Jako człowiek wszystkich epok - choćbym nie wiem ile podróżował przez stulecia - zawsze będę na Ziemi, w moim szerokim domu bez granic.

Z westchnieniem wsiałem do maszyny. Drzwi zamknęły się za mną bezgłośnie.

KONIEC